Numer poświęcony zjednoczeniu ruchu robotniczego w Polsce
Cena 50 zł. – Str. 24

KUŹNICA

Rok IV | Łódź, 19 grudnia 1948 r. | Nr 51 (172)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Zjednoczenie polityczne klasy robotniczej jest podstawowym czynnikiem pomyślnego wypełnienia przez nią historycznego zadania, którym jest budowa socjalizmu, jako ustroju sprawiedliwości społecznej".

Bolesław Bierut

TREŚĆ NUMERU:

PAWEŁ HOFFMAN — **JEDNOCZY SIĘ SIŁA JEDNOCZĄCA**
SEWERYN POLLAK — **SIŁA REWOLUCJI KULTURALNEJ**
BRONIEWSKI, DYGAT, EHRLICH, GOMOLICKI, GĄSIOROWSKA, HERTZ, JASTRUN, KIERCZYŃSKA, KOTT, MATUSZEWSKI, SCHAFF, TUWIM, WAŻYK, WYGODZKI, ŻÓŁKIEWSKI, ŻUŁAWSKI — **O ZJEDNOCZENIU PARTII ROBOTNICZYCH**
CELINA BOBIŃSKA — **PÓTY W SZKOŁACH RZĄD DOBRY KWITNĄĆ NIE MOŻE...**
TERESA TYSZKIEWICZOWA — WŁADYSŁAW DASZEWSKI — **O FELICJANIE KOWARSKIM**
ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI — **DROGA INTELIGENTA POLSKIEGO DO SOCJALIZMU**
BOLESŁAW DUDZIŃSKI — **KOŃCZY SIĘ OKRES ROZŁAMU**
KAZIMIERZ BRANDYS — **KIEDY OPOWIADAŁEM O POLSKIEJ REWOLUCJI**
STANISŁAW WYGODZKI — **LISTOPADOWE ZEBRANIE**
WIKTOR WOROSZYLSKI — **REWIZJA SANITARNA**
JAKUB LITWIN — **NA DROGACH RUCHU ROBOTNICZEGO**
MARIUSZ MARGAŁ — **PARYSKI SEZON TEATRALNY**
STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — **INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH**
JERZY KRECZMAR — **Z TEATRÓW WARSZAWSKICH**
JANINA PREGER — **Z RADZIECKIEGO ŻYCIA LITERACKIEGO**
PAWEŁ ETTINGER — **WACŁAW WOROWSKI**
POLONICA W CZECHOSŁOWACJI
PRZEGLĄD PRASY
NOTY

PAWEŁ HOFFMAN

JEDNOCZY SIĘ SIŁA JEDNOCZĄCA

SIEDEMDZIESIĄT lat temu widział Engels w burżuazji „klasę pod której kierownictwem społeczeństwo pędzi ku katastrofie, jak lokomotywa, kiedy maszynista nie ma sił, żeby otworzyć wentyl bezpieczeństwa, który się zaciął".

Słowa te były pisane jeszcze w sielankowym — w porównaniu z naszą epoką — okresie kapitalizmu, kiedy wewnętrzne jego przeciwieństwa wybuchały tylko w periodycznych kryzysach lub w zlokalizowanych wojnach. Od tego czasu ludzkość widziała katastrofy, o jakich w najgorszych snach śnić się nie mogło pokoleniu Engelsa, a na których nieuchronność w najogólniejszych tylko zarysach mogła wtedy wskazać dokonana przez obu twórców naukowego socjalizmu teoretyczna analiza przeciwieństw rozdzierających społeczeństwo burżuazyjne.

W naszych czasach bezsilny maszynista lokomotywy społecznej, kapitał, prowadzi ją od katastrofy do katastrofy, o zasięgu już nie lokalnym ale światowym, przy czym ludzkości grożą już nie takie czy inne straty lecz — zagłada.

I oto maszynista, który nie chce odejść od kierownicy, ustami swych ideologów wmawia narodom, że to nie on powoduje coraz straszliwsze katastrofy, że to nie z jego winy zaciął się mechanizm: przyczyna leży w ułomnościach natury ludzkiej, w grzechach (czy w g r z e c h u), za które musimy na tej ziemi pokutować, w zrządzeniu tajemniczego Losu, w ślepej grze żywiołowych sił, których zrozumieć ani okiełznać niesposób.

Wzbraniając się odejść od kierownicy, obłąkany maszynista próbuje zarazić obłędem tę część świata, którą jeszcze kieruje. Filozofia katastrofizmu i pesymizmu, filozofia niewiary w człowieka i wiary w pozaludzkie moce, samoupojenie mitem atomowym, personalistyczna, sybarycka ucieczka do własnego wnętrza, owa kapitulancka rezygnacja z czynnego wpływu na los zbiorowości ludzkiej, z świadomego kształtowania jej przyszłości — oto czym paruje świat imperialistyczny nawet na kraje, które po wojnie wyszły już z niego na drogę do socjalizmu.

Ukryta w tych oparach, w mgle schyłkowej filozofii i degradującej człowieka mistyki, usiłuje torować sobie drogę barbarzyńska polityka ujarzmienia świata przez dolarową plutokrację, przed którą uklękli burżuazyjni i socjaldemokratyczni władcy europejskiego Zachodu. Imperialistyczna, „blokowa" polityka szantażu i prowokacji, mająca zasłonić głęboką niemoc swych rzeczników i klasy, jaką reprezentują, jest dziś orężem burżuazji w historycznej walce, której wielki front przebiega przez całą kulę ziemską: w walce klas, która toczy się na wszystkich odcinkach życia, we wszystkich sferach myśli.

Orężem w walce tej jest dla kapitału jego obłędna polityka i równie obłędna filozofia, orężem dla klasy robotniczej jest rewolucyjna polityka jej marksistowskiej partii i rewolucyjny światopogląd marksistowskiego humanizmu.

Socjalizm przeciw katastrofie — taka jest treść tej walki, w której nie ma neutralnych i w której klęska kapitalizmu oznacza nie tylko zwycięstwo klasy robotniczej, ale ocalenie ludzkości, jej triumf nad siłami, które, nie unicestwione, wpędziłyby ją w zagładę.

Są jeszcze w naszym kraju — nie jest to dla nikogo tajemnicą — umysły, w których osiadają i z których parują polityczne i filozoficzne idee zdesperowanego imperializmu. Są takie umysły, bo są jeszcze w naszym społeczeństwie klasy i warstwy burżuazyjne, są więc i mają klientelę ich doświadczeni fachowcy od ideologii, od wychowania, od kształtowania świadomości masowej.

Pierwsza stronica 1-go numeru „Czerwonego Sztandaru", organu SDKP i L.

Społeczeństwo polskie, które pod przewodem proletariatu zmierza dopiero ku socjalizmowi, pozostaje jeszcze i na dłuższy czas pozostanie społeczeństwem klasowym. Toczy się w tym społeczeństwie walka klasowa, zacięta walka między siłami dnia wczorajszego a siłami przyszłości, między wyzyskiwaczami a ludem - narodem z klasą robotniczą na czele. Toczona w przyziemnej, prozaicznej sferze ekonomiki i polityki, walka ta ze wzrastającym natężeniem ogarnia dziś coraz wyższe piętra nadbudowy ideologiczno - kulturalnej, gdzie siły burżuazyjnej dekadencji myślowej są szczególnie mocno usadowione, skąd wpływy ich, choć rugowane stopniowo i redukowane, wciąż jeszcze sięgają na szerokie obszary życia narodowego.

Wydaje się jednak, że także na tym odcinku frontu walki klasowej, na odcinku kultury, główne niebezpieczeństwo, jakie zagraża dziś obozowi postępu i socjalizmu, to p r z e c e n i e n i e sił przeciwnika, owo występujące tu i ówdzie, a obiektywnie najzupełniej nieuzasadnione przeświadczenie o trwałej potędze Ciemnogrodu (tego tradycyjnego i tego „nowoczesnego") — o niezdobytych twierdzach wstecznictwa myślowego, o owych niedosiężnych piętrach nadbudowy naszego życia, na których mieszkają producenci i dystrybutorzy burżuazyjnej strawy duchowej, zawodowi pogromcy materializmu, dostawcy spirytualistycznej filozofii dla warstw, których byt społeczny i indywidualny zasadza się na zgoła doczesnym użytkowaniu materii czerpanej z wyzysku cudzej pracy. Ci, którzy siłę i trwałość tego wszystkiego przeceniają, zapomnieli o bardzo podstawowej prawdzie, z górą 100 lat temu, bo gdzieś pod koniec r. 1845 czy w pierwszej połowie 1846 sformułowanej przez Marksa:

„Klasa dysponująca środkami produkcji materialnej dysponuje dzięki temu również środkami produkcji duchowej, tak, że na ogół poddane jej są myśli tych, którym brak środków produkcji duchowej. Panujące idee to nic innego, jak idealny wyraz panujących stosunków materialnych, to panujące stosunki materialne ujęte w idee; a więc wyraz stosunków, które właśnie jedną klasę czynią panującą — czyli idee jej panowania".

A przecież proletariat w swej walce o socjalizm znosi, unicestwia owe „stosunki materialne", z których zrodziły się i którym służą idee burżuazji. Proletariat świadomie rewolucjonizuje ów, oparty na wyzysku a więc na ucisku materialnym i duchowym, stan społeczeństwa, któremu sankcję prawno - moralną, „przyrodzoną" czy zgoła „nadprzyrodzoną" nadaje ideologia produkowana i sprzedawana przez fabrykantów reakcyjnego światopoglądu. To znaczy: proletariat bezpośrednio burzy materialny fundament, na którym klasy posiadające wzniosły swój gmach wyzysku z wszystkimi jego piętrami, kopułami i najbardziej strzelistymi, w niebo sięgającymi wieżycami niewoli duchowej. Te piętra i wieże, w których oknach wiszą szyldy z mamiącymi napisami „wolność", „osobowość", „duch", wszystkie te wysokie, „ideowe" kondygnacje budowli społecznej tracą materialny fundament z chwilą, gdy proletariat zaczyna kłaść podwaliny socjalizmu.

Czy wynika stąd, że niewolniczy światopogląd automatycznie, „siłą rzeczy" wietrzeje z głów odrazu, gdy traci materialną bazę w społeczeństwie? Oczywiście, że nie! Walka nowych idei, walka optymistycznego, marksistowskiego humanizmu z burżuazyjnym wstecznictwem myślowym, z jego śladami w świadomości ludzkiej trwa jeszcze długo po społeczno-politycznym zwycięstwie proletariatu, a cóż dopiero w kraju, który tak niedawno wkroczył na drogę socjalistycznej przebu-

dowy! Walka na tzw. froncie ideologicznym, na froncie kultury jest, jak o tym dobrze wiemy, bardzo trudna i nie do wygrania w ciągu kiku lat. Jeżeli jednak zwracamy uwagę na to, że także tu przeciwnik, któremu proletariat usuwa materialną bazę spod nóg, nie jest tak silny, jak się na pozór wydaje — czynimy to po to, żeby uświadomić a raczej przypomnieć samym sobie, jak to przeorywując grunt, z którego wyrasta roślina burżuazyjnej ideologii, pozbawiając ją soków życiowych, skazujemy ją na uwiąd.

Na tym przecież polega niezmiernie istotna różnica między marksizmem a wszystkimi ideologiami klas posiadających: burżuazja nie mogła i nie może unicestwić marksizmu, bo w tym celu musiałaby wpierw unicestwić sam proletariat, co dla kapitalizmu jest niemożliwe — proletariat może unicestwić wszystkie klasowe ideologie wyzyskiwaczy, bo unicestwia odnośne klasy, a rewolucjonizując materialne warunki bytu społecznego znosi klasy w ogóle.

Reprezentując w prowadzonej przez siebie walce — materialnej i duchowej — swój własny interes i cel klasowy, proletariat reprezentuje zarazem interes ogólno - ludzki, bo prowadząc ludzi do społeczeństwa bezklasowego, toruje im — on pierwszy w dziejach — drogę do rzeczywistego uczłowieczenia ich bytu, do społeczeństwa teraz dopiero ludzkiego. Proletariat walczy o to, żeby przestać być proletariatem, tzn. klasą, która własną pracą w kapitalistycznej fabryce wciąż odtwarza warunki nieludzkiego stanu społeczeństwa: warunki wyzysku samych proletariuszy i całego ludu pracującego przez klasę kapitalistów.

Z każdym krokiem naprzód w drodze do socjalizmu, z każdym sukcesem w swej walce i w budowie nowego ustroju klasa robotnicza coraz bardziej przestaje być proletariatem, a coraz bardziej staje się klasą wolnych wytwórców, świadomie kształtujących materialne i duchowe życie zbiorowości, wyzwalających człowieka z wiekowej niewoli, w jakiej trzymały go kolejno wszystkie ustroje klasowe. Jednocześnie zaś — w procesie dokonywanej pod jego kierownictwem przebudowy społecznej — proletariat zwalnia miliony ludzi w mieście i na wsi z konieczności przebycia od początku jego własnej drogi dziejowej, umożliwiając im wyzwolenie się bez uprzedniej proletaryzacji, bez stoczenia się na dno, na które kapitalizm systematycznie spychał ludność pracującą. Proletariat stając się narodem, kładzie kres sytuacji, w której naród stawał się proletariatem.

Jeżeli więc każdy sukces klasy robotniczej w jej historycznej walce o uczłowieczenie stosunków międzyludzkich jest sukcesem wszystkich, którzy w celu tym widzą cel własny i najbardziej osobisty, to zjednoczenie obu partii robotniczych i utworzenie w Polsce jednej wielkiej partii ludu pracującego doniosłością swą daleko przekracza bezpośredni efekt tego aktu dla samego tylko ruchu robotniczego. Narodowa doniosłość tego przełomu w dziejach polskiego proletariatu, w dziejach jego kilkudziesięcioletniej już walki o socjalizm mierzy się właśnie rolą, jaką w życiu narodu odgrywa klasa robotnicza i jej socjalistyczna ideologia.

Misja kulturalna ruchu robotniczego — a zarazem jego misja moralna — polega przecież na tym, że wyzwalając siebie i wyzwalając społeczeństwo, przezwyciężając wyrosłą z klasowych antagonizmów, zastarzałą i usankcjonowaną przez filozofię wyzysku przeciwstawność społecznych funkcji materialnych i duchowych, zwierając rozwarte od wieków nożyce między kulturą produkcji materialnej a kulturą produkcji duchowej, tzn. między zadaniami „pospólstwa" a zadaniami „elity" — socjalistyczny proletariat pozwala człowiekowi odnaleźć samego siebie jako jedność materialno-duchową. To przywrócenie człowieka samemu sobie, to zjednoczenie osobowości ludzkiej poprzez zjednoczenie społeczeństwa wybawionego od podziału na klasy, ów czyn moralny dokonany czynem materialnym — czy nie w tym zawiera się najistotniejsza, ogólnoludzka treść marksizmu jako klasowej ideologii rewolucyjnego proletariatu? Czy aby nie dlatego marksistowski materializm jest tak niemiły wszystkim, którzy pragną uwiecznić władzę materii jako swoją klasową władzę nad człowiekiem i za nic nie chcą dopuścić do tego, żeby człowiek, poznawszy materię, zapanował nad nią?

Jakoż cały postęp kulturalny ludzkości, cała walka o kulturę prowadzona w naszych czasach przez marksizm znajduje wyraz w ludzkich dążeniach do zdobycia władzy nad światem materialnym przez poznanie go, wykrycie i zrozumienie rządzących nim praw konieczności oraz celowe wykorzystanie ich przez człowieka dla człowieka. Jest to zarazem walka o ludzką — już nie klasową — moralność. O nową moralność niepodległego człowieka, suwerennie decydującego o swym losie, bo suwerennie kształtującego swój byt społeczny. Wyrasta ta moralność w codziennej walce i pracy proletariatu, w której klasa ta przeobrażając sama siebie, przestając być proletariatem, przeobraża zarazem człowieka, wychowuje go do wolności. Tak właśnie klasowa moralność proletariatu staje się w procesie rewolucji moralnością bezklasowego społeczeństwa wolnych ludzi. Kiełki tej nowej moralności,nowego stosunku człowieka do pracy, jednostki do społeczeństwa widzimy choćby w przedkongresowym współzawodnictwie wytwórczym, podjętym przez klasę robotniczą na apel kopalni Zabrze-Wschód.

Przyjmując za podstawę swego zjednoczenia nowoczesną filozofię wolności, jaką jest marksizm w jego leninowskim rozwinięciu, klasa robotnicza zamyka przez to dostęp do swych zorganizowanych szeregów wszystkim niewolniczym ideologiom stworzonym przez pozbawione już u nas władzy politycznej, choć istniejące jeszcze klasy wyzyskiwaczy, ideologiom, na których oddziaływanie proletariat jest w społeczeństwie klasowym zawsze wystawiony, tym bardziej, gdy rozdwojenie w jego szeregach osłabia jego odporność na te wpływy, skoro w socjaldemokratycznym odłamie ruchu robotniczego znajdują one podatny grunt.

Kładąc kres rozdwojeniu we własnych szeregach, klasa robotnicza znakomicie ułatwia tym samym i przyśpiesza proces dalszego wyzwalania się całego społeczeństwa od wpływu tych ośrodków, które dziś — świadomie czy bezwiednie — emanują nie tylko wsteczną, ale godzącą w polski interes narodowy filozofię polityczną imperializmu.

Sprawą najgłębiej narodową jest przeto zjednoczenie organizacyjne proletariatu, klasy, która swoją walką i pracą kształtuje nowe formy życia narodowego, nową kulturę Polski. Jako klasa przewodząca narodowi w przebudowie jego bytu, proletariat zwielokrotniając przez zjednoczenie własne siły, wzmaga tym samym twórczy rozmach sił narodowych, które w nieznanej dotąd skali rozpętuje socjalizm. Paraliżowane, rozpraszane i marnowane w ustroju klasowym siły ludzkie, materialne i duchowe, po raz pierwszy w dziejach otrzymują tu możność świadomie zharmonizowanego działania w interesie — po prostu — człowieka, wyzwolonego spod władzy własnych tworów materialnych i duchowych fetyszów.

Wiemy: to, co stanie się rzeczywistością w ustroju socjalistycznym, dojrzewa już dziś w ustroju demokracji ludowej, poprzez który klasa robotnicza prowadzi naród do socjalizmu. Jasne widzenie tej perspektywy bynajmniej nie oznacza jakiegoś „przeskakiwania" przez kolejne stadia ruchu i procesu rozwojowego, które dzielą nas jeszcze od społeczeństwa bezklasowego, tzn. od pełnego, rzeczywistego zjednoczenia narodu, od pełnego, rzeczywistego unarodowienia jego kultury. Jeżeli jednak widzenie perspektywy to nie tylko widzenie celu ale też widzenie samego procesu, który odbywa się w walce, to jasne jest przecież, że walka ta ma sens polityczny i moralny tylko o tyle i właśnie o tyle, o ile przyświeca jej ta, konkretnie przez marksizm uświadomiona i wskazana, perspektywa-cel.

Polityczny i moralny sens zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego określony więc jest przez cel, który temu ruchowi przyświeca i któremu służy walka klasowa proletariatu w Polsce i na całym świecie. Zjednoczenie ruchu robotniczego — jako zjednoczenie najbardziej twórczych i aktywnych sił naszej epoki — stanowi dla całego narodu doniosły krok naprzód w znamionującym tę epokę rewolucyjnym procesie przezwyciężania odwiecznej, właściwej wszystkim klasowo rozdartym społeczeństwom przeciwstawności materialnych i duchowych elementów kultury. Stopniowe przezwyciężanie tej przeciwstawności oznacza coraz głębsze i coraz wszechstronniejsze jednoczenie kultury i pracy — aż do stopienia ich w powszednim bycie uczłowieczonej przez socjalizm zbiorowości ludzkiej i każdego jej członka.

Jest to historyczne zadanie jednoczącego się dziś w Polsce proletariatu.

Paweł Hoffman

SEWERYN POLLAK

SIŁA REWOLUCJI KULTURALNEJ

NIE BYŁO doprawdy dziełem przypadku, że Główna Komisja dla Spraw Kultury powstała prawie w przeddzień zjednoczenia partyj robotniczych. Jeżeli sobie uświadomimy, jaki olbrzymi wpływ zjednoczenie ruchu robotniczego z pewnością wywrze na pobudzenie życia kulturalnego najszerszych mas ludowych, jeśli uzmysłowimy sobie, że od czasu zapowiedzi zjednoczenia wyzwolił się nie tylko olbrzymi potencjał entuzjazmu mas robotniczych, ujawniając się w wysiłku w kierunku rozbudowy gospodarczej, ale również wyzwolił się potencjał woli i ambicji tych mas w dziedzinie awansu kulturalnego, to dostrzeżemy wyraźny związek między tymi dwoma faktami.

Jedną z wielkich trudności w szerokiej akcji kulturalnej było do tej pory rozbicie organizacyjne, brak jednolitego planu w zakresie walki z analfabetyzmem, w zakresie zagadnień związanych z upowszechnieniem oświaty i czytelnictwa. Rozbiciu organizacyjnemu partyj robotniczych towarzyszyło rozbicie, wielotorowość akcji kulturalnej. Dotyczyło to zarówno terenu miejskiego jak i wiejskiego. Pracą świetlicową kierowało jednocześnie kilka instytucji, z których każda posiadając własny plan działania, niejednokrotnie wkraczała na teren instytucji innej, pokrewnej, co wpływało przede wszystkim na rozdrobnienie i tak skąpych kadr instruktorskich, a często na obejmowanie działalnością tych samych kręgów z pominięciem ogromnych ugorów kulturalnych, o których nikt nie pomyślał.

Stworzenie jednolitego centralnego kierownictwa w akcji kulturalno - oświatowej, prowadzonej przez licznych, przeszkolonych oświatowców, połączenie Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych z Towarzystwem Uniwersytetów Ludowych zapewni możność wciągnięcia do tej akcji najszerszych mas robotniczych i chłopskich. Jednocześnie wpłynie to na stopniowe zacieranie różnic poziomu kulturalnego między miastem a wsią. Jeśli do tego dodamy szeroko rozciągniętą sieć czytelni gminnych i powiatowych, podporządkowanych również centralnemu kierownictwu, dobrze zorganizowaną akcję odczytów popularnych, dobrze poprowadzoną pracę w świetlicach i w teatrach amatorskich — a w pracy tej widzimy przecież z roku na rok, z miesiąca na miesiąc widomą poprawę — to będziemy mieli materialne podstawy do powszechnego podniesienia stanu kulturalnego.

Ale podstawy materialne muszą mieć oparcie w podstawach ideologicznych. Przejście od jednolitego frontu partyj robotniczych do jedności organicznej nie tylko wzmocni autorytet Zjednoczonej Partii w klasie robotniczej, nie tylko pogłębi jej wpływ ideologiczny, lecz również przyczyni się do poważnego wzmocnienia siły oddziaływania idei socjalistycznej. Wpływając bezpośrednio na wzmocnienie procesu konsolidacji w całym obozie demokratycznym, na przyśpieszenie procesu zjednoczenia stronnictw ludowych, zjednoczenie partyj robotniczych przyczyni się również do przyśpieszenia procesu przechodzenia do bezklasowego społeczeństwa socjalistycznego. Proces ten możliwy jest jedynie łącznie z równolegle biegnącym procesem podniesienia poziomu kulturalnego mas. W oparciu o bardzo złożone zagadnienia ekonomiczne, które tu siłą rzeczy pomijam, Zjednoczona Partia robotnicza, realizując idee socjalizmu w Polsce, systematycznie wychowując masy pracujące w duchu ideologii marksizmu-leninizmu, pobudzając ich ambicje twórcze, tym samym wpłynie jednocześnie na podniesienie ich poziomu kulturalnego.

W tym właśnie sensie brzmi teza Bolesława Bieruta, że równolegle ze wzrostem siły gospodarczej kraju postępuje wzrost kultury: oświaty, nauki, literatury, sztuki. „Zjednoczona Partia w sojuszu z inteligencją pracującą — pisze Bierut — czynić będzie wysiłki dla podniesienia poziomu i wzmocnienia tempa życia kulturalnego mas ludowych oraz oparcia twórczości kulturalnej na właściwych podstawach ideologicznych".

W Związku Radzieckim proces niwelacji różnic kulturalnych między wsią a miastem, proces olbrzymiego podniesienia ogólnego stanu kulturalnego odbywał się i odbywa łącznie z procesem jednoczenia mas ludowych i mas robotniczych na drodze realizowania ustroju socjalistycznego. Podnoszenie poziomu ekonomicznego wraz ze stałym wzrostem świadomości społecznej i poziomu kulturalnego wpłynęło na to, że w procesie rowoju społeczeństwa bezklasowego masy pracujące dokonały rzeczywistej rewolucji kulturalnej. Przykład Związku Radzieckiego najdobitniej pokazuje, jak masy ludowe w warunkach swobodnego rozwoju wszystkich swoich twórczych sił, odrobiwszy wiekowe zaniedbania kulturalne, potrafiły wznieść się na niebywały poziom ogólnej aktywności kulturalnej. Stało się to dzięki ustawicznemu pobudzaniu twórczych sił narodu radzieckiego, gdy zostały stworzone warunki do „wciągnięcia istotnej większości pracujących na arenę takiej pracy, gdzie zdołają się wykazać, rozwinąć swoje zdolności, odkryć talenty, których śród ludu jest nieprzebrane mnóstwo, a które kapitalizm przygniatał, uciskał, dławił tysiącami i milionami" (Lenin, t. XXII, str. 160 wyd. ros.).

Pobudzanie ambicji do awansu kulturalnego najszerszych mas przy jednoczesnym stworzeniu szeroko rozpostartej sieci szkół dokształcających i instytucji kulturalnych doprowadziło z biegiem czasu do likwidacji analfabetyzmu w ZSRR. Chłopi radzieccy otrzymali możność korzystania z bibliotek kołchozowych, które w roku 1940 osiągnęły liczbę 69 tysięcy. Wszelkimi środkami oddziaływania moralnego, rozbudzaniem świadomości społecznej osiągnięto w Związku Radzieckim ten stan ogólnej kultury, przy którym możliwa się stała realizacja przytoczonych tu słów Lenina — wyławianie i odpowiednie kształcenie talentów kryjących się w masach ludowych.

Mówił Gorki na Zjeździe Pisarzy Radzieckich w sierpniu 1934 roku:

„W naszym kraju postawiono jako cel równomierne wychowanie kulturalne wszystkich jednostek, równomierne zaznajomienie wszystkich z wynikami i osiągnięciami pracy, w dążeniu do zamiany pracy ludzkiej w sztukę kierowania siłami natury... U nas, w Związku Socjalistycznych Republik Rad, nie powinno być, nie może być ludzi zbędnych. Każdy obywatel ma jak najszerszą możność rozwoju swoich uzdolnień, talentów. Od jednostki wymaga się jednego tylko: aby była uczciwa w swoim stosunku do bohaterskiej pracy społeczeństwa bezklasowego".

W dalszym ciągu wyżej cytowanej mowy Gorki stwierdza, że pod dobroczynnym wpływem tej samej idei, łączącej cały rozdrobniony przez kapitalizm świat ludzi pracy, żyją i rozwijają się w równym stopniu wszystkie narody Związku Radzieckiego, wszystkie połączone braterstwem republiki.

W ten sposób socjalistyczna idea braterstwa stała się bodźcem do olbrzymiego, na niewidzianą dotąd skalę zakrojonego współzawodnictwa w dziedzinie kultury. Jednym z przykładów takiego współzawodnictwa są doroczne olimpiady młodzieży. Szlachetna klasyczna idea eliminacji najlepszych na radzieckich olimpiadach młodzieżowych nabrała innego, głębszego sensu. Kolejne współzawodnictwo na coraz to wyższych szczeblach od gminnych, powiatowych, rejonowych, aż po współzawodnictwo najlepszych między republikami co rok pozwala odkryć w masach ludowych i kształcić we właściwym kierunku najlepszych spośród młodzieży, najbardziej utalentowanych muzyków, artystów, malarzy, pisarzy wreszcie — tych, którzy będą tworzyli nową historię, nową socjalistyczną kulturę.

„Wartość sztuki mierzy się nie *ilością, lecz* jakością" — mówi Gorki i dlatego na olbrzymią skalę zakrojona akcja rozszerzania podstawy kulturalnej odbywa się równolegle z akcją pogłębiania walki o poziom.

W 1920 roku Lenin przemawiając na III zjeździe Komunistycznego Związku Młodzieży, mówił, że popełnilibyśmy olbrzymi błąd, gdybyśmy sądzili, że można stać się komunistą, nie opanowawszy wszystkiego, co nagromadziła wiedza ludzka. Tak samo błędem byłoby sądzić, że wystarczy opanować hasła komunistyczne, wyniki nauki komunistycznej bez opanowania tego zasobu wiedzy, wynikiem której jest sam komunizm. I zaraz potem dodaje, że należy sobie wyraźnie uświadomić, iż tylko przez dokładne poznanie kultury wytworzonej przez rozwój ludzkości, tylko przez przetrawienie jej można budować kulturę proletariacką. Dlatego też w Związku Radzieckim do klasyków literatury zaliczają nie tylko Puszkina, Tołstoja i Szewczenkę nie tylko Balzaka i Mickiewicza, lecz Nawoii i Szotę Rustaweli. I właśnie dlatego już w pierwszych miesiącach po rewolucji październikowej, w styczniu 1918 roku rząd radziecki w dekrecie o organizacji Wydawnictwa Państwowego wyraźnie zaznacza: „Przede wszystkim winny być zorganizowane tanie wydania klasyków... których utwory stosownie do niniejszej ustawy przejdą na własność ludu... Popularne wydania klasyków powinny być sprzedawane po cenie własnej, a jeśli środki na to pozwolą, to winny być rozpowszechniane po cenach ulgowych albo nawet bezpłatnie".

W ten sposób pojmowane budownictwo kultury socjalistycznej trwa w ZSRR po dzień dzisiejszy. „Narody ZSRR — pisze Bolesław Bierut w artykule p.t. ‚Zjednoczenie — nowy etap w walce o lepszą przyszłość" — charakteryzuje mimo poniesionych szkód wojennych jeszcze większy niż kiedykolwiek entuzjazm pracy w umacnianiu swych wielkich zdobyczy budownictwa socjalistycznego. Tempo wzrostu sił wytwórczych i zdobyczy kulturalnych w ZSRR nie ma równego sobie w świecie. Państwo radzieckie dysponując olbrzymimi siłami twórczymi i rezerwami gospodarczymi, kroczy w szybkim marszu naprzód do nowych sukcesów i dalszego wzrostu swych sił... Historia ludzka nigdy nie znała równie głębokiego braterstwa i współżycia, wzajemnej pomocy i wzajemnego bogacenia kultury narodowej przez szeroką wymianę osiągnięć twórczych — jakich wzorem i przykładem są dzisiaj narody ZSRR".

Toteż obecnie, w chwili gdy jedność klasy robotniczej w Polsce staje się faktem dokonanym, wzór państwa radzieckiego w tworzeniu dóbr kulturalnych w oparciu o jedność mas pracujących staje się dla nas szczególnie ważny i żywy. Tam możemy szukać przykładów w naszej zapoczątkowanej dopiero walce o rozszerzenie i podniesienie poziomu kulturalnego w Polsce w budowie nowej socjalistycznej kultury.

PISARZE I NAUKOWCY

O ZJEDNOCZENIU PARTII ROBOTNICZYCH

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Połączenie dwóch robotniczych i socjalistycznych partii polskich uważam za najdonioślejszy fakt w dziejach Polski Ludowej od chwili wyzwolenia. Jedność idei i czystość idei, opartej na zasadach marksizmu-leninizmu, jednolitość kierownictwa, usunięcie poza nawias życia publicznego elementów wrogich państwu socjalistycznemu — dają rękojmię, iż olbrzymi trud przebudowy i odbudowy, podjęty przez lud polski z klasą robotniczą na czele, nie pójdzie na marne.

Jako pisarz, od ćwierci wieku idący pod sztandarami klasy robotniczej, wyrażam swą radość z połączenia rewolucyjnych tradycji Waryńskiego, Kasprzaka, Okrzei, Barona, Buczka, Dubois, Barlickiego i tylu, tylu innych. Pióro moje służyło i służyć będzie idei walki o ideały socjalizmu, idei zjednoczenia bojowników tej walki pod wspólnym sztandarem.

STANISŁAW DYGAT

(przemówienie na miejskiej konferencji partyjnej we Wrocławiu w dniu 28. 11. 1948)

Proszę towarzyszy! Słuchając jak towarzysze z fabryk i zakładów pracy zdawali przed tow. Mincem sprawozdania z dokonanych swoich zobowiązań przedkongresowych, muszę to wyznać szczerze, oprócz ogólnych uczuć dumy i radości, doznałem jako literat osobistego uczucia smutku i wstydu. Musiałem to sobie, towarzysze, uświadomić, musiałem wyznać przed sobą, a wyznaję teraz przed Wami, że my peperowscy pisarze, od wyzwolenia do kongresu, wykonaliśmy nasz plan w bardzo nikłym procencie.

Towarzysze! Nie jest czas i miejsce na analizowanie naszej błędnej drogi (bowiem nikłość wykonanego przez nas planu nie opiera się na efektach ilościowych, ale jakościowych, na błąkaniu się wokół Nowej Polskiej Drogi, a *nie kroczeniu po niej we właściwym rytmie).* W przededniu Święta Zjednoczenia Polskiej Klasy Robotniczej, ważniejszym jest fakt, że wierzcie mi, towarzysze, my w obliczu wielkich wydarzeń tego roku, zdaliśmy sobie sprawę z tej naszej błędnej drogi! Zawracamy z niej!

Postanowienia i przebieg plenum sierpniowego uświadomiły nam z całą mocą czym ma być i czemu ma służyć nasze pisarstwo!

Wam towarzysze z fabryk, kopalni i zakładów pracy. Wam i socjalizmowi, który budujecie, który przez nasze pisarstwo musimy budować wspólnie.

Towarzysz Minc mówił tutaj o wspaniałym i zawrotnym planie sześcioletnim. Słuchaliśmy tych słów z entuzjazmem i wzruszeniem. Z tym wzruszeniem i entuzjazmem przystąpimy do realizowania tego planu. I wierzcie mi towarzysze, nas pisarzy-komunistów w tej walce o 6-letni plan tym razem nie zbraknie.

Odwracamy się od wszystkich estetycznych i filozoficznych kombinacji i hyperkombinacji przeszłości. Jedyną estetyką jest Wasza praca, jedyną filozofią Wasz trud.

Nie mam, niestety, towarzysze, żadnego w tej chwili pokrycia na to, że moje słowa nie są tylko pustymi, okolicznościowymi frazesami. Mogę tylko oświadczyć: „Te moje słowa są w tej chwili deklaracją, są zobowiązaniem, że wszystko co będę pisał, będę pisał z myślą o Was towarzysze, wszystkie moje siły i umiejętności poświęcę Waszemu bohaterskiemu trudowi pracy, Waszym troskom i radościom, a cały mój trud pisarski oddam na wspieranie bohaterskiej Waszej walki z przeciwnościami stojącymi na drodze realizowania socjalizmu.

To jest i będzie moja nowa estetyka.

Towarzysze! Ja wiem, że to nie jest łatwe. Ja wiem, że możemy jeszcze wiele błędów popełnić. Ale jeżeli mówię o tym, że pragniemy w jakiś sposób wspierać i wspomagać wasz trud, waszą pracę i waszą walkę, to proszę i Wy wzajemnie wspierajcie naszą: nie szczędźcie nam krytyki, nie wahajcie się wytykać naszych błędów.

Proszę towarzyszy! Kiedy zakończy się plan 6-letni, kiedy jak dziś w tej, a może w innej sali będziecie składać tow. Mincowi sprawozdania z wykonanego planu 6-letniego i ofiarować mu symboliczne tej pracy owoce, to ja sądzę, towarzysze, że wśród tych darów nie zbraknie wielu naszych książek takich książek, że tow. Minc będzie mógł powiedzieć:

„Towarzysze-literaci! I wy przyczyniliście się niemało do zrealizowania 6-letniego planu".

STANISŁAW EHRLICH

Łączenie się partii robotniczych na zasadach dobrowolności jest zjawiskiem nowym, w historii dotąd nieznanym. Próby współpracy bolszewików z lewymi eserami podjęte w 1917 r. musiały być wkrótce zarzucone, ponieważ socjal-rewolucjoniści w bardzo krótkim czasie ześlizgnęli się na pozycje kontrrewolucyjne i poczęli się wysługiwać kapitalistycznej interwencji. Pierwszy po Rewolucji Październikowej ludowy komisarz sprawiedliwości lewy eser Steinberg użył swojej władzy dla uwalniania kontrrewolucjonistów i sabotażystów schwytanych przez Czekę Dzierżyńskiego.

Karta uczestnictwa Karskiego (Juliana Marchlewskiego) w londyńskim Kongresie socjalistycznym.

Okres międzywojenny jest świadkiem jednego pasma zdrad partii socjaldemokratycznych spod znaku II międzynarodówki, przysłanianych wstydliwie rewolucyjnymi frazesami. Nazwiska przywódców reformistycznych Van der Veldego, Loebego, Bluma, Otto Bauera, to sztandary kapitulacji i zdrady. Wydawało się, że niebezpieczeństwo faszyzmu będzie tym bodźcem, który doprowadzi do zjednoczenia proletariatu, zwłaszcza wobec tragicznego losu, jaki spotkał niemiecką klasę robotniczą. Próbę zjednoczenia ruchu robotniczego po raz pierwszy podjęła francuska klasa robotnicza. Lecz i w tej próbie doszło do zdrady, a tragedia ta łączy się z nazwiskiem Leona Bluma. Jednak w ogniu walki z faszyzmem nurt rewolucyjny w łonie partii socjalistycznych toruje sobie stopniowo drogę. Nurt ten nabiera mocy w miarę, jak narasta natężenie walki z faszyzmem, krzepnie w mrokach konspiracji i później w okresie budowy państwa demokracji ludowej, to jest tam, gdzie się udało wyłączyć dezorganizujący wpływ imperialistycznych ośrodków. I dlatego tyle przeszkód piętrzy się na drodze zjednoczenia ruchu politycznego klasy robotniczej w krajach kontrolowanych przez marshallowski imperializm. Mobilizacja wszystkich, żywotnych sił klasy robotniczej, jaką przyniósł ruch zjednoczeniowy jest wskazówką, że tędy wiedzie właściwa droga, a nie poprzez roztapianie i utożsamianie partii z organizacjami, reprezentującymi jaskrawą pstrokaciznę klasową i ideologiczną (Jugosławia).

Zjednoczenie partii ma jednak nie tylko znaczenie polityczne. Zjednoczenie partii proletariackich, to nie tylko zamknięcie pół wieku trwających walk w łonie klasy robotniczej, walk które ją osłabiały i paraliżowały, ale to rozpoczęcie nowego etapu rozwoju społecznego. Jest to początek przeobrażeń, które zaprowadzą społeczeństwo od demokracji ludowej do socjalizmu. Procesem tym będzie kierowała zjednoczona partia klasy robotniczej, a rewolucyjnej inteligencji przypadnie w tym historycznym okresie rola niepoślednia.

LEON GOMOLICKI

Gorki lubił wielkie zadania przewyższające możliwości jednego życia. Planował więc olbrzymią powieść o dziejach rodziny, odtworzonych w przeciągu stulecia. Kiedy zwierzył się ze swych pomysłów Leninowi, twórca Rewolucji Październikowej odparł:

— Doskonały temat, oczywiście nie łatwy, pochłonie dużo czasu, lecz wierzę, że pan da sobie z nim radę; nie wiem tylko, jakie zakończenie miałaby ta powieść. Przecież rzeczywistość nie podpowie panu jeszcze jej ostatnich rozdziałów. Stanowczo pisać to należy po rewolucji.

Istotnie, dopiero rewolucja rosyjska rozpoczęła nowy rozdział w życiu społeczeństwa, tworząc nowego bohatera — kolektyw ludzki, budujący nowe życie na podstawie wiedzy i pracy. W ten sposób wcielony został ideał Gorkiego, który zawsze uważał, że prawdziwym człowiekiem jest człowiek pracy, „twórca piękna naszej ziemi, organizator na niej form życia, godnych ludzkości". Lecz stało się tak, że wtenczas, w nowej literaturze radzieckiej powieść o dziejach jednej rodziny mieszczańskiej, odeszła na drugi plan. Na miejsce jej przyszła powieść o człowieku — cząstce kolektywu, a właściwie o samym kolektywie, nowym „gospodarzu życia, który pokonał wszystkie przeszkody na drodze osiągnięcia wysokiego ideału socjalistycznego".

O tym nowym typie bohatera powiedział Stalin w „Zagadnieniach Leninizmu": „O losach narodów i państw decydują obecnie nie tylko wodzowie, lecz przede wszystkim milionowe masy pracujące. Robotnicy i chłopi, którzy bez hałasu i krzyku budują zakłady i fabryki, kopalnie i koleje, kołchozy i sowchozy, tworzą dobrobyt, żywią i odziewają cały świat, oni są właśnie prawdziwymi bohaterami i twórcami nowego życia".

„Zamiast dawnej musztry — czytamy u Lenina — którą stosowano w społeczeństwie burżuazyjnym wbrew woli większości, wysuwamy świadomą karność robotników i chłopów, którzy z nienawiścią do starego społeczeństwa łączą stanowczość, umiejętność i gotowość zjednoczenia i zorganizowania sił do walki, aby z woli milionów i setek milionów niepowiązanych z sobą, rozproszonych, rozrzuconych na obszarach ogromnego kraju, stworzyć jednolitą wolę, gdyż bez tej jednolitej woli będziemy nieuchronnie rozgromieni. Bez tego zespolenia, bez tej świadomej karności robotników i chłopów sprawa nasza byłaby beznadziejna. Bez tego nie potrafimy zwyciężyć kapitalistów i obszarników całego świata. Nie umocnimy nawet fundamentu, nie mówiąc już o tym, by na fundamencie tym zbudować nowe, komunistyczne społeczeństwo".

Czytając te słowa w chwili powstania Zjednoczonej Partii, podziwiam ich aktualność, mimo, że były wypowiedziane prawie 30 lat temu. Tak oto stale i zawsze znajdujemy w dziełach twórców Ojczyzny Socjalizmu drogowskazy orientujące w drogach rozwoju społeczeństwa. Są one dowodem, że dorobek Rewolucji Październikowej nie zamyka się w granicach ZSRR, że jest on natomiast potężnym czynnikiem w rozwoju społeczeństwa całego świata.

NATALIA GĄSIOROWSKA

Wielki akt zjednoczenia partii robotniczych w Polsce — o znaczeniu nie tylko narodowym, ale w pewnym sensie światowym — rezultat długotrwałego i skomplikowanego procesu dziejowego, stanowi dzieło wynikające z aktualnych stosunków produkcji, natury jednak przede wszystkim politycznej.

Proces zjednoczeniowy w Polsce nie został jeszcze zakończony — trwa nadal. Po osiągnięciu politycznej jedności proletariatu następny z kolei w tym procesie etap to kulturalne jednoczenie świata pracy umysłowej ze światem pracy fizycznej. Dwa nurty równoległe, bez wzajemnej zależności płynące zlewają się w obecnym życiu polskim w jeden potężny potok twórczej pracy.

Niewyczerpalnym źródłem myśli naukowca, natchnienia artysty staje się proletariat i jego praca.

Robotnik-automat związany z maszyną, jego praca-towar na rynku mają się ku zanikowi w nowym ustroju. Robotnik, chłop czerpie z nagromadzonych przez intelektualistów, udostępnionych mu bogactw wiedzy i sztuki — rozumie zasady i cel swej pracy, odczuwa rytm swej maszyny i traktora, jest nie tylko odbiorcą kultury naukowej i artystycznej, lecz sam staje się myślicielem i twórcą piękna — budowniczym nowego życia.

W mrocznej kopalni węglowej dzisiejszy górnik z pełną świadomością swej roli w gospodarstwie społecznym w ciężkim trudzie wykuwa czarne chłodne bryły — źródło światła i ciepła. Wykonuje plan wydobycia rocznego, przypadającą normę w zadaniach jasnej już dla niego planowej gospodarki państwa, osiąga rekord w wyścigu pracy, bierze udział w doskonaleniu jej techniki i organizacji.

W instytucie naukowym i w szkole dzisiejszy historyk na swoim odcinku wykonuje plan pracy społecznej. Swe zainteresowania w badaniu przeszłości zwraca od wyczynów monarchów, wodzów, dyplomatów, od dziejów klas posiadających, od wydarzeń indywidualnych — do świata pracy, dziejów mas. Usiłuje odbudować w minionej rzeczywistości proces rozwoju społecznego, wyjaśnić metodą dialektyki materialistycznej jego przyczyny, prawa w nim rządzące. Przedstawia kolejne przeobrażenia ekonomicznej struktury społeczeństwa, na jej podstawie oparty ustrój polityczny, kulturę umysłową, artystyczną, wzajemne oddziaływanie w procesie historycznym elementów ekonomiczno-społecznej podstawy i nadbudowy ideologicznej. Doprowadzając proces rozwojowy do chwili bieżącej ułatwia zrozumienie współczesnej rzeczywistości oraz rzucanie perspektyw w przyszłość.

Wspólna praca nad budową nowego porządku, walka o pokój powszechny doprowadziły do zjednoczenia partii robotniczych. To zjednoczenie stanie się podstawą dla miasta i wsi, dla proletariatu intelektualnego, robotniczego, chłopskiego w poszukiwaniu wspólnych dróg, zmierzających do pogłębiania badań naukowych, podniesienia twórczości artystycznej, do szerzenia w masach oświaty i kultury, z kolei do tym mocniejszego scementowania powstającej dziś jedności świata pracy.

Solidarność naukowca, artysty w pracy z górnikiem, robotnikiem fabrycznym, chłopem prowadzi do wykonania — każdej grupy na jej własnym odcinku — jednolitego planu pracy, w rezultacie zapewnia harmonię społeczną.

Widomym znakiem tej solidarności i harmonii — ujmującym jakby w skrócie syntetycznym dokonane już we współczesnej rzeczywistości przemiany i osiągnięcia zakreślonego planu — jest fakt, że obdarzony przez społeczeństwo najwyższą godnością Prezydenta Rzeczypospolitej **Robotnik** reprezentuje Naród Polski.

PAWEŁ HERTZ

Dla intelektualisty, dla pisarza czy artysty, nie może ulegać wątpliwości, po doświadczeniach w wielkich krajach kultury, jak Włochy czy Niemcy, w krajach świetnej przeszłości, jak Grecja czy Hiszpania, że faszyzm jest śmiertelnym wrogiem kultury i intelektu.

Nie może również nikt z intelektualistów zaprzeczyć tej prawdzie oczywistej i bardzo precyzyjnie dowiedzionej przez historię naszego stulecia, że system kapitalistyczny rodzi faszyzm. Kapitalizm, który stworzył proletariat, rozwijając się i krzepnąc, zmuszał jednocześnie ów proletariat do nieustannego rozwijania świadomości klasowej, do tworzenia i doskonalenia wyzwoleńczej ideologii, do prowadzenia walki o prawa ludzkie. Walcząc o nie, proletariat zdobywa nie tylko wolność dla siebie, ale przemienia równocześnie układ warunków społecznych, politycznych, gospodarczych w skali ogólnoludzkiej, nie tylko w swoim wyłącznym interesie klasowym, co zasadniczo odróżnia rewolucję dokonaną przez proletariat od rewolucji burżuazyjnych.

Tragiczne losy klasy robotniczej Niemiec, tragiczne dzieje całego kontynentu europejskiego w latach 1933 — 1945 dowodzą, że rozbicie ruchu robotniczego, a więc osłabienie tej jedynej siły, która świadomie pragnie zmienić strukturę społeczną, gospodarczą i polityczną świata, dostosowując ją do tych możliwości, jakie daje nowoczesna wiedza, prowadziło niezmiennie do klęski. Cywilizacja i kultura w tym okresie historii, gdy system kapitalistyczny przestał już odpowiadać rzeczywistemu układowi sił i poziomowi naszej wiedzy, są nieustannie zagrożone. W tym stanie rzeczy, gdy wiadomo już dobrze, że system kapitalistyczny nie da się utrzymać w ramach demokracji politycznej, wywalczonej niegdyś przez młodą burżuazję w Rewolucji Francuskiej, że system kapitalistyczny, by się utrzymać, musi stosować politykę agresji i przemocy, wzmacnianie się sił socjalizmu w świecie jest gwarancją ocalenia kultury i cywilizacji, jest gwarancją pokoju, postępu i sprawiedliwości, jest wreszcie niezbędne jako etap w organizowaniu nowego społeczeństwa ludzkiego, w którym będzie ocalona godność ludzka - społeczeństwa na miarę człowieka.

MIECZYSŁAW JASTRUN

Zjednoczenie partii robotniczych oznacza odcięcie się polskiego ruchu robotniczego od tendencyj, które mogłyby stanąć w poprzek tego ruchu, oznacza utrwalenie rewolucji w Polsce, utrwalenie i zarazem otwarcie nowej perspektywy. W tej perspektywie jest młodość Zjednoczonej Partii. Pomiędzy tą perspektywą i nami zjawia się marzenie o przyszłości, o wielkim rozwoju kultury, którą tworzyć będzie nie jedna uprzywilejowana warstwa narodu, lecz cały lud polski.

Niepodobna już dzisiaj przewidzieć form kultury, którą stworzą w nowych warunkach nowi ludzie. Polska Ludowa powinna przywrócić kulturze narodowej, sztuce i literaturze wielkie proporcje, dzięki którym literatura nasza i sztuka miały wielkość poezji Ko-

chanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, wielkość muzyki Szopena. Tego dziedzictwa nie chce i nie może wyrzec się Nowa Polska. Cała podana w przyszłość będzie czerpała ze źródeł twórczej i postępowej tradycji. Tworzyć można tylko z przyszłości, ale to nie znaczy, by trzeba lub można było odtrącić przeszłość w jej najpiękniejszych, najpełniej humanistycznych zjawiskach.

Przeciwnie, tylko głębokie zrozumienie praw rządzących sprawami kultury i sztuki w przeszłości, daje gwarancję właściwego stosunku do spraw kultury w nowych warunkach.

Kultura, nauka, literatura, sztuka nie są wartościami samoistnymi i suwerennymi. Wiedzą o tym najlepiej marksiści. Ale to nie znaczy, by mogły rozwijać się bez należnej im swobody poszukiwań, swobody ścisłości i swobody wyobraźni. Wiedzą o tym również marksiści. Zjednoczony ruch robotniczy, władza rewolucyjna, gdy chodzi o sprawy kultury, musi oprzeć się na tej wiedzy.

Jeśli prawdą jest, co mówi Georg Lucacs, że „Sztuka objawia nędzę życia i ostateczny triumf zasad ludzkich, że wyraża przenikliwość ludzkiego umysłu i to, co jest typowe w życiu poszczególnej jednostki" — jeśli ta zasada humanistyczna ma być wprowadzona w dzieła, to przed sztuką w Polsce stoi praca ogromna i trudna: Przywrócić kulturze i sztuce jej zachwiane lub zmiażdżone proporcje ludzkie. Podjąć to, co w spuściźnie klasycznej jest racjonalne i zarazem sięgające do głębi życia człowieka i epoki. Przywrócić prostotę stylu i powszechność dziełom poezji i prozy.

Trudna droga do tej przemiany jest otwarta teraz, kiedy spełnia się marzenie wielu najlepszych naszych ludzi o Polsce sprawiedliwości społecznej, teraz, gdy namaszczenie historii otrzymała strofa wielkiego pisarza, rzucona po roku 1905:

Kiedyż uniesiem głów
Ponad zbroczone wezgłowie,
kiedyż na ludu łonie
Spoczniemy w sławy koronie,
Któż nam odpowie?

Polski lud pracujący w dziełach artystów swych i pisarzy przypomni bohaterów swojej sprawy, przypomni i ukaże w świetle faktów historycznych walkę Proletariatu i socjalistów polskich, męczeństwo Waryńskiego i Okrzei, ukaże działaczy komunistycznej Partii Polskiej, podniesie skrwawione głowy pierwszych bojowników o wolność i socjalizm z wezgłowia zapomnienia, na które skazani byli w ciągu lat panowania kapitału i ziemiaństwa. Ukaże bojowników Polskiej Partii Robotniczej. Ukaże nową rzeczywistość polską w jej różnolitości i skomplikowaniu. Lud polski powierzy prawdomównym ustom poezji swoje życie powszednie i swoją wolę doskonałego wypełnienia zasad ludzkich w ojczyźnie, ale nie przyjmie prawdy ocukrowanej, mitologizującej rzeczywistość, odrzuci wszystko, co trąci szablonem i drugorzędną literaturą.

Optymizm wstępującej w życie społeczne młodej klasy odgrodzi się od rozpaczy, której pełne są dzieła literatur schyłkowych. „Ale — jak pisze Lenin — nie poddając się ani trochę owej, częstokroć fałszywej rozpaczy, jaką szerzy burżuazja i inteligenci mieszczańscy... w żadnym wypadku nie powinniśmy osłaniać jawnego zła". Bez tej świadomości moralnej literatura nie mogłaby się rozwijać.

A rozwój jej konieczny jest dla podniesienia kultury szerokich mas ludności pracującej.

W kulturze nowej Polski winno znaleźć się miejsce dla wszystkiego, co w nauce, literaturze i sztuce jest odważne, postępowe i poszukujące.

Nie ma powodu wypędzać żadnego z rodzajów literackich. Obok epiki powieściowej i poezji politycznej — liryka w węższym znaczeniu, obok tragedii — komedia lekka i klasowa satyra z prawdziwymi szponami, wśród widowisk opartych na wątkach ludowych — utwory fantastyczne, baśniowe. Wielka sztuka ma zawsze wartości wychowawcze, ale dlatego właśnie sztuka nie może być jedynie i stale patetyczna, idealizująca. To prowadzi do znużenia, do zboczeń niedokarmionej wyobraźni, do utraty poczucia granicy między prawdą a zmyśleniem. Sprawa jest oczywista. Wynika już z samego powoływania się na wzory wielkiego piśmiennictwa.

Literatura ludowa — to nie czytanki dla grzecznych dzieci. Literatura ludowa — to dzieła tego wymiaru co dramaty Szekspira, „Don Kichot", Lew Tołstoj i Gorki, dzieła najpełniej humanistyczne.

Kultura Polski ludowej i socjalistycznej musi powiedzieć sobie nie tylko: Nic co ludzkie nie jest mi obce, lecz również: Jest mi obce wszystko co nieludzkie.

MELANIA KIERCZYŃSKA

Rozkwit kultury i masowość jej zasięgu w ustroju socjalistycznym jest dzisiaj już nie faktem przewidywanym tylko, lecz faktem stwierdzonym na mocy doświadczenia jednej szóstej części świata, gdzie socjalizm został zbudowany.

Niemniej stwierdzony jest fakt upadku kultury i jej nieubłaganej degeneracji w warunkach imperializmu.

W krajach, które, jak Polska, weszły na drogę budownictwa socjalistycznego, rozwój kultury będzie tym potężniejszy, a tempo jego tym szybsze, im większe postępy czynić będzie kraj na tej drodze.

Jedną z najważniejszych przesłanek jest tu całkowita jedność proletariatu, zjednoczenie obu partii robotniczych w jednej wspólnej partii, istotnie rewolucyjnej, wolnej od oportunizmu, od burżuazyjnych i drobnomieszczańskich wpływów, konsekwentnej w wytyczaniu i realizowaniu drogi do socjalizmu.

Fakt, że stoimy bezpośrednio przed takim zjednoczeniem całego polskiego proletariatu, prowadzącego za sobą milionowe masy chłopstwa, przed zjednoczeniem dokonanym na gruncie rewolucyjnego marksizmu, marksizmu-leninizmu — otwiera przed każdym działaczem na polu kultury, przed każdym naukowcem czy literatem, niezmierzone horyzonty.

Po raz pierwszy w dziejach naszego kraju nauka, sztuka i literatura stały się sprawą pierwszorzędnej państwowej wagi, poraz pierwszy bowiem państwo w Polsce stało się reprezentantem interesów najszerszych mas. Po raz pierwszy propagowana jest w skali państwowej teoria jedynie naukowa, warunkująca słuszną interpretację zjawisk otaczającego nas świata, a tym samym umożliwiająca pożądaną tego świata przemianę. Teoria ta, będąc bazą politycznych wskazań i poczynań zjednoczonej klasy robotniczej, a więc olbrzymiej masy narodu decydującej o jego przyszłych drogach, zapłodni naukę i sztukę, uaktywni je w stopniu dotychczas niebywałym. Twórca otrzyma masowego widza, słuchacza i czytelnika, którzy stawać się będą w coraz większym stopniu współtwórcami kultury. Laboratorium naukowca stanie się kuźnią nowego życia.

Zespolenie polskiej klasy robotniczej w Zjednoczonej Partii da temu procesowi niezbędny rozmach i zagwarantuje jego nienaruszalną trwałość.

JAN KOTT

W książce „Krok naprzód, dwa kroki wstecz" pisał Lenin — „Proletariat nie boi się organizacji i dyscypliny... Proletariat nie będzie się troszczył o to, żeby panowie profesorowie i uczniowie gimnazjalni, nie chcący należeć do organizacji, byli uznawani za członków partii za pracę wykonywaną pod kontrolą organizacji... Nie proletariatowi, lecz pewnym inteligentom w naszej partii brak samowychowania w duchu organizacji".

Brałem udział w zebraniach oczyszczających szeregi Polskiej Partii Robotniczej przed wielką chwilą zjednoczenia. Widziałem z jaką ogromną powagą i entuzjazmem robotnicy przeprowadzali po kołach partyjnych krytykę i samokrytykę, jak poczuli się awangardą klasy robotniczej, zorganizowanym, bojowym oddziałem. Są tygodnie walki, kiedy partia, a wraz z nią klasa robotnicza szybciej dojrzewa, niż w ciągu lat. Takimi były ostatnie tygodnie, od sierpniowego plenum KC do chwili zjednoczenia. Wybita została droga do socjalizmu. Zobaczyliśmy ją.

I jednocześnie zobaczyliśmy w praktyce jak ogromne znaczenie ma partyjność dla pracownika kultury, pisarza, oświatowca. Wierzę głęboko, że dla rozwoju nauki marksistowskiej w Polsce, dla upowszechnienia kultury, dla związania sztuki z ziemskim losem człowieka chwila zjednoczenia się partii robotniczych stanie się momentem przełomowym, koniecznym warunkiem wielkiej ofensywy kulturalnej, która doprowadzać musi w naszym kraju, tak jak doprowadziła w Związku Radzieckim, do zdobycia milionowego czytelnika dla książki i gazety, do światła elektrycznego, pełnej szkoły i lekarza w każdej gminie, jest ścisłe związanie pracowników kultury z Partią. Tylko w oparciu o Partię potrafimy walczyć z drobnomieszczańskimi gustami w literaturze i sztuce, tylko biorąc czynny i zdyscyplinowany udział w walce klasowej i powiększając nasze doświadczenie społeczne i polityczne, potrafimy oprzeć się nihilizmowi i aż do ostatecznego zwycięstwa walczyć świadomie krok za krokiem z ciemną nocą imperializmu, oczyszczać nieubłaganie naszą kulturę i moralność z osadu wszystkich mitologii, jaką zostawiły lata przemocy człowieka nad człowiekiem.

Dzień Zjednoczenia Partii Robotniczych jest wielkim dniem dla polskiej kultury.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Wszelkie etapy rozwoju świadomości proletariatu, wszelkie fakty polityczne dotyczące ruchu robotniczego są powiązane funkcjonalnie z odpowiednimi przemianami w dziedzinie kultury: nowy etap rozwoju ruchu robotniczego, w który wkraczamy z chwilą zjednoczenia partyj robotniczych, ma dla literatury, sztuki i całej sfery zagadnień kulturalnych przede wszystkim **głęboki sens ideologiczny.** Dla każdego, kto rozumie na czym polega ideologiczna funkcja twórczości artystycznej w ogóle — jest to jasne.

Sztuka, aczkolwiek niekiedy z pewnym opóźnieniem, odzwierciadla zawsze etapy gospodarczego i społecznego rozwoju, jest kształtowana zawsze przez rzeczywistość. Niezawsze natomiast jest sama czynnikiem naprawdę twórczym, kształtującym, którym być powinna, jeśli ma spełniać funkcję naprawdę postępową, jeżeli ma być katalizatorem społecznych przemian, a nie wlec się w ich ogonie.

O taką postępową funkcję sztuki walczy ideologia marksistowska w ruchu robotniczym. Doniosły fakt zjednoczenia ruchu robotniczego, likwidujący dwutorowość wysiłków klasy robotniczej i stałe niebezpieczeństwo niepotrzebnego i niebezpiecznego rozbicia sił walczącego proletariatu, wykorzystywanego notorycznie przez siły mu wrogie, nie może nie wpłynąć w sposób decydujący na świadomość człowieka — twórcy kultury.

W pierwszym rzędzie przyczyni się on napewno do dynamizacji tych czołowych sił kulturotwórczych jakie reprezentuje aktyw pisarzy, plastyków, muzyków itp. pracowników kultury. Likwidacja wewnętrznych przeciwieństw, tkwiących w samym ruchu robotniczym pozwoli na jaśniejsze sprecyzowanie zadań leżących przed pisarzem czy artystą. Pozwoli mu na zajęcie stanowiska, które obejmie pespektywami swymi nie tylko daną pisarzowi w doświadczeniu rzeczywistość, ale także dające się z niej wyprowadzić i wynikające ze świadomej postawy ideologicznej wnioski i zadania na przyszłość.

Praktycznie wydaje się rzeczą pewną, iż zjednoczenie ruchu robotniczego wpłynie na wzmocnienie ideologicznego frontu sztuki, na jej — w jak najszerszym tego słowa znaczeniu pojęte — **upolitycznienie.** Czy wpłynie to w jakimś stopniu na ograniczenie swobody twórczej artysty?

Jest rzeczą nie podlegającą dziś dyskusji, że pojęcie swobody twórczej, jak też pojęcie wolności w ogóle, ma charakter czysto negatywny. Wskazanie dróg i zadań artystom, zaangażowanie ich w walce o określony ideał społeczny niewątpliwie odbiera sens wielu stanowiskom, jakie teoretycznie rzecz biorąc mogliby zająć, zmusza do poniesienia konsekwencji wyboru jakiego dokonają. Jeżeli jednak może to być w iluzorycznej perspektywie jakiegoś integralnego egzystencjalisty uznane za ograniczenie — nie wahajmy się stwierdzić: ograniczenie, wybór, selekcja — to kardynalne warunki powstania dzieła sztuki. Czy dotyczą one tylko wąsko pojętego, formalnego zagadnienia środków artystycznych? Na pewno nie. Wybór ideologii, wybór stanowiska — to także wybór, którego musi dokonać artysta. Jeżeli dokonanie go nazwiemy ograniczeniem, stwierdźmy, że będzie to napewno ograniczenie conajmniej równie płodne artystycznie, co selekcja w zakresie doboru właściwych środków artystycznego wyrazu, właściwych rozwiązań formalnych dla tworzonego dzieła sztuki. Przed sztuką zaangażowaną, sztuką walczącą leżą na pewno wspaniałe perspektywy rozwoju, mimo rezygnacji z wielu urzekających pokus, jakie stanowi dla pewnego typu artystów kreowanie i analiza stanów społecznego rozkładu i psychologicznej rozterki, zwątpienia, pełnego załamań procesu poszukiwań. Choć z drugiej strony, jeśli chodzi o te ostatnie, — nie jest od nich wolna żadna sztuka prawdziwie wielka, a więc nawet sztuka najbardziej zaangażowana i walcząca.

Stosunek kierownictwa ruchu robotniczego, a więc czynnika społecznego i politycznego do spraw kultury, nabierze zapewne z chwilą zjednoczenia ruchu robotniczego znaczenia większego, niż dotąd, chociażby z uwagi na koncentrację tkwiących w tym ruchu sił społecznych i zwiększenie wagi tego czynnika w życiu zbiorowym. Czynnik społeczno-polityczny stanie się niewątpliwie w stopniu większym niż dotąd czynnikiem postulującym, rzecznikiem zamówienia społecznego i wiążącej artystę krytyki społecznej. Może to stać się zjawiskiem najgłębiej pozytywnym dla sztuki prawdziwie zaangażowanej, jeśli potrafi ona zrozumieć ile korzyści dać jej może tego rodzaju żywy stosunek czynnika reprezentującego masy odbiorców do spraw kultury i jeśli z drugiej strony stosunek tego czynnika do spraw kultury będzie światły i rozumny.

Wspólnym zadaniem zaangażowanych w walkę o socjalizm pracowników kultury i działaczy społecznych winno stać się przezwyciężenie atmosfery wzajemnych pretensyj między twórcą a odbiorcą, polegających z jednej strony na ciągłym rozdzieraniu szat przez artystów, że od sztuki czegoś się żąda, z drugiej — na zbyt pochopnym niekiedy potępianiu niedoskonałego może, ale rzetelnego i ożywionego najlepszą wolą wysiłku artystów, w czym celują różni skwaśniali bankruci, którzy sami ponieśli klęskę na polu artystycznym i odgrywają się, uprawiając szkodliwe próby „likwidowania" wszystkiego co przekracza ich ubogą wyobraźnię. Potężny, zjednoczony ruch robotniczy jest warunkiem i dźwignią powstania wielkiej, swobodnej twórczości, zaangażowanej w walce o socjalizm, twórczości odzwierciadlającej bez niedomówień i fałszywej idealizacji skomplikowaną rzeczywistość i jej dialektyczne sprzeczności. Od nas wszystkich, odbiorców i twórców, artystów i polityków zależy czy sztuka taka powstanie.

ADAM SCHAFF

Jest dziś jasną dla każdego sprawą, że zjednoczenie ruchu robotniczego jest początkiem nowego etapu rozwojowego Polski ku socjalizmowi. Fakt ten, który posiada historyczne znaczenie dla naszego kraju, można rozpatrywać z rozmaitych stron: znajduje on swoje odbicie w każdym aspekcie życia społecznego.

Dla pracowników nauki oznacza głębokie przemiany na polu kultury i nauki. Nauka marksistowska, która zatacza coraz szersze kręgi i zdobywa coraz większy wpływ w naszym życiu kulturalnym, stoi obecnie przed nowym, wyższym etapem swego rozwoju w Polsce. Jest to zagadnienie bardzo wielostronne, do którego można rozmaicie podchodzić. Nie ulega wątpliwości, że istnieje ciągle jeszcze poważna rozpiętość między przemianami w dziedzinie polityczno - ekonomicznej oraz przemianami kulturowymi, które miały miejsce w Polsce. Świadomość społeczna ciągle jeszcze nie nadąża za przemianami w dziedzinie materialnych warunków bytu naszego kraju. Wyrównanie tej różnicy, i to w przyśpieszonym tempie, oto zadanie nauki marksistowskiej na nowym etapie. Jest to zadanie trudne. Polega ono bowiem w pierwszym rzędzie na dokonaniu przełomu na froncie kształcenia młodych kadr naukowców-marksistów, tych, którzy winni być nosicielami nowej kultury i nauki w Polsce. To niezwykle odpowiedzialne, ale zarazem trudne zadanie wysuwa przed naukowcami - marksistami w Polsce Zjednoczenie polskiej klasy robotniczej i przyśpieszony marsz ku socjalizmowi.

JULIAN TUWIM

Myśli moich o tym wielkim święcie, jakim jest zjednoczenie partii robotniczych, nie potrafiłbym wyrazić żadnymi „wyrozumowanymi" słowami, żadną formułą, choćby się ułożyła najefektowniej. Zbyt wiele **uczuć** i żywych, wypukłych wspomnień wiąże się we mnie z pojęciem klasy robotniczej, zbyt wiele obrazów z jej życia codziennego plastycznie utrwaliło się we mnie, abym się mógł ograniczyć do napisania jakiejś wypowiedzi pozbawionej pierwiastka emocjonalnego, czy też dorzucenia jakiegoś hasła czy wezwania.

Pochodzę z największego robotniczego miasta Polski, z miasta Łodzi, z którego przeniosłem się do Warszawy mając lat dwadzieścia pięć, więc już w pełni ukształtowany psychicznie, już „poeta". Chłonna wyobraźnia dziecka, pierwsze bunty młodzieńcze, pierwsze wcielenia doznań w słowa — wszystko co w życiu najważniejsze i najpamiętniejsze powstało i rozwijało się w mieście, którego atmosferę stworzyła walka klasowa, ciężka praca wyzyskiwanych mas, nędza tysięcy licho płatnych najemników — i luksusy kilkudziesięciu fabrykanckich familii, z dnia na dzień tyjących i pęczniejących kosztem chudnących i koślawiejących z dnia na dzień dzieci robotniczych. Dla mnie, Łodzianina, ta codzienna krzywda robotnika nie jest czymś teoretycznym, zasłyszanym, lub z książek wyczytanym. Bawiłem się z tymi dziećmi - upiorkami na zaszczurzonych podwórzach, bywałem w ich nędzarskich mieszkankach. A gdy, po latach dostąpiłem zaszczytu bywania w pałacach łódzkich nababów i w ich wypielęgnowanych, ekskluzywnych ogrodach, przekonałem się naocznie o całej grozie kontrastu między życiem ludzi ciężkiej pracy a próżniaczych jaśniepanów. Wielkim głosem w głuche niebo krzycząca niesprawiedliwość społeczna zapadła głęboko w moją pamięć i trwa jako coś realnego, jako fakt.

W tej samej Łodzi przeżyłem jako dziesięcioleni chłopiec rewolucję roku 1905. I ją także jak żywą mam przed oczyma. *Barykady na ulicy Piotrkowskiej, trupy robotników,* ich krew na jezdni, ich czerwone sztandary nad czarną, zwartą masą demonstrantów, to dla mnie nie legendy i opowieści, ale konkretne wydarzenie. Jednym z wrażeń najtragiczniejszych były walki bratobójcze między robotnikami różnych partii, podsycane przez złodziejską „chewrę" Scheiblerów, Poznańskich, Grohmanów i innych obrastających milionami brzuchaczy. Nędzarz strzelał do nędzarza, suchotnik do suchotnika, a na ich rozdwojeniu tłuści robili coraz lepsze interesy. Jak na każdej wojnie. Byli solidarni, zjednoczeni, jednolici i nieubłagani.

Wszystko to jest dla mnie, wychowanego w mieście Łodzi, częścią mego życia; jaskrawym i do dzisiaj wyraźnym obrazem, malowanym barwami dymu, sadzy, krwi, sinego ubóstwa proletariatu i złotego przepychu kapitalistycznej tyranii; jest dotąd brzmiącą w uszach symfonią fabrycznych maszyn, socjalistycznych pieśni i rewolucyjnej kanonady roku 1905. To nie z lektury, powtarzam — to z biernego wprawdzie, ale prawdziwego uczestnictwa dziecka i młodzieńca w codziennym dramacie walki klasowej, którym kipiała robotnicza Łódź.

Aż tyle na temat mego **prawa** do zabierania głosu w dniu święta polskiej klasy robotniczej.

Czasy, gdy robotnik był pariasem, minęły bezpowrotnie. Na jednej szóstej naszego globu powstało, umocniło się, i w swym rozwoju niepowstrzymanie idzie naprzód, państwo i społeczeństwo, które zmiażdżyło przemoc kapitalistów i za burtę ziemi wyrzuciło wyzysk człowieka przez człowieka. Od tej olbrzymiej czerwonej daty na kalendarzu historii zaczęła się na ziemi nowa epoka. Dzisiaj na całym świecie, od Grecji do Chin, od kopalni Francji do wysp Indonezji, walczą obudzone miliony „wyklętych" i uciśnionych. Przerażenie pada na zagrożonego Bankiera z za oceanu, który już tylko w nowej wojnie widzi jedyny swój ratunek.

W tej atmosferze dokonywa się wielki historyczny czyn zjednoczenia polskiej klasy robotniczej. Ale trzeba pamiętać, że to nie tylko nasza lokalna sprawa, to nie tylko staropolskie „kochajmy się" i dajmy sobie buzi z dubeltówki. To jedno z ogniw pałającego łańcucha, który coraz mocniej „opasuje ziemskie kolisko" a tym samym — gardziele wyzyskiwaczy, imperialistów i dolarowych szantażystów. Dokonanym zjednoczeniem polska klasa robotnicza włączyła się do wszechświatowego marszu, do wszechświatowych szeregów walczących o ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości na ziemi.

Jako bezpartyjny inteligent (ale bezpartyjny to wcale nie znaczy apolityczny, ani „bezstronny", ani „obiektywny") przesyłam robotnikom łódzkim i robotnikom całej Polski pozdrowienie pełne wiary i radości.

(Dalszy ciąg na str. 10)

CELINA BOBIŃSKA

Póty w szkołach rząd dobry kwitnąć nie może...

„Dopóki szkoła znajdowała się na łasce inicjatywy prywatnej, nowy kierunek umysłowy nie mógł stać się powszechnym; dopóki była w ręku zgromadzeń zakonnych — musiała w działaniu na szersze warstwy społeczne spotykać się z oporem ducha kościelnego. Wyzwalała go spod kontroli duchowieństwa i zamierzała uczynić powszechnym dopiero wielka reforma szkolna, podjęta przez państwo po dokonanej w roku 1773 kasacie Jezuitów".

(Smoleński: Przewrót umysłowy str. 234)

LUBIŁA szlachta nasza w czasach przedrozbiorowych schlebiać sobie, że Polska to nowa republika ateńska Później mawiano, że jesteśmy Francją północy, z jednego zaś nie mało ważnego względu można nas było nazwać — północną Hiszpanią: ze względu na ilość klasztorów w kraju, ze względu na wielką feodalną potęgę panów kościoła, ze względu na ciążenie klerykalizmu, dogmatyzmu i teologii nad naszym życiem społecznym i umysłowym.

Oświata była w rękach zakonów. Szkół świeckich nie było wcale. W połowie wieku Jezuici zwalczali Kopernika argumentem, że gdyby się ziemia kręciła, „z powodu obrotu ziemi tak prędkiego musieliby wszyscy ludzie zawrót głowy cierpieć, jak cierpi ten, kto długo i prędko w koło się kręci", a ich wychowankowie odnosili łatwe zwycięstwo nad Kopernikiem za pomocą następujących wierszy:

„Mówisz, że słońce śtoi, ziemia w koło chodzi
gdyś to pisał, pijany byłeś albo w łodzi".

Palenie i topienie wiedźm było jeszcze rzeczą codzienną, gdy rozpoczęła się inwazja do Polski racjonalistycznej literatury z zachodu. Przywożenie do kraju zdrożnych książek było bodajże pierwszym pożytecznym dla Polski importowym przedsięwzięciem szlachty polskiej.

WALKA O ŚWIECKĄ SZKOŁĘ W XVIII WIEKU

Nieśmiało brzmiały z początku pojednawcze głosy, że „układ Kopernika" nie przeczy wierze, gdyż rzeczy te „ani do wiary ani do dobrych obyczajów należą". Gdy Świtkowski w swoim Pamiętniku „Historyczno-Politycznym" zawiadamiał z radością i dumą, iż stanął na zamku królewskim pierwszy „Konduktor" („piorunochron), Komisja Edukacyjna działała już od 11 lat.

Ks. Adam Czartoryski, podkanclerzy Joachim Chreptowicz, Andrzej Zamojski, Ignacy Potocki nie nosili czapek jakobińskich. Nie, jakobinami bynajmniej nie byli ci przeważnie dystyngowani możni panowie, lecz w dziedzinie kultury i ideologii działali wówczas iście rewolucyjnie.

Bo wielką wolę przemian kulturalnych trzeba było posiadać, wielką pasję trzeba było mieć i ogromną nienawiść do obskurantyzmu czuć, aby w owym wieku zwalczania Kopernika i palenia wiedźm wystąpić do walki o świecką szkołę w Polsce. Dodajmy, że jeszcze w r. 1776 było w Polsce 39 eks-jezuickich szkół, 19 pijarskich, 6 bazyliańskich, jedna — księży komunistów — a świeckiej nie było ani jednej (według Smoleńskiego).

Komisja wyrosła z rewolucyjnych zasad pedagogicznych burżuazyjnego Oświecenia, z zasad Locke'a, Condillaca, Rousseau, La Chalotais. Ale była pierwszym ich praktycznym urzeczywistnieniem, była pierwszym świeckim Ministerstwem Oświaty w Europie, które jako swe naczelne zadanie wysunęło cel, aby szkołę zrobić rzeczą ogólnopaństwową, narodową, aby rozbudzić troskę państwa i narodu o szkołę aby wyrwać formowanie młodych umysłów z klasztornego zaduchu.

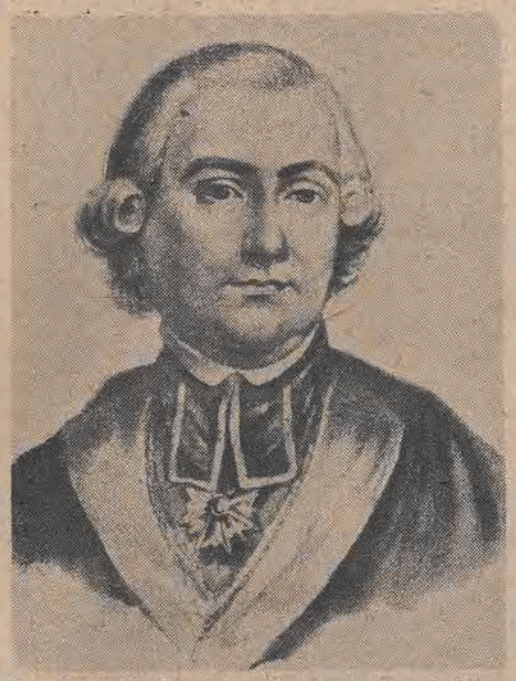

Ks. Hugo Kołłątaj (według rysunku J. Głowackiego)

Antyklerykalizm Komisji Edukacyjnej był jedną z jej zasadniczych cech, nie był jednak punktem wyjścia, lecz konsekwentnie wynikał z kierunku jej prac, z jej dążeń, celów i zasad naukowych, o które się opierała.

Kraje Europy wstąpiły w wielki wyścig przemysłowo-handlowy. Światli ludzie w zacofanej Polsce rozumieli, że jeśli ich ojczyzna ma do tego wyścigu stanąć, potrzebni jej są przedsiębiorczy, zuchwali zdolni ludzie, ludzie „umielcy", obeznani z zawodami praktycznymi, że potrzebni jej są wykształceni mężowie stanu, znający historię, geografię i ustawy prawne krajów Europy, w której Polska się znajduje. Stąd jako wniosek wynikało, że trzeba zaprzestać produkowania w licznych szkołach zakonnych zakutych łbów szlacheckich nabitych teologią i metafizyką, że wręcz trzeba rozpocząć szkolenie pożytecznych obywateli NOWOŻYTNEGO państwa.

Wraz z nowymi pojęciami o racji państwowej, o zadaniach handlu i przemysłu, o jedności narodowej, szerzyły się w Polsce postępowe, burżuazyjne idee wychowawcze. Jedna z zasadniczych tez Oświecenia: **jakie będzie wychowanie, takie będzie społeczeństwo**, przyczyniła się do tego, że oświata zajęła centralne miejsce w ówczesnym ruchu ideowym.

Na podstawie całego bogactwa racjonalistycznej myśli rozkwitła w Polsce nauka o edukacji i wychowaniu. Zderzyła się ona, a zderzenie to było nieuniknione, z całym dotychczasowym, klerykalnym stylem wychowania. Wydobyła na jaw cały archaizm i barbarzyństwo klerykalnego szkolnictwa. Grunt pod tym względem przygotowali Bracia Pijarzy. Konwikty Konarskiego próbowały znaleźć kompromis między dwoma biegunami ideologicznymi i metodycznymi w szkolnictwie. Faktycznie prowadziło to do tego, że Pijarzy obalali zasady klerykalnego szkolnictwa. W okresie Komisji Edukacyjnej sprawa wychowania przerosła ramy kompromisu. Szkoły Pijarskie odegrały już swoją historyczną rolę. Zasady wychowawcze, reprezentowane przez Komisję Edukacyjną, mogła zrealizować już tylko szkoła z gruntu świecka.

Bo i w samej rzeczy, czy można było pogodzić wychowanie praktyczne, oparte o analityczną zasadę poznania, oparte o poznawanie otaczającego, namacalnego konkretnego świata, gleby, przyrody, geografii, historii swego kraju, wykształcenie o przewadze nauk ścisłych, fizyki i matematyki, zaprawiające umysł do rzeczy konkretnych i określonych — czy można było pogodzić ten system kształcenia, najmniejszej szparki nie pozostawiający dla mistyki, z tradycją nauczania pamięciowego, z tępym kuciem martwych łacińskich formułek i teologicznych dogmatów przeczących temu zdrowemu rozsądkowi, jaki rozwijała w młodzieży Komisja Edukacyjna? Komisja Edukacyjna, kładąc nacisk na nauczanie fizyki, wymagała dodatkowo, aby fizyka ta „zasadzana była na praktyce, doświadczeniu, opuściwszy niepotrzebne spory filozofów o początkach ciał oraz inne pytania szkolne, korzyści nie przynoszące innej prócz zakłócenia lub metafizyki niepożytecznej". Toteż Komisja, zgodnie ze swymi założeniami, zabraniała używać w swych szkołach takich książek przyrodniczych, które zawierały teorie biblijne. Nauczyciele Komisji podnosili w oczach uczniów potępianego w szkołach zakonnych Kartezjusza, jako że uczył on „powątpiewać o wszystkich rzeczach".

Ksiądz zakonnik z jego starymi podręcznikami staje się rażąco niepotrzebny, wobec nowych, zwycięskich prądów pedagogicznych. Miał śmiałość głosić to dość wcześnie, bo jeszcze w roku 1766, ks. Adam Czartoryski, który założył pierwszą w Polsce uczelnię świecką — Szkołę Rycerską. W swoim „Katechizmie Rycerskim" odrzucając dogmatyczne zasady moralne, tworzył on podstawy nowej moralności, pojmowanie obowiązku moralnego w oparciu o dobro publiczne, o obowiązek i odpowiedzialność wobec ojczyzny. Komisja Edukacyjna w nauczaniu przeciwstawiała teologii naukę moralną. Zadaniem tej nauki było wdrażanie nowych norm moralno-społecznych, uprzystępnianie młodzieży znajomości doczesnego, konkretnego społeczeństwa, w którym miała żyć i działać. Mądrzy ludzie z Komisji Edukacyjnej już wówczas, przed 150 laty, rozumieli znaczenie kadr pedagogicznych. Walkę o zeświecczenie szkoły podjęto przy całkowitym braku nauczycieli nieduchownych, niezakonnych, nauczycieli świeckich. Toteż Komisja Edukacyjna ogromną zwraca uwagę na szkolenie nauczycieli. Z jej to inicjatywy Sejm Czteroletni, po raz pierwszy w historii Polski, wysoko ocenił społeczną i wychowawczą rolę nauczyciela. W końcowym okresie działalności Komisji już czwarta część nauczycielstwa polskiego była świecka. Nie było to mało na owe czasy. Ks. Staszyc tak uzasadniał szkodliwość teologii i metafizyki w szkole:

Joachim Chreptowicz
(według miedziorytu J. Lampiego)

„Człowiek nie rodzi się do metafizyki... Nie ma nic wrodzonego, wszystkiego przez swoje zmysły dochodzi. Jakże ma poznać, albo na cóż mu się przyda tych rzeczy poznanie, których ani widzieć ani dotknąć nie potrafi. Największy metafizyk z człowieka pospolitego rozumu nie wychowa, tylko bigota"...

„Sposób uczenia się teologii jest zupełnie przeciwny sposobowi dochodzenia i poznania natury. Pierwsza same prawdy wieczne posiada, druga dopiero szukać ich każe. W pierwszej wszystko wiemy, w drugiej mało znamy. W nabieraniu przyrodzonych wiadomości trzeba wszystko widzieć, uważać, dotykać i doświadczać. W nauce boskiej doświadczenie w błąd wprowadzi, sama wiara doskonałym czyni. Ta zepsułaby młody umysł. Niechaj wróci się teologia do seminarium, jak w początkowym Kościele bywało".

Zaiste jasno miał w głowie ksiądz kanonik. Jaśniej niż bardzo wielu jego kolegów po 150 latach.

Zasady te, które tak dobitnie nasz kanonik wyłożył, realizował w swych doskonałych ustawach i podręcznikach ks. Piramowicz, a ks. Kołłątaj z pasją i sobie właściwym temperamentem tępił teologię i metafizykę w krakowskim Uniwersytecie, wypędzał ją przy pomocy anatomicznego laboratorium i astronomicznego obserwatorium. Ksiądz Franciszek Jezierski, jako kurator szkolny, gorąco zwalczał obskurantyzm szkół zakonnych. Potęga nowej ideologii wieku Oświecenia ujawniała się także w tym, że zdobywała dla siebie najlepsze głowy spośród stanu duchownego. Jedyne w swoim rodzaju były to czasy, kiedy spośród duchowieństwa polskiego wyszło tylu wojujących racjonalistów, tylu antyklerykałów. Głęboką wymowę posiada fakt, że aby stanąć na poziomie myśli pedagogicznej i naukowej swego czasu, musieli postępowi duchowni (pozostając wszakże często ludźmi wierzącymi) uznać szkodliwość klerykalnego wychowania i stanąć do walki o wydarcie oświaty z rąk duchowieństwa.

Była to walka zażarta. Ostre jej formy zdradzały, iż wbrew wszelkim pozorom była fragmentem walki społecznej — walki klasowej. Sprzeciw i opór wobec nowej szkoły polskiej z polskim językiem wykładowym, walka o utrzymanie martwej szkoły łacińskiej, nawet walka o utrzymanie odrzuconego przez Komisję Edukacyjną starego podręcznika łaciny, tzw. „Alwara", i sabotowanie nowego podręcznika łaciny Kopczyńskiego, walka przeciwko „nauce moralnej" oraz wykładaniu historii naturalnej, prowadzona przede wszystkim przez rozmaitego rodzaju najbardziej oporne zakony: Braci Krzyżaków, Kanoników Regularnych, Bazylian, Księży Komunistów, w oparciu o całą reakcyjną, przesądną i zacofaną prowincję szlachecką — była przecież zaciekłą walką starego feodalnego ustroju o panowanie nad duszami młodzieży, nad duszami przyszłej Polski. Martwy chwytał żywego. Teologia i metafizyka był to oręż ginącego średniowiecza. Podręcznik geografii, historii ojczystej, przyrząd astronomiczny i butelka Leideńska — to były celne pociski postępu, który walczył o odrodzenie Polski, o to, by narodziła się Polska nowoczesna.

„WIELEBNE GŁUPSTWO" PRZECIW OŚWIACIE

Ponury obraz walki obozu ciemnoty przeciwko dziełu Komisji Edukacyjnej malują nam prace historyków z prawdziwego zdarzenia, tych historyków, którzy nie ulegli kabotyńskiemu zakłamaniu, więc przede wszystkim prace Smoleńskiego.

Świeckich nauczycieli (reprezentujących kierunek Komisji Edukacyjnej) ich zakonni koledzy otaczali atmosferą wrogości, szantażu i kalumnii. Traktowano ich jako lokai. Ośmieszano ich nawet w kościele. Mobilizowano przeciwko „fraczkom" opinię szlachty. Wytaczano przeciw nauczycielom świeckim sprawy o bluźnierstwo, o niemoralność, o znieważanie świętości. Trzeba było posiadać nie byle jaki hart i wierność swym ideom, aby być świeckim nauczycielem w ówczesnej szkole. Toteż wizytator Komisji wnioskował:

„Póty w szkołach tutejszych rząd dobry kwitnąć nie może, póki w nim osoby eks-jezuickie do dawnej przyzwyczajone edukacji, pierwszeństwo trzymać będą".

Ks. Stanisław Konarski

Stanisław Kostka Potocki
(według obrazu Józefa Grassiego)

Starali się obskuranci w sukienkach zakonnych obrzydzić samą naukę w szkołach Komisji. Dowiadywała się Komisja, iż rozpowszechnia się wśród szlachty plotki, że „prześwietna Komisja głupstwa jednego nauczać każe, że mądrych chce wygubić".

Raporty Franciszka Jezierskiego, wizytatora generalnego, a później głównego „Kuźniczanina", wykazują całą siłę sabotażu i wojny podjazdowej, jaką prowadzono na prowincji przeciwko szkołom K. E. Oto w jednym miejscu do Wielkiej Nocy uczą według starego Alwara oraz metafizyki. Tylko od Wielkiej Nocy i to tylko „dla udawania przed wizytatorem" — według nowych podręczników i programów. Najbardziej starano się zohydzić niestrawną dla kleru „Historię naturalną" a więc naukę przyrody. Pisze Jezierski do Komisji:

„Trafiało się, że na popisach wykładali część historii naturalnej, rozciągając umyślnie jedną materię, a tym samym, żeby nowo przepisany sposób podać w ohydę. Raz zaczęli o gołębiach popisywać się; obywatele słysząc to udali się do szemrania: „A cóż to? Czy to o gołębiach samych uczyć tylko będą"? Na te utyskiwania obywatelów, profesorowie spuściwszy w dół oczy i pomięszawszy słowa z westchnieniem: „Takie nam nauki przepisuje Komisja Edukacyjna".

Rezultatem takiej propagandy był masowy sabotaż szkół Komisji ze strony szlachty. Jest rzeczą charakterystyczną, że antyklerykalizm Komisji Edukacyjnej szedł w parze z troską o tworzenie szkolnictwa ludowego i dobrego elementarza, a Jezierski nie tylko dba o przestrzeganie zasad metodycznych Komisji Edukacyjnej, lecz gdzie może tępi wśród młodzieży przesądy oraz przekonanie o wyższości stanowej, przekładając jej, że „choć urodzeni w stanie szlacheckim", „nie powinni nigdy pogardzać żadną inną klasą obywatelów", i że człowiek co wynalazł solenie śledzi, wart jest więcej niż szlachcic dobrze urodzony.

Nierównej walce między Komisją Edukacyjną a potężnym jeszcze obskurantyzmem, któremu przodował kler, położyła kres Targowica. Wtedy to, szukając ratunku przed „Historią naturalną" i fizyką doświadczalną, rzucił się kler w objęcia Konfederacji. Z ambon błogosławiono pracę Konfederacji Generalnej". Jakoż nie zawiodła ona nadziei i ratując od „postępowców" „religię, moralność i duchowieństwo", zniweczyła dzieło Komisji Edukacyjnej.

Mówiąc o zaciekłej walce reakcji z Komisją Edukacyjną nie zapominajmy, że miała też ona potężnych sojuszników w postaci postępowej opinii publicznej oraz antyklerykalnej postawy obozu patriotów a nawet dużej części umiarkowanej szlachty. Społeczeństwo żądało ukrócenia potęgi kleru jako potentatów feodalnych, żądało ukrócenia jego bezkarności prawnej i nagięcia go do pełnienia elementarnych obowiązków wobec zagrożonego państwa. Z inicjatywy króla kładziono kres pomnażaniu fundacji klasztornych. W projekcie Kodeksu Andrzeja Zamojskiego, sprawa ograniczenia samodzielności prawnej kleru była bodaj jedyną którą Sejm podjął i aprobował. Pomimo uporczywego sprzeciwu kleru, Sejm jednak zmusił go aby wpłacał 20 proc. dochodów do Skarbu Państwa plus subsidium charitativum. Obóz postępowy żądał kasaty klasztorów. Towarzyszył tym pracom Sejmu ostry osąd przez opinię publiczną rozpusty i ciemnoty kleru.

Krasicki szydzi z „wielebnego głupstwa" co „od wieków siedziało pod starożytnym schronieniem świątnicy", Trembecki pisze o księdzu, co „oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni". Węgierski wyśmiewa kanonika, co

„nieużyteczny ni sobie ni drugim,
uległ pomiędzy kucharką a puchem".

Cieszą się popularnością tłumaczenia wyśmiewające mnichów „człekotwornych, kapturzystych, żłopiących" — co się „tuczą w próżniactwie". Publicystyka karci ostro księży, którzy nie chowają na cmentarzach ludzi biednych, gdyż nie mogą zarobić na ich pogrzebie.

W momencie gdy kraj upadał m. in. z braku armii, opinia publiczna wskazuje na wielkie dobra kościoła i klasztorów, nie przynoszące żadnego pożytku sprawie publicznej. Toteż nie tylko Kołłątaj mówi w Sejmie ostrożnie lecz stanowczo, iż kościół musi ponieść ofiary na rzecz państwa; nawet pisarze umiarkowani żądają sekularyzacji dóbr kościelnych. Taki np. obskurant jak kasztelan Jacek Jezierski (nie mylić z Franciszkiem Jezierskim) pisał: „cóż to za szkoda dla duchowieństwa, że odda połowę tych dóbr, których nie kupiło, ani po rodzicach nie wzięło, aby drugą połowę ocalić. Przeto wiara nie upadnie, chwała boska nie ustanie, choćby żadnego kanonika, opata nie było, a Polska wolną ostać się nie może bez 100.000 wojska". Inny zaś umiarkowany autor żądanie sekularyzacji popiera uwagą, że duchowieństwo nie spełnia sumiennie swych obowiązków. Bo „skutkiem bałamutnej nauki duchownych" „pospólstwo w Polsce ludzką tylko postawą od nierozumnych się różni zwierząt", „jest bałwochwalcze... wszystko zwala na Boga, od którego nieustannych chce cudów..." Staszic z całą siłą dowodzi w „Przestrogach":

„Prócz plebana i biskupa żaden inny duchowny jest niepotrzebny, a tym samym szkodliwy. Bo tylko z cudzej pracy je i pije. Takie wydatki utrzymywać Rzeczpospolita nie jest w stanie".

Staszic proponuje, żeby „poznosić" „nieużyteczne klasztory, wszystkie prebendy, altarie, kanonie i doktory, kollegiaty, infułaty, opaty, prałaty..."

Walczący z kościołem, wołający o uszczuplenie jego majątku, o to, by klasztory przestały „odrywać młodzież od rzemiosł i handlu", o to, aby pozbawić kler szerzenia w szkołach „bałwochwalczości" — w większości uważali się za ludzi wierzących i byli takimi. Sprawy wiary oddzielali od spraw kleru jako warstwy społecznej, warstwy pasożytniczej, zdemoralizowanej i reakcyjnej, która potęgowała nacisk feodalnej przeszłości na słabe, kiełkujące elementy nowożytnego ustroju i nowożytnej ideologii. Stali oni na stanowisku, że kler powinien być pozbawiony decydującego wpływu na sprawy publiczne i na młodzież. Ówczesny antyklerykalizm był nieodłączną i charakterystyczną cechą polskiego postępu. Targowica, dławiąc postęp, położyła kres i tej stronie jego działalności.

„PODRÓŻ DO CIEMNNOGRODU"

Gwałt, zadany przez Targowicę polskiemu postępowi, nie mógł zapobiec żywotności tradycji. Tradycja żyje w wieku następnym, zdawałoby się, w najmniej sprzyjających czasach. Atmosfera, w której działał i pracował Stanisław Kostka Potocki, była odmienna od atmosfery czasów Sejmu Czteroletniego. Wówczas Polska znajdowała się w orbicie potężnego promieniowania myśli i czynu rewolucji francuskiej. A w kraju rozwijał się wielki ruch polityczny, w toku którego poddawano krytyce i rewizji niewzruszone zdawałoby się tradycje i świętości. Natomiast po Kongresie Wiedeńskim i po utworzeniu Świętego Przymierza zupełnie inaczej ułożyły się stosunki w Europie i w Polsce. Ogólnoeuropejska ofensywa reakcji określiła także stosunek sił na polu ideologii i oświaty. Pod względem ideologicznym ofensywę tę charakteryzował De Maistre i Chauteaubriand. W ojczyźnie europejskiej rewolucji kongregacje opanowywały oświatę. W Polsce w pierwszych latach Królestwa ruch społeczny i umysłowy posiadał złudne oparcie w nieokreślonych „liberalnych" nastrojach Aleksandra, nie opierał się natomiast o głębsze prądy społeczne w samej Polsce.

Wobec agresywnej postawy kleru i wstecznictwa, w sytuacji, która z roku na rok zmienia się na gorsze, Stanisław Kostka Potocki walczy o wskrzeszenie wielkiego dzieła Komisji Edukacyjnej. Podejmuje on sprawę szkół elementarnych, nie zważając na sprzeciw szlachty. Walczy z klerykalizmem w życiu publicznym i w oświacie, przede wszystkim z klasztorami. Wyjednuje w końcu w Rzymie zniesienie kilkudziesięciu klasztorów, sekunduje „Towarzystwu Szubrawców" występuje jako antyklerykalny autor w swych „Świstkach krytycznych" w „Pamiętniku Warszawskim". W 1820 roku, w roku, gdy w Polsce w Europie szala wyraźnie już przechyliła się na korzyść reakcji. Potocki drukuje swoją „Podróż do Ciemnogrodu", którą przypłaca utratą stanowiska a właściwie — i życia.

Formy literackiej dla swej satyry Potocki nie potrzebował długo szukać. Podpowiedziała mu ją tradycja wolteriańska. Jedzie więc bohater Potockiego do jakiejś fantastycznej krainy „Ciemnogrodu", gdzie — rzecz dziwna — mówią „z czeska polskim językiem"; życie ciemnogrodzkie to zgęszczony obraz ciemnych stron życia polskiego, przeplatany bajkową fantazją. Ciemnogród jest ojczyzną smorgońskiego zakonu, co „od wieku zawiązał się przeciw oświacie" i który ma za zadanie we wszystkich krajach Europy popierać ciemnotę, przesądy, barbarzyństwo, popierać je przeciw nauce i oświeceniu oraz dźwigać z upadku kler i klasztory jako głównych przedstawicieli ciemnoty.

Ciemnogród to kraj „mało ludny i źle uprawny", z nędzą rolników. W tym biednym kraju jedynie zamki oraz klasztory są piękne i bogate. Ich „złociste szczyty i wyniosłe wieże zdawały się natrząsać z nędzy reszty kraju. „W klasztorze, „jednym z najuboższych w kraju", podróżnicy Potockiego zatrzymują się na popas. Piękną świątynię obsługują opaśli, gnuśni, wiodący życie w opilstwie i obżarstwie bonzowie (bonzami zwie Potocki ciemnogrodzki kler). Bonzy klasztorne nie mogą czasu spędzać inaczej, gdyż wszystkie książki poza teologicznymi w Ciemnogrodzie się pali a uboga biblioteczka klasztorna jest surowo strzeżona przed braciszkami, którzy by zbyt łakni byli wiedzy. Wytłumaczeni w ten sposób ze swej ignorancji, braciszkowie wznoszą wesołe toasty za „zniszczeniem wszelkiej oświaty".

„Dobrze się dzieje bonzom po klasztorach, stały się one ich ojczyzną, bronią więc tej ojczyzny ile i jak mogą, a przewidując zagubę, którą jej zagraża oświata, otwartą i cichą prowadzą z nią wojnę".
Gościnny klasztor
„posiada 100 tysięcy intratu", chociaż się źle rządzi jak zwykle klasztory. Te wszystkie okoliczne folwarki i ziemie do nich należą; mają do tego znaczne kapitały, które gorliwość pobożnych ciągle pomnaża... I chcesz, by się tego wszystkiego bonzowie zrzekli dla upodobania w liberalności, o której nawet nie mają wyobrażenia".

Ukazuje zatem Potocki czytelnikowi ciemnogrodzkiego „arcykapłana" który sprawuje rząd dusz w ciemnogrodzkiej krainie jako „naczelnik oświecenia publicznego".

„Arcykapłan zagaił uczoną mowę o perypatetyce i filozofii Arystotelesa twierdząc, że wszelkie późniejsze filozoficzne systemata marzeniem tylko były i że ich dlatego jak najsurowiej w ciemnogrodzkim państwie zakazał, jako naczelnik oświecenia publicznego, nie wyłączając romanse Platona, sławnego ucznia Arystotelesa".

„Zapewne wiek nasz nie jest ani lepszym ani większym nad wiek Aleksandra Wielkiego, a kiedy tam temu pomyślnie wiodło się z Arystotelesem i jego filozofią, to cóż naszemu źle z nimi być by miało?"

Wobec tego, że oświata i wychowanie znajduje się w Ciemnogrodzie w rękach duchowieństwa, arcykapłanów i bonzów, teologia jest najwyższą nauką w ciemnogrodzkim uniwersytecie, a po niej filozofia Arystotelesa. Za to „nauka moralności jest ze wszystkim zaniedbaną". „Astrologia i jej dziwaczne marzenia w miejsce astronomii osiadła" — rezultatem tego przesądność narodu, panika przy pojawieniu się komety lub zaćmieniu słońca. Z jedynej drukarni wychodzą tylko „uprzywilejowane kalendarze i gazety, prócz tego książki do nabożeństwa na kształt naszych kantyczek". W portach ciemnogrodzkich skrupulatnie palone są wszystkie książki, które przywożą okręty, gdyż dzięki nim może paść na grunt ciemnogrodzki niebezpieczne ziarno oświaty. „Nie ma Ciemnogród ani jednego szpitala, bo nim są ulice i miasto całe; bonzowie tylko dają schronienie chorym, po ulicach leżącym, w przeznaczonym na to jakimś kącie klasztoru, zwykle najbrudniejszym". Inkwizycja pali na stosie ludzi, którzy „uniesieni nieroztropną gorliwością, śmieli publicznie powstawać przeciwko rozwiązłemu bonzów i wyższego duchowieństwa życiu, przeciw ich bogactwom, nakładem ubogich nabytym".

Arcykapłani nie są jednak z tego stanu rzeczy zadowoleni i biadają, że upada religia w państwie ciemnogrodzkim, bo „zaledwie raz lub dwa razy w rok Święta Inkwizycja pali heretyków, kiedy dawniejszymi czasy odnawiało się co miesiąc to zbawienne widowisko".

Swobodny tryb życia duchowieństwa ciemnogrodzkiego nasuwa autorowi następujące refleksje:

„Ten widok przypomniał mi bądź w rzymskich, bądź w innych miejscach stanów papieskich, a nawet nadreńskich prałatów, co z rana święci po kościołach kapłani, w wieczór modlą się do dam swoich, których są publicznie i bez niczyjego zgorszenia kawalerami służącymi. Taki jest skutek w ciemnogrodzkiej krainie jak w Europie duchownych bezżeństwa".

Zakony i zakonnicy w Polsce mają Ciemnogród za ziemię obiecaną i jadą tam, aby wyprosić sobie poparcie smorgońskiego zakonu w szerzeniu ciemnoty i w walce z oświatą w ojczyźnie. Pragną oni „wskrzesić w Polsce Inkwizycję Świętą", chcą aby „wychowanie młodzieży jedynie zakonom powierzone było". Zgodni są całkowicie z zasadniczym założeniem zakonu smorgońskiego, który „żadnych zmian nie cierpi, bo wie, iż pod pozorem lepszego gorsze się między ludzi wkrada, jak tego dowiodły ostatnie rewolucje". To też pielgrzymi polscy liczą na pomoc zakonu w tym, aby „nauki na dawny swojej nieruchawości stopień zwrócone zostały, a to równie dla ich zaszczytu, jak dla dobra i szczęścia ludzi".

Dziwnym trafem, kler polski w opasłych bonzach poznał siebie, w systematach wychowawczych egzotycznych arcykapłanów rozpoznał swój własny system wychowania, a w zakonie smorgońskim ujrzał obrazę hierarchii kościelnej. Kler wypowiedział wojnę Potockiemu. Doszło do zaskarżenia go w Sejmie o działalność niekonstytucyjną. Jednocześnie, szukając oparcia przeciw strasznemu burzycielowi podstaw, szukając obrony „przed niebezpieczeństwem zagrażającym religii katolickiej na ziemiach Królestwa Kongresowego" — biskupi polscy udali się do „stóp tronu" „króla i cesarza". Przeciw Polakowi, który położył ogromne zasługi na polu szerzenia oświaty polskiej, i — dodajmy — przeciw członkowi przecież nie byle jakiego i zasłużonego wielce w oczach ówczesnych Polaków rodu — udali się biskupi do zaborcy, do prawosławnego cara, który wtedy już zupełnie otwarcie wszedł na tory polityki reakcyjnej i rozpoczął likwidację Konstytucji Królestwa. Nie dziw, że car postarał się skwapliwie udowodnić, iż zależy mu na tym, aby „przepisy religijne i zasady moralności i pobożności w całej swej czystości zachowane zostały" — jak dosłownie oświadczył.

Tak skończyła się działalność Stanisława Kostki Potockiego, który śmiał wystąpić „przeciwko wznowieniu i szerzeniu się z pożytkiem uprzywilejowanych upadłych przesądów, co tak długo nad światem ciążyły", który śmiał skrytykować współczesny mu „Zakon Smorgoński" i polski „Ciemnogród".

TO NIE TYLKO HISTORIA

Wypowiedzi naszych największych umysłów i reformatorów oświaty sprzed 150 i 130 lat bynajmniej nie brzmią dziś dla naszego ucha jako archaizm historyczny. Przeciwnie, brzmią dziś zadziwiająco i niepokojąco aktualnie. Chlubą naszej myśli postępowej i naszej tradycji pedagogicznej jest, że wówczas, z górą półtora wieku temu, biegła naprzód, daleko wyprzedzając zacofane wówczas stosunki społeczne i ustrój gospodarczy Polski. Dziś stosunek jest odwrotny. Wstępujemy w okres budowy socjalizmu przodując zachodniej Europie w przemianach społecznych, jednocześnie zaś u nas w kraju ma miejsce przerost jednego z zasadniczych elementów feodalizmu i średniowiecza. O ile idzie o wpływ klerykalizmu na dzieci i młodzież, na szkołę, jesteśmy zawstydzająco w tyle w porównaniu z burżuazyjnymi krajami Zachodu, np. z Francją, gdzie zeświecczenie szkoły nastąpiło przed 86 laty, np. z Belgią, gdzie właśnie niedawno zniesiono wykładanie religii w szkołach. Dodajmy, że mamy w Polsce mnóstwo szkół prowadzonych bezpośrednio przez zakony. Czyż nie są przy takim stanie rzeczy aktualne wywody Staszica, a nawet Adama Czartoryskiego, stwierdzające, że księża nie mogą być dobrymi przewodnikami młodzieży, a szkoła winna być całkowicie świecka?

Dziś co prawda nie pali się wiedźm, ale za to organizuje się napaści na studentów, którzy badają sztukę kościelną. Dziś co prawda kler nie tępi już Kopernika, ale czym różni się od tego jego z górą trzyletnia walka z nauczaniem darwinizmu w szkole, jako że „podważa on dogmaty". Dziś nie zwalcza się Kartezjusza i nie wyrzuca się ze szkoły aparatów fizycznych jako narzędzi bezbożnictwa — za to zwalcza się uporczywie wprowadzanie do szkoły elementów materialistycznego pojmowania świata. W trudnej sytuacji jest nasze dziecko, które na tej samej ławce szkolnej musi jakoś godzić lekcje o powstawaniu planet i o geologicznym przekroju ziemi z opowiadaniem katechety o stworzeniu świata. Trudno pogodzić te dwie „metody". W ślad za Staszicem możemy i dziś powiedzieć, że „jedna same prawdy wieczne posiada, druga dopiero szukać ich każe".

Czy nie czas już, aby arcykapłan, wychowawca i rządca dusz z „Podróży do Ciemnogrodu", gwoli uszanowania „dawniejszego" Arystotelesa, wyrzucający z nauki i z nauczania wszystko, co było po Arystotelesie — stał się nareszcie nieaktualnym archaizmem historycznym w nowej Polsce?

Celina Bobińska

TEATR LALEK SERGIUSZA OBRAZCOWA W POLSCE

Od paru tygodni przebywa w Polsce znakomity zespół teatru lalek artysty Związku Radzieckiego Sergiusza Obrazcowa, przyjmowany entuzjastycznie przez publiczność polską. Objazd artystyczny teatru Obrazcowa w naszym kraju jest nowym ważnym przejawem wymiany i zbliżenia kulturalnego pomiędzy Związkiem Radzieckim a Polską.

Sergiusz Obrazcow i dzieci

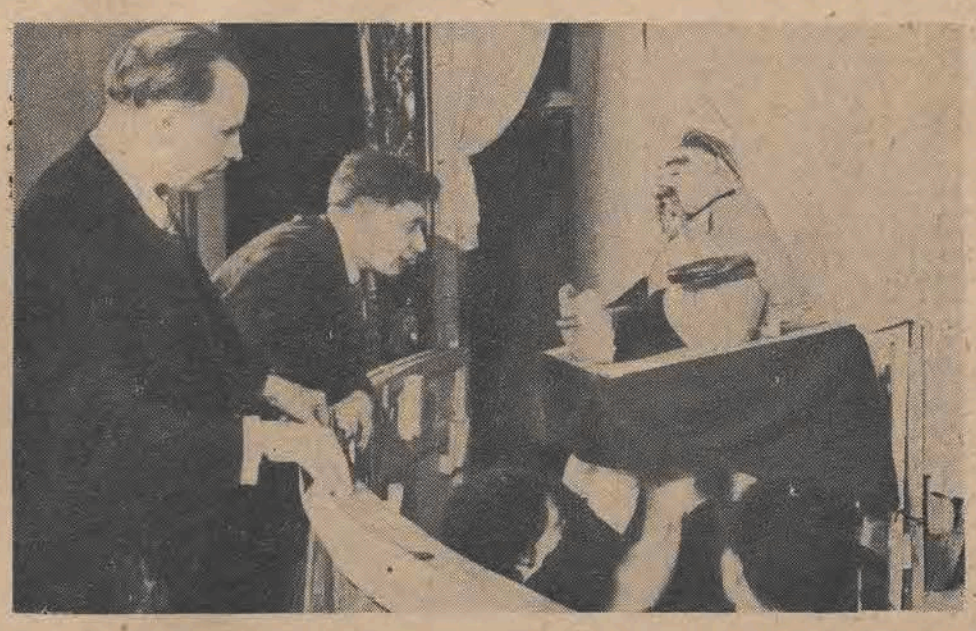

Sergiusz Obrazcow i reżyser Wiktor Gromow podczas próby

Lalka przedstawiająca Sułtana z widowiska „Lampa Aladyna".

TERESA TYSZKIEWICZOWA

Wspomnienie o Felicjanie Kowarskim

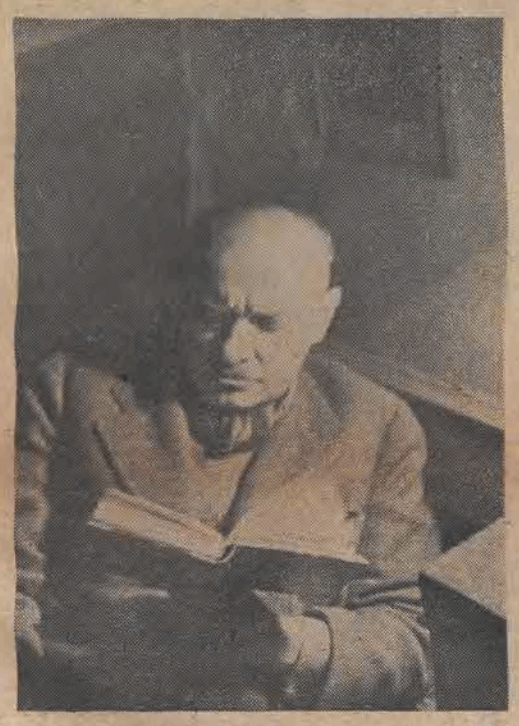

Felicjan Kowarski

WIDZĘ go w jego pracowni; tam najbardziej lubił żyć, wychodził niechętnie. Pracownię miał zawsze dużą, nieład, moc płócien przeważnie wielkich rozmiarów, blejtramy, i dykty. Dykty po rogach, po kątach, poopierane o stoły, dykty zagruntowane i dykty zamalowane, przeważnie projektami na polichromie, mozaiki czy plany architektoniczne. Pełno garnuszków, słoiki i puszki werniksy i proszki do złocenia, pendzle wszędzie, moździerz do ucierania farb, warsztat rozpracowany, warsztat malarza dla którego życie jest tu. Zawsze kącik stolarski, piły, młotki, obcęgi. Piłą przycinał Kowarski nogi wszystkich mebli swoich i cudzych, gdy tylko udało mu się na to namówić właścicieli. Nie znosił wysokich mebli.

Kręcił się, pracował i odpoczywał wciąż tutaj, w swojej pracowni, która była zawsze tą samą, czy to w Warszawie, czy Skierniewicach czy Łodzi, czy Konstancinie — gdzie go los zagnał. Widzę jego mocną i silnie zbudowaną postać i tragiczną twarz, która rozjaśniała się często i nieoczekiwanie filuternym spojrzeniem i uśmiechem. Ten uśmiech miał pokrycie w pobłażliwości dla ludzi i w cudownym poczuciu humoru.

To w pracowni Kowarskiego zobaczyłam dyktę wielkich rozmiarów, a na niej projekt polichromii katedry chełmskiej odznaczony na rozpisanym konkursie I. nagrodą, a opatrzony godłem „Domie złoty". Utrzymany w złotych kolorach prosty i monumentalny charakteryzował jego rodzaj twórczości. Czuł się bowiem dobrze w malarstwie monumentalnym. To była właściwa mu dziedzina działania. Kochał i czuł architekturę; musiał się z nią związać i ją obsłużyć jako plastyk. Wielka przestrzeń była mu najlepszą przyjaciółką, czuł się z nią dobrze.

Kiedy w roku 1939 otrzymał I. nagrodę za projekt wielkiej mozaiki w hali dworcowej w Warszawie, mówił do mnie: „Rozumiesz, to ogrom, to już nie wnętrze, to ulica!" — Tragiczne skupienie czaiło się w jego oczach gdy mówił o tej mozaice: miała mieć kilkadziesiąt metrów długości, kilkanaście wysokości. Projekt opracowany był śmiało. Kowarski zbierał pieczołowicie próbki fajansów i polew, materiał z których miała być układana mozaika. Zwłaszcza niebiesko-zielone polewy błyszczące i wyzywające, aż przejrzyste w swojej pawiej czystości czarowały go.

We wrześniu 39 r. bomby rozbiły przygotowane na dworcu roboty, materiał i plany.

Nie zrealizował „ulicy". Wywędrował z Warszawy. Pracował podczas okupacji nad projektem olbrzymiej rozmiarami bazyliki. Gdzie mogłaby stanąć! Nie to było ważne: musiał poruszać się w szerokiej przestrzeni, nęciła go wielkość. Komponował płaskorzeźby, witraże, mozaiki, rzeźbione frontony, i mnożyły się zamalowane dykty. Rozmiłowany w mozaice, komponował dla niej postacie zwarte, ciężkie, związane w formie, na wielkich przestrzeniach tła, rozświeconego przez migotliwy, kolorowy świat kamyczków. Starannie werniksowane dykty z wykończonymi projektami, ich szklistość i śliskość, miały coś fascynującego, urzekały „fachowością" podania. Były gotowe do realizacji.

Nie zrealizowało się nic.

Chodził po pracowni między projektami, omijał ostrożnie płótna i rysunki i nie mówił o swojej pracy, nie wspominał katastrofy dworcowej ani pawilonu polskiego, planowanego przez niego na wystawę nowojorską 39 r. Ani wiedział jaki praca jego wywołała oddźwięk, nie danym mu było jej zobaczyć, wojna zerwała wszelkie kontakty. Po kilku latach legł w gruzach gmach-pałac Brühlowski grzebiąc plafony malowane tamże przez Kowarskiego w 1938 roku.

Czy wiązał nadzieje z pracą obecną? I o tym nie mówił. Odchodził jednak w tym okresie od sztalug zazwyczaj pogodny — i skory do żartów.

Bywały piękne dni, które wyczarowywał on sam poprzez swoją postawę. Bywały to dni wesołe, w których rozświetlał nas swoją radością i dowcipami. Pamiętam całą mocą nastroju te dni, gdy mieszkaliśmy razem pod Łodzią w Marysinie i dom cały przemieniał się w święto przez niego. Życie wydawało się proste i pełne kuszących nadziei, a on gawędził, śmiał się, dowcipkował. Ubrany w stare welwetowe prążki w ubraniu, z kolorowym szalikiem około szyi, kręcił się po domu, zaglądał wszędzie, proponował dając na nie przepisy doskonałe potrawy, posyłał żonę po ciastka — wreszcie wyruszał na pobliskie śmietniki, w poszukiwaniu cennych elementów do martwych natur, oraz do dokompletowania gospodarstwa domowego. Przynosił nieprawdopodobne przedmioty, rury, sprężyny, pogięte naczynia, po tym siadał i pracował długo nad lutowaniem, nadaniem formy, malowaniem i ozdabianiem Powstawały lampy, dzbanuszki, nowe patelnie, manierki, malowane w naiwne kwiatki. Kowarski cieszył się bardzo. Pisałam właśnie list do brata bawiącego obecnie w Paryżu: „Spytaj go koniecznie — powiedział Felicjan, co można znaleźć na śmietnikach paryskich?

Lubił nade wszystko Gogola. W te dni nastrojów czytał nam nieraz głośno urywki i śmiał się do łez: „Co za poczucie humoru" — mówił.

Bywały wieczory, w których rozgadał się o sztuce, i te pozostaną zawsze najpiękniejszymi momentami mojego życia. Zdumiewał przede wszystkim ogromny zasięg wiedzy i pamięci — mnożyły się w nieskończoność anegdoty z życia malarzy poprzez dzieje minione aż do czasów obecnych; świetny narrator, z darem naśladowania sposobu mówienia, opowiadał przygodę Czyżewskiego i Dunikowskiego, i wielu innych, ale najchętniej tych dwóch.

Nie pamiętam nigdy, aby mówił złośliwie o którymkolwiek z kolegów, za to uwypuklał ze znawstwem i maestrią wszelkie cechy i sytuacje komiczne. O twórczości i pracy kolegów mówił zawsze z pewnego rodzaju nabożeństwem, uważał, że na ogół bagatelizuje **się wagę przeżycia twórczego.** Powiedział kiedyś: „każdy obraz to jest stworzony świat. Jest to wielka rzecz. Nie docenia się wagi tego artysty, to jest zadziwiająca historia". każde indywidualne malarstwo poszczególnegoartysty, to jest zadziwiająca historia".

Wiedzieliśmy, że kiedy już zacznie mówić o malarstwie, będzie mówił długo i dużo, że wieczór będzie już jedyny w swoim rodzaju. Lubił mówić o farbach, o technikach i rozmaitych sposobikach malowania, w szerokim spojrzeniu łączył i nie widział wielkich skoków między sztuką poszczególnych epok. Miał dziwną i wyraźną predylekcję do Rafaela, w jednej z rozmów zestawił go nawet z Picassem, twierdząc, że ich obu łączy głęboka prawda natury z abstrakcją, bo czystość linii i formy u Rafaela i Picassa jest już abstrakcją. Kilka razy wracał w rozmowach ze mną do pierwszoplanowej klęczącej plecami do widza postaci kobiecej z „Przemienienia pańskiego" Rafaela. Był pełen podziwu dla koncepcji formy, mówił że owa kobieta (prawdopodobnie kochanka Rafaela) weszła sama w sobie w historię sztuki, zaistniała jako kształt.

W ogóle, nie lubił analizowania obrazu po kawałeczku. Powiedział kiedyś: „Takie roztrząsanie jak „działa" ten kolor na tamten, jak „gra" w tym miejscu, jak zestawiony z innym, to bez sensu. W gruncie rzeczy to zupełnie wszystko jedno. **Jedno jest ważne — dynamika obrazu.** Żeby działał". I w związku z tym dodał: „I dlatego żeby malować, trzeba być nabrzmiałym jak wrzód".

Wyczucie epoki które nosił w sobie, pozwalało mu oceniać w sposób zadziwiająco trafny i prawdziwy rozmaite objawy sztuki i myśli współczesnej. Jego wypowiedzi w związku z twórczością plastyczną Francji były czułe i jasne. Przytoczę ciekawą próbkę reagowania Felicjana: Czytałam mu kiedyś mój artykuł o wystawie Marka Żuławskiego w Łodzi (46 r.). Kowarski powiedział: „Strasznie nudno to napisałaś: tak nie można, to nudne i poważne, napiszesz tak: Wernisaż, wernisaż — raz — dwa trzy — wąsy, wąsy, wąsy, gdzie Mijal? Gdzie Mijal? Raz — dwa trzy... itp. (Marek Żuławski nosił wąsy, prezydent Mijal był oczekiwany we wrześniu i nie nadchodził). To odda nastrój wernisażu i będzie jakieś pokrycie z rzeczywistością, u ciebie to nie jest nic". Nie potrafiłam powstrzymać okrzyku radości, tak dobrze zrozumiałam Felicjana i recenzję o której myślał, żywą i prawdziwą choć pozornie omijałaby prawdę tj. omijałaby ustalony porządek myślenia. Felicjan miał wyczucie epoki i rzeczywistości.

Nieraz chodził po domu, kręcił się, wyglądał oknem, wychodził przed dom, obserwował. Obserwował ciekawie i stale. Jego uwagi były wnikliwe i twórcze. Kiedyś przyglądał się żonie układającej bukiet kwiatów. Wazon stał pod światło na oknie. Płatki prześwietlone wyglądały jak z kolorowego szkła; pośród nich wetknęła Jadwiga jeden ciemny słonecznik. Kowarski rzekł: „Popatrz na ten słonecznik, wygląda jak zły duch".

Lubił gości. Nie przeszkadzali mu w pracowni. Odwiedzali go chętnie, nastrój jego pracowni był sugestywny, przyjacielski i miły.

A jednocześnie jego stosunek do rzeczy był jakby zamaskowany drwiną, która nie mając nic z cynizmu, dawała raczej przeczucie spojrzenia szerszego kręgu myśli słuchaczy, i stąd ton kpiarski. Czasami nawet, kiedy sam wygłaszał pewne teorie, poruszał sprawy ideologiczne, odnosiłam wrażenie, że ten miłośnik Gogola, nie bardzo brał na serio tego co mówił, był ponadto, był it tak sobie, bez żądania czy przekonania aby było przyjęte jako bezwzględna prawda. Podkreślam tę cechę Kowarskiego, która była przejawem jego wielkości i stylu, i poprzez nią można było naprawdę przejrzeć i zrozumieć Felicjana. Ta właściwość powodowała wyjątkowo miły jego stosunek do zjawisk, nie oburzał się nigdy na nikogo i na nic. Pozostawał w myśleniu swoim, ocenie ludzi i faktów poza wielkimi konwenansami, utartymi szlakami i zakłamaną egocentryczną wrażliwością. Z zewnątrz, stosunek ten ujawniał się tylko jako kpiarstwo.

Goście bywający w pracowni Kowarskiego byli przyjmowani przez uśmiechniętą jego żonę. Umiała ona o każdej porze, i dla każdej ilości osób przygotować w mgnieniu oka zakąski, wódkę i kawę. Kowarski sam od lat nie pił wcale, ale lubiąc „nastrój" dostosowywał się cudownie do otoczenia. Obserwowaliśmy nieraz wszyscy, że wśród ogólnej wesołości spowodowanej alkoholem, właśnie Felicjan, który nie wypił kropli, zwracał uwagę przez swój dowcip i humor.

Gdy mieszkaliśmy w Marysinie gości przyjeżdżało wiele, prawie wyłącznie plastycy i literaci. Zwłaszcza po ewenementach plastycznych takich jak salon ogólnopolski, zjawiali się gromadnie składać, nieopuszczającemu podówczas domu Kowarskiemu, sprawozdania, uwagi i wrażenia. Wtedy śmiechowi nie było końca. Oceny wystawionych eksponatów przemycane były wśród najnieprawdopodobniejszych określeń. Przyjaciele Kowarskiego z owego czasu rekrutowali się w znacznej mierze z współpracowników „Szpilek". Henryk Tomaszewski, Mieczysław Piotrowski, Władysław Daszewski „ubierali" też odpowiednio kolegów w ocenach ich prac. Nie pomijali dosłownie nikogo. Prace oceniane były trafnie, ale ze swoistego punktu widzenia: plastyka i humorysty. Pamiętam, że śmiałam się do łez choć przecież mnie nie oszczędzano.

Ponad tymi żartami, panowała jednak zawsze atmosfera gorącego stosunku do sztuki, która udzielała się i opanowywała wszystkich. Żar bił od tego silnego człowieka, który był ośrodkiem. Przyjeżdżali wtedy między innymi: Stefan Żółkiewski, Adolf Rudnicki, Mieczysław Pruszyński — wszyscy oczarowani byli jego niepospolitym wyglądem i stosunkiem do ludzi.

Miałam w tym okresie zatarg z Felicjanem o myszy. Namnożyły się w domu, uganiały po mieszkaniu w biały dzień, piszcząc zabawiały się, nie dawały spać po nocach. Kowarski nie pozwalał nastawiać łapek, ani zakładać trucizny z obawy, aby nie padł ofiarą jego ulubiony piesek Kubuś. Gdy po powrocie z 4-tygodniowego urlopu przyjechałam późnym wieczorem do domu, zastałam Jadwigę w łóżku z kijem w ręku. Wytłumaczyła mi, że myszy rozzuchwaliły się tak bardzo, że biegają po niej bez żadnej ceremonii przez całą noc, więc się tym kijem ogania. Ona zaś, musi co wieczór na polecenie Felicjana przygotowywać w jego pracowni chleb i inne prowianty dla myszy — gdyż pożywiając się zachowują się spokojnie i nie przeszkadzają mu we śnie.

Kiedy był zdrów — pracował — „Malarz musi pracować 8 godzin dziennie — mawiał do mnie — po co latasz ciągle do Łodzi? Trzeba malować." Umiał pracować bardzo dużo, bywały dni jedne za drugimi, w których nie przerywał malowania. Nie wchodziliśmy wtedy do niego. Zmęczony kładł się na łóżko i leżał nieruchomo z oczyma utkwionymi w obraz. Po okresach wytężonej pracy następowała przerwa, w czasie której dużo leżał zaczytany w Encyklopedię. Był wtedy zdania, że nie ma na świecie ciekawszej lektury. Ale na ogół był małomówmy i ponury. Radość i wesołość wyprowadziły się z domu. Gdy przechodził powoli koło mnie w swoim welwetowym ubraniu w prążki i kolorowym szalikiem koło szyi, widziałam ukradkiem jego tragicznie napiętą twarz i wielkie nabrzmiałe bólem czoło. Nie mówił nic.

Tę samą twarz ujrzałam gdy leżał w trumnie. A jednak moje pierwsze wrażenie było, że otworzy nagle oczy i rozjaśni je w filuternym nieoczekiwanym uśmiechu, który mu był właściwy.

WŁADYSŁAW DASZEWSKI

Spadek po Felicjanie Kowarskim

Niewiele zdawałoby się zostało dziś z dorobku bogatej i wielorakiej twórczości zmarłego niedawno Felicjana Kowarskiego.

Swietny rysownik, snycerz i rzeźbiarz, autor projektów architektonicznych dzieł malarstwa ściennego i monumentalnych kompozycji sztalugowych, portrecista i pejzażysta, artysta o szerokim oddechu renesansowego mistrza, — stworzył w ciągu trzydziestu lat żywej i bujnej działalności wiele dzieł niepospolitej wartości, które oglądaliśmy na wystawach malarstwa oraz ścianach i plafonach gmachów publicznych. W zawierusze wojennej przepadła znaczna część obrazów sztalugowych i rysunków. Pod gruzami Dworca centralnego w Warszawie legła wielka kompozycja mozaikowa zdobiąca wnętrze hali odjazdowej. Prace, które zostały rozproszone po kraju, nie są dotąd zinwentaryzowane. Inne jak „Rząd Traugutta" uległy uszkodzeniu wskutek złych warunków przechowania i obecnie oczekują na renowacje. Dopiero wystawa zbiorowa dzieł Kowarskiego, projektowana na wiosnę, ukaże prace, które ocalały. Pozwoli ona na właściwą ocenę i unaoczni znaczenie pracy artysty w rozwoju polskiej sztuki plastycznej ubiegającego trzydziestolecia. Jednak już teraz z tych nielicznych dzieł okresu przedwojennego, które są na razie dostępne, oraz z odbitek fotograficznych dzieł zaginionych, — z szeregu prac okresu okupacji — a przede wszystkim — z tych obrazów, które w ostatnim okresie gorączkowym i mimo choroby, tworzył zmarły artysta, — z tych wszystkich prac wyrasta postać nietylko wybitnego twórcy i znakomitego plastyka lecz także ukazuje się oczom naszym świadectwo prawdy o człowieku, dla którego sztuka ludzka, plastyka malująca losy człowiecze, były najgłębszym nurtem i celem ostatecznym twórczości artysty.

Jeżeli szukalibyśmy wśród naszych artystów plastyków humanisty — to niewątpliwie postać Felicjana Kowarskiego stanie na czele nielicznego zastępu tych, którzy tworzyli, bądź tworzą podstawy sztuki poświęconej społecznym sprawom człowieka. Nie kusząc się tu o definicję pojęcia humanisty w plastyce, chcielibyśmy zaznaczyć, że aczkolwiek ludzką sprawą w ujęciu sztuki jest i harmonijny w kolorze pejzaż i pięknie namalowany bukiet kwiatów, choć rzeczą ludzką jest martwa natura, której kolor groszku tak uroczo koresponduje z kolorem pietruszki, jednak w rozsądnie pojętej hierarchii tych spraw człowieczych przed problemami harmonijnego wyrazu przeżyć osobistych, intymnych i kameralnych, wciąż jeszcze — a może właśnie dopiero teraz — stawiamy, czy chcemy postawić wyżej taką niebłahą sprawę, jaką jest nasz stosunek do problemów życia społecznego. Liczne przejawy walki klasowej stawiają te problemy ostro i domagają się ich wyrazu w sztuce.

Ten głęboki i potężniejący nurt żywego zainteresowania dla spraw społecznych znaczony środkami wyrazu plastycznego, wykazują szkice, rysunki i kompozycje stworzone przez Kowarskiego w ostatnim okresie Jego trzydziestoletniej pracy twórczej. O zainteresowaniach tych świadczy również Jego wieloletnia działalność pedagogiczna profesora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie — potem — w Warszawie.

Swiadczą także o tym wielokrotnie wyrażone z pasją działacza społecznego, myśli i poglądy, zmierzające ku jednemu celowi: działalności plastyka - artysty, świadomego swojej roli społecznej w życiu i kulturze Narodu.

Nie jest tutaj naszym zadaniem analiza fachowa form i przebiegu twórczości Felicjana Kowarskiego. Na wybranych kilku jednobarwnych reprodukcjach, usiłujemy wydobyć najbardziej może dostrzegalną barwę emocjonalną tych zainteresowań sprawą ludzką. Współczujący dla krzywdy samotnego człowieka, dramatyczny w zgęszczonym kolorycie głos Artysty.

— Lata wojny i okupacji, a zwłaszcza trzy ostatnie lata pracy w Polsce Odrodzonej, przysparzają Jego twórczości nowych brakujących dotąd elementów.

— Kowarski poczyna dostrzegać obok abstrakcyjnie ujętego „złego losu" jednostki („Wędrowiec", „Uchodźcy") — losy wspólne, krzywdę społeczną i walkę z tą krzywdą. To zwraca go ku tematyce bliskiej rewolucyjnemu ruchowi polskiej klasy robotniczej. Nawiązując do podjętych już przed wojną motywów historycznych („Rząd Traugutta"), rysuje szereg plansz do projektowanej przez siebie teki wizerunków działaczy ruchu wyzwoleńczego mas pracujących (Jarosław Dąbrowski, Ludwik Waryński). Projektuje malarstwo dużego formatu o treści społecznej. Wyrazem tych projektów są liczne szkice, między innymi: rysunki piórem do cyklu kompozycji pt. „Ghetto". A także ostatnia praca w życiu artysty: „Proletariatczycy". — Miała ona stanowić początkowe ogniwo cyklu, który Kowarski projektował na zamówienie Wydziału Propagandy KC PPR. Oferta artysty dotycząca całości cyklu nadeszła w dniu jego śmierci.

Felicjan Kowarski wykształcił i wychował cały zastęp uczniów. W długich, wielogodzinnych rozmowach z kolegami i przyjaciółmi, rozwijał pomysły organizacji życia artystycznego w Polsce, i marzył o stworzeniu pracowni, które by mogły podjąć zadania zorganizowanego zamówienia społecznego na dzieło sztuki plastycznej. Wierzył on głęboko w konieczność takiej sztuki, która potrafi dać wyraz niewątpliwym potrzebom życia kulturalnego mas pracujących. Ten żywy spadek po Zmarłym winien być podjęty a doświadczenie jego pracy — wykorzystane.

Władysław Daszewski

Felicjan Kowarski — „Studia".

Felicjan Kowarski — „Głowa Żyda" (Ghetto) 1947

Felicjan Kowarski — „Uchodźcy" 1943

Felicjan Kowarski — „Głowa Żydówki" (Ghetto) 1947

Felicjan Kowarski — „Proletariatczycy" 1948 (Ossowski, Kunicki, Waryński, Bardowski, Pietrusiński)

Felicjan Kowarski — Szkice do cyklu „Ghetto" 1948

Pisarze i naukowcy o zjednoczeniu partii robotniczych

(Dokończenie ze str. 4)

ADAM WAŻYK

Kto bywał w ostatnich czasach na zgromadzeniach robotniczych, na zebraniach partyjnych, lub choćby nawet w szczupłym gronie na zebraniach garstki intelektualistów, ten musiał odczuć jakiś wewnętrzny żar, natężenię myśli i woli udzielające się wszystkim. Ten sam wzmożony duch rewolucyjny, który przejawił się w czynie przedkongresowym robotników, ożywił nie tylko szeregi obu partii, ale przeszedł bodajże przez cały kraj pracujący.

Przypomina to jakiś ożywiony ruch cząsteczkowy, żar przemiany, który znamionuje powstawanie nowej organicznej łączności i niczym nie przypomina mechanicznego zestawienia szeregów partyjnych. To odczuwa każdy.

Niedawno słyszałem przemówienie towarzysza Zambrowskiego w Łodzi. Dla uwypuklenia różnicy sytuacji u nas i w krajach kapitalistycznych, różnicy stabilności życia społecznego, mówca zestawił dwa wielkie wysiłki klasy robotniczej — strajk górników we Francji i przedkongresowy poryw pracy górników u nas.

Tak, są to zjawiska godne porównania. Tam strajk, u nas współzawodnictwo pracy— też bronią w walce o przyszłość. Ten sam duch rewolucyjny, przejawia się w biegunowo różnych zjawiskach, ten sam duch bojowy, który klasa robotnicza potrafi wydobyć z siebie, aby udzielić go wszystkim ludziom pracującym.

Dzieje się to w chwili kiedy dwie partie robotnicze w Polsce łączą się w jedną. Połączenie pod egidą marksizmu-leninizmu daje gwarancję, że zapał rewolucyjny znajdzie trwałą podnietę, że potrafi wznieść nas na wyższy szczebel rozwojowy w każdej dziedzinie, w gospodarce, w kulturze...

Kiedy myślę o sprawach kultury w związku ze zjednoczeniem partyj na zasadach marksizmu-leninizmu o każdej sprawie z oddzielna i o wszystkich razem, ciśnie mi się na język słowo podobne do westchnienia ulgi: nareszcie. Powstają nareszcie przesłanki do racjonalnego zorganizowania spraw kultury i nadania im jasnego kierunku.

Tam, gdzie zwyciężają zasady marksizmu-leninizmu, łatwiejsza staje się walka z naporem drobnomieszczańskich gustów dokoła nas i w nas samych, łatwiej jest także oprzeć się tendencjom do zwężania ambicji kulturalnych klasy robotniczej i pracującego chłopstwa. Prawdziwy duch rewolucyjny sprzyja wytwarzaniu się szerszych ambicji kulturalnych, przejmowaniu i kontynuowaniu tradycji kultury narodowej. Nie może tego pojąć umysł drobnomieszczański ani umysł ciasnej kapliczki, ale mówią o tym wymownie doświadczenia radzieckiej praktyki i myśli w tej dziedzinie.

Dlatego jestem głęboko przekonany, że zwycięstwo zasad marksizmu-leninizmu w naszym ruchu robotniczym i jasno postawione zadanie doprowadzenia kraju do socjalizmu wniesie również nowe światło do spraw kultury, że ułatwi nam korzystanie we właściwy sposób z doświadczeń radzieckich.

STANISŁAW WYGODZKI

Dwa nurty w polskim ruchu robotniczym — rewolucyjny i oportunistyczny ujawniały sie nie tylko w działalności politycznej i związkowej, lecz również w dziedzinie oświatowej i kulturalnej. Niejednokrotnie nie tylko treść wydawnictw, lecz już ich układ graficzny i obwoluta bardzo jaskrawo charakteryzowały właściwe oblicze jednych i drugich wydawnictw.

W czasie, gdy wydawnictwa oportunistów zdobiły jeszcze secesyjne i młodopolskie esy-floresy, wydawnictwa odłamu rewolucyjnego stosowały graficzny, surowy funkcjonalizm i gdy linearnym esom-floresom odpowiadało pogmatwanie pojęć, surowym formom rewolucyjnych wydawnictw towarzyszyła jasna i ścisła myśl nauki marksistowskiej. A treść wydawnictw! Oportunizm w polityce i idealistyczne pojmowanie zjawisk to cechy najbardziej charakterystyczne dla pisarza tzw. socjalistycznego i żaden z twórczych ludzi w Polsce nie tkwił tak długo w młodopolszczyźnie i symboliźmie, jak pisarze tego kierunku. Gdy rewolucyjny odłam klasy robotniczej żył już pieśnią Gorkiego, a potem „Lewą marsz" Majakowskiego, poezja w czasopiśmiennictwie pepesowskim nie wykraczała poza cierpiętnictwo, które w formie nie daleko odbiegało od poetyki Konopnickiej.

Obecne połączenie obu nurtów ruchu robotniczego, połączenie nie mechaniczne i następujące po długotrwałej dyskusji ideologicznej cechuje zwycięstwo nauki Marksa i Lenina i właśnie to zwycięstwo zapewni połączonemu proletariatowi Polski szybsze rozprawienie się z religianctwem, przesądami rasowymi i narodowościowymi, zaś w miejsce idealistycznego sposobu myślenia świadomie hodowanego przez wrogów klasy robotniczej zjawi się myślenie jasne, postępowe, naukowe.

I tu właśnie połączenie obu partii, oraz zwycięstwo myśli marksistowsko-leninowskiej, wiąże się ściśle ze sprawą rozwoju kultury polskiej. Klasa robotnicza uzbrojona w tę broń ideologiczną będzie stroniła od książki ogłupiającej i szowinistycznej, od zabobonów, od głupiej wieści, od znachorów i babek politycznych. Wraz ze śmiercią szarlatanerii politycznej zginie szarlataneria kulturowa i ludzie świadomi swojej roli i misji będą żądali innych książek, innego teatru, innego filmu, a polski artysta będzie musiał temu światłemu odbiorcy dać nowe wzruszenie, nowe piękno, myśl czystą i niezbrukaną religianctwem, wstecznictwem i zacofaniem.

Funkcja czytelnika, funkcja odbiorcy wytycza kulturze polskiej nowe drogi i ten to właśnie odbiorca — klasa robotnicza, budująca socjalizm przyczyni się do powstania dzieł pełniejszych, piękniejszych, doskonalszych, tak doskonałych, jak ustrój, w którym wypadnie żyć człowiekowi wolnemu.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Przeglądam notatnik. Wypisywane tu na marginesie różnych lektur cytaty i glossy układają się w zamkniętą całość.

„...materializm zamyka w sobie... partyjność, nakazując przy wszelkiej ocenie zjawisk bezpośrednio i jawnie przyjmować punkt widzenia określonej grupy społecznej". (Lenin, I, 380—381).

„Aby zrozumieć, co jest właśnie potrzebne ludowi, czego mu brak, koniecznie trzeba spojrzeć z jego punktu widzenia, a dlatego nie trzeba ani „naginać się" ani „kokietować" (M. E. Sałtykow-Szczedrin. Soc. t. II, s. 398, r. 1889).

„W okresach, gdy rozpoczyna się ruch mas ludowych, pochodzenie wartości kulturalnych i przyczyny ich rozwoju wynikają w formie bezpośrednio dającej się dostrzec w samym ruchu mas. Podkreślam, iż mówimy tu o pochodzeniu wartości i o źródle ich rozwoju, gdyż, rzecz prosta, nie wszystko polega tylko na żywiołowym ruchu mas".

„Te wartości należy z kolei uwypuklić, nadać im odpowiednią formę, słowem, należy rozwiązać zagadnienie postawione przez same masy, które pragną jaśniej i dokładniej uświadomić swój własny wysiłek". (Laurent Casanova — Komunizm, myśl, sztuka).

„Partia jest najwyższą formą organizacji klasowej proletariatu". (p. Stalin. Zagadnienia leninizmu, str. 72).

Trudno jest erudycie nie grzebać się w książkach. Ale trudniej prawdziwie współczesnemu człowiekowi nie myśleć o czytanych stronicach z punktu widzenia wydarzeń przeżywanych przez kraj i jego klasę.

Przeglądam wypisane zdania — pamiętając i myśląc o bliskim zjednoczeniu ruchu robotniczego. I ta myśl jest jakby nicią, na którą nanizują się poszczególne zdania, tworząc celową i sensowną całość.

Czemże jest zjednoczenie ruchu robotniczego dla kultury polskiej?

Odnowa kultury wyrasta z walki klasowej. Ze zwycięstwa sił postępu. Ideologicznym wyrazem tej odnowy, w którym najdoskonalej, jak w soczewce, skupia się treść nowatorskich dążeń — jest przemiana hierarchii wartości, nowa różnica zła i dobra, godności i poniżenia, tego co cenne i tego co wzgardliwie odrzucone.

Cytowane myśli układają się w doskonale powiązane ogniwa łańcucha. Punkt widzenia określonej grupy społecznej — wskazuje w historii granice cennego i odrzuconego.

Twórczy jest ludowy punkt widzenia. „Masy w ruchu rewolucyjnym są źródłem wartości". One tworzą to, co jest dumą i honorem epoki. One tworzą doskonalsze, godne człowieka formy nowego życia. Lecz ruch rewolucyjny — przynoszący to najwyższe, nowatorskie, twórcze napięcie sił ludzkich, poryw ku doskonałości — jest ruchem zorganizowanym, kierowanym, przeniknętym świadomością ideową, przeto celowym i skutecznym. Kierownictwo ruchu — jest w ręku politycznej organizacji mas — w ręku partii. Stąd tak doniosła rola partii w życiu nowoczesnych społeczeństw. Stąd głębokie przeobrażenia życia partii wpływają na głębokie przeobrażenia życia społecznego.

Nie ma wielkiej kultury, nie ma rozkwitu kultury — bez kulturalnego nowatorstwa i kulturalnego postępu. Nie ma nowatorstwa w kulturze bez zwycięstwa nowej hierarchii wartości. A ta jest wyrazem kierunkowego dążenia rewolucyjnych mas ludowych. Ich zwycięstwa zależą także (historia mówi w jakiej mierze) od dojrzałości, od doskonałości przywódcy mas — partii.

Nie trzeba dowodzić jak bardzo zjednoczenie politycznego ruchu robotniczego wzmacnia siły, prostując drogę partii proletariatu.

Łańcuch historycznych zależności, zanalizowany wyżej, stanowi zatem odpowiedź jak bardzo to zjednoczenie decyduje o odnowie kultury polskiej.

Coraz potężniejszy ruch robotniczy w Polsce — to coraz potężniej bijące, żywe źródło nowych wartości kultury polskiej.

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Niekiedy spojrzenie wstecz, w głąb perspektywy, z której logicznie wynikła rozumna chwila obecna — nie tylko zadawala umysł człowieka rozmyślającego, ale może być też powodem wzruszenia. Stojąc dziś wobec prawdziwie rozumnego faktu zjednoczenia pepesowców i peperowców w jednej partii rewolucyjnej — z bardzo osobistym wzruszeniem myślę o trzyletniej współpracy pisarzy obu dotychczasowych partii na terenie niewielkim, na terenie pokoików redakcyjnych „Kuźnicy".

Na tym niewielkim terenie — z którego co tydzień wychodził numer czasopisma — utrwalała się z miesiąca na miesiąc poprzez ubiegłe lata, coraz szczersza i coraz głębsza przyjaźń polityczna tych pisarzy, którzy należeli do dwóch różnych partii, ale do jednej ideologii marksistowskiej.

Treści ideologiczne stawały się coraz bardziej wspólne. I tak istotne, że było wewnętrzną niemożliwością wyrzec się ich w tym nawet — nie tak dawnym jeszcze — okresie, kiedy to niektórzy towarzysze w PPS patrzyli na tę naturalną i słuszną współpracę naszą ze ślepym niezadowoleniem.

Tymczasem ogólnie rozwijająca się w obu partiach świadomość tej słuszności, świadomość wspólnej ideologii, wspólnych celów politycznych i kulturalnych — w głęboko naturalny sposób musiała doprowadzić wreszcie do wielkiego aktu organizacyjnego zjednoczenia.

Dotychczasowe rozdarcie organizacyjne ruchu marksistowskiego utrudniało rozwiązywanie nie tylko zagadnień gospodarczych i społecznych.

Utrudniało też, a nie ułatwiało bynajmniej, pracę nad trudnymi w naszych warunkach i pilnymi problemami kultury wobec szybkiego awansu społecznego szerokich mas robotniczych, pracę nad skomplikowanymi sprawami literatury i sztuki. Wspólna postawa ideologiczna pracowników kultury — teoretyków, pisarzy, artystów — w otwartej współpracy organizacyjnej — niekrępowana organizacyjnie przynależnością do dwóch odrębnych partii — przynieść powinna tym zagadnieniom kulturalnym najpełniejsze społecznie, najrealniejsze i najgłębiej odpowiedzialne rozwiązania i kształty.

Zjednoczenie obu Partii wzmocni organizacyjne możliwości działania naszych pracowników kultury i wzmocni przede wszystkim organizacyjne możliwości korzystania z kultury, zaspakajania potrzeb kulturalnych przez całą klasę robotniczą. A jedność ideologiczna, uzgodniona na gruncie marksizmu-leninizmu, w sposób jaśniejszy już teraz chronić będzie politykę kulturalną zarówno od kapitulanckich jak i od lewackich wykrzywień, upowszechniając pełnię wartościowych i postępowych tradycji kultury ludzkiej, upowszechniając pełnię twórczych i postępowych osiągnięć przyszłości.

Z tą dobrą wiarą patrzę jako pisarz partyjny w przyszłość nowej, zjednoczonej partii. Z tą dobrą wiarą czekaliśmy na zjednoczenie, współpracując przez trzy lata z towarzyszami peperowcami w „Kuźnicy".

ZYGMUNT MYSŁAKOWSKI

Droga inteligenta polskiego do socjalizmu

DWA ponure miesiące: wrzesień i październik 1939 r. były dla mnie nie tylko przeżyciem klęski Państwa, ale osobiście czymś cięższym jeszcze: likwidacją własnej przeszłości. Opadło ze mnie wszystko co było budowane w ciągu długich lat życia, zachwiane zostały podstawowe przeświadczenia; zwycięski pochód hitleryzmu niósł ze sobą nie tylko zniszczenie rzeczy i ludzi ale i podstawowych założeń, na których wspierała się nasza stara cywilizacja. Wydawało mi się, że moja świadomość społeczna, moje „ja" życiowe trzeba będzie zacząć odbudowywać od punktu niemal zerowego. Tak przynajmniej odczuwałem to wówczas subiektywnie.

Okoliczności zewnętrzne były w tym czasie dla mnie bardzo ciężkie: dom, w którym ustalili się na ostatnie lata życia moi rodzice, para staruszków, trochę już obcych światu, niczym Filemon i Baucis, spłonął od bomb niemieckich. Spłonęła w nim moja biblioteka, parę tysięcy tomów, w tym wiele rzeczy rzadkich, dzisiaj już nieosiągalnych. Dwaj kuzyni moi, z którymi łączyła mnie bliska przyjaźń od dzieciństwa, zginęli zamordowani przez Niemców w obozach koncentracyjnych: jeden w Sachsenhausen, drugi w Oświecimiu. Matka przeżyła tylko jeszcze dwa lata, nie znajdując w sobie nic do budowy przyszłości, nie wierząc w triumf sprawiedliwości: zgasła jak świeca w głębokiej nocy. Ojciec żył jeszcze dalsze dwa lata w tragicznym opuszczeniu: nie znalazłem w sobie żadnej możliwości zastąpienia mu wszystkiego co utracił — byłem bezradny. Syn mój, który ukończył niedawno Szkołę Morską i przeszedł przez Podchorążówkę Artylerii, wzięty do niewoli po obronie Oksywia zdołał uciec z niemieckiego obozu, ale nie zastał mnie w domu. W tym czasie bowiem byłem już razem z innymi profesorami Uniwersytetu Krakowskiego w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu. Kilka miesięcy później, wróciwszy z tego obozu, żegnałem go; wybierał się na dalszą wojnę z najeźdźcą. Przez Tatry, Słowację, Jugosławię dotarł aż do Egiptu i Syrii, by podjąć tam walkę na nowo. Żegnałem go z niechrześcijańskim westchnieniem: przywieź mi skalpy z tych oprawców.

W listopadzie 1939 r. zostałem aresztowany wraz z innymi profesorami i przewieziony do więzienia we Wrocławiu, a potem do obozu w Oranienburgu. Zastaliśmy tam około trzynaście tysięcy więźniów różnej kategorii: kryminalistów, komunistów, homoseksualistów, baptystów, chronicznych włóczęgów i takich jak my przestępców politycznych, niewygodnych dla reżimu. Dostaliśmy pasiaki, zaopatrzone odpowiednimi, kolorowymi znakami i numerami. Rozpoczął się w ten sposób dziwaczny jak sen rozdział w życiu profesora uniwersytetu. Trwało to do lutego następnego roku, kiedy zwolniono pierwszą partię — znalazłem się w niej. Odwieziono nas do Krakowa.

Kraków wydał mi się zupełnie obcy. Wojskowi, różne typy Sonderdienstu, członkowie NSDAP, mundury, mundury, mundury... czarne, zielone, brunatne. Na plantach dzieci ze swastykami i z nożami u boku. Odebrano nam nawet przeszłość. Wszystko tu miało być praniemieckie: kościół Mariacki, ulice, ludzie, ziemia i powietrze. Czułem się jakby osaczony zdradą dokoła.

Wezwano mnie do niemieckiego urzędu lokalowego w sprawach czynszu zaległego za okres pobytu w obozie. Dwaj radcy budownictwa przyjęli mnie w biurze, z początku bardzo oficjalnie i sztywno, potem, w miarę rozmowy, gdy dowiedzieli się, że wracam z obozu, przeszli na ton bardziej pojednawczy. Padło pytanie: jakie wrażenia wywiozłem z obozu? Pamiętam tę rozmowę z niemieckimi inteligentami; odpowiedziałem im: było to bardzo interesujące. Dwaj starsi panowie zaniepokoili się: jak to interesujące? Tak jest. Jako socjolog zobaczyłem tam fragment życia jakie w normalnych warunkach nie odsłoniłoby mi się nigdy. Obóz koncentracyjny był niezwykłym zaiste laboratorium socjalnym, ponieważ zwolniono je od zasadniczej przeszkody w badaniach społecznych: od zobowiązania ludzkiego, jakiego naukowcy nie stosują tylko wobec świnek morskich, myszy i szczurów. — Bardzo byli tym zaskoczeni i wyraźnie nie wiedzieli co z tą odpowiedzią wobec mnie począć.

Czas spędzony w obozie był początkowym okresem mojego krzepnięcia w sobie po katastrofie wrześniowej. Dokonywało się ono znowu w ciężkich warunkach piekła dantejskiego. Mimo to i wbrew okolicznościom zacząłem odzyskiwać odwagę do życia i organizować się wewnętrznie.

Nie mogę powiedzieć, ażeby mnie specjalnie spotkała jakaś zła przygoda: nie byłem, jak inni, bity po twarzy, kopany, ani maltretowany. Ale to nie było istotne. Istotne było to: **w grobowcu myśli się inaczej niż na jachcie.** Nie żałuję tego pobytu — otworzył mi on oczy na wiele spraw, odgrodził mnie na zawsze od wielu innych. Nie zazdrościłem innym, którzy przypadkowo pozostali, chodzili dalej spokojnie do kawiarni i mówili o tej niemieckiej Sonderaktion z pogodnym humorem.

Surowa, ostra zima. Godzina przed świtaniem. Wymarznięci, po nocy przespanej w nieogrzanym baraku schodziliśmy się koncentrycznymi, zaśnieżonymi drogami wzdłuż baraków, na ogromny plac zbiórki. Była jeszcze czarna noc; staliśmy godzinami w śniegu. Mróz przekraczał trzydzieści stopni. Ludzie odmrażali sobie stopy i twarze. Byliśmy wszyscy bez płaszczy, bez swetrów, bez ciepłej bielizny, w dziurawych butach. Powoli rozwidniało. Na szarzejącym niebie można już było stopniowo rozróżniać pióropusze wysokich sosen na wzgórzach za drutami — w tym beznadziejnym, monotonnym krajobrazie podberlińskim nad Sprewą. Sosny odcinały się, jak na japońskim drzeworycie, schematyczną, ciemną plamą. Lubiłem dawniej sylwetkę tego drzewa; wtedy patrzałem na nie z innym uczuciem — jakby żalu w obliczu zdrady. Na drodze w śniegu ktoś leży, nie wiemy, chory, czy trup — mijamy go śpiesznie, ażeby nie spóźnić się na zbiórkę. Oto z ciemności wynurza się groteskowa piramida — dwaj ludzie w pasiakach niosą na skrzyżowanych rękach kształt wysoki, chwiejący się. Przypomina to zabawę chłopców na dziedzińcu szkolnym. To nasz kolega geograf, profesor Jerzy Smoleński — zielone, wychudłe widmo; dogorywa na gruźlicę. Ale na zbiórce być musi. Stary profesor Bosowski kaszle obok mnie ciężko. Stajemy w szeregu. Żeby się rozgrzać, próbuję dyskretnej gimnastyki — nie wolno. Internista — profesor Oszacki — rozważa półgłosem jak należy stać, żeby najmniej tracić własnego ciepła. Bardzo cenne uwagi. Przede mną w szeregu ktoś stoi chwiejnie, ale już nie o własnych siłach; ma gorączkowe wypieki, szklane oczy — najwidoczniej wysoka gorączka. Jutro już go nie zobaczymy. Z tyłu za mną w ostatnim szeregu coś się dzieje: głuchy łomot uderzeń, parę stłumionych jęków — potem cisza. Człowiek leży. To współtowarzysz z baraku, Niemiec. Wysoki, zwalisty olbrzym; wobec niego stosują specjalny reżim: codziennie, na każdej zbiórce otrzymuje taką porcję uderzeń gumową pałą: mniej więcej tydzień wytrzymał. Potem pokazano mi go z daleka, na placu — leżał na wznak samotnie na śniegu.

Wieczór w baraku: ciżba więźniów, gorączkowy ruch. Przestrzeń socjalna tak samo stłoczona jak fizyczna. Coś histerycznego jest w tej masie: reakcje tak dodatnie jak ujemne podwyższone. Niespodziewane zawiści, urazy, podobnie jak i ludzkie, dobre odruchy.

Nasz blokowy, sam z więźniów, tylko że weteran wielu obozów, na ogół cieszy się sympatią. Ponoć komunista. Wyczuwamy w nim jakby dyskretną opiekę.

Pomiędzy stołami snuje się nieszczęsna figura: Rosjanin, były żołnierz. Został u „Bauera" jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Prawdopodobnie debil. Wycieńczony nieludzko głodem, zbiera i pochłania wszystko co da się przełknąć, co z daleka miało jakąś styczność z jedzeniem — pożera papierowe błony po kiszce, którą niekiedy dostajemy na kolację. Jak on to trawi nie wiem. Pewnego wieczoru wyszło na jaw, że ukradł komuś mizerną porcję chleba. Było to bardzo ciężkie przestępstwo obozowe. Tenże blokowy ukarał go doraźnie i przykładnie, przeginając na stół i bijąc z wściekłością, niespodziewaną w tym opanowanym człowieku. Krwotok płuc, krew chlusnęła na stół, zalała podłogę. Koniec wędrówki.

Wśród kolegów mieliśmy kilku Żydów; był tam między innymi znakomity filolog klasyczny profesor Sternbach i docent filozofii Metallman — z tym ostatnim łączyła mnie dawna przyjaźń. Joachim Metallmann był niezwykle ujmującym i subtelnym człowiekiem. Wysoka inteligencja przy niezwykłej systematyczności i pracowitości predestynowały go znakomicie na katedrę filozofii; zajmował się teorią poznania na tle historii nauk ścisłych, co u naszych filozofów, wykształconych przeważnie na logice było rzadką i cenną odmianą.

Znaleźli się oni na specjalnym bloku żydowskim; był to odosobniony barak, do którego nie wolno było zaglądać. Nie brali udziału w zbiórkach. Mimo to, kiedyś wieczorem, dano mi znać, że mogę przyjść, że blokowy jest uprzedzony i będzie patrzał na moją obecność przez palce.

Poszedłem. Nie zapomnę nigdy tej Apokalipsy.

Ludzie ci byli wyłączeni od zbiórek na placach — ażeby wolność ta nie była uprzywilejowaniem w stosunku do więźniów „Aryjczyków", musieli przez cały dzień siedzieć w kuczki; wyprostowanie zmartwiałych nóg groziło batami. Klimat psychiczny tego zbiorowiska musiał być straszny. Swobodę ruchów odzyskiwali tylko w czasie posiłków.

Gdy przyszedłem ciemnym wieczorem, był właśnie czas kolacji. Twarze szare, ruchy nerwowe, oczy obłąkane. Myśmy żyli jeszcze jakąś nieokreśloną nadzieją; ci ludzie nie mieli żadnej. Samo tylko cierpienie, pozbawione kresu, nadziei i sensu. Jedli łapczywie, jak ludzie zwierzęco głodni. Usiadłem na wspólnej ławie przy długim stole. Nie widzieli tu odwiedzających, byli mi wdzięczni za to przyjście z trochę innego świata. Obcy ludzie częstowali mnie swoją głodową racją. Przyjąłem — muszę to wyznać. W ich geście, w ich oczach patrzących na mnie było coś tak nieludzko bolesnego, że nigdy chyba nie przeżyłem mocniej sensu braterstwa. Cofnąłem się w głąb siebie, do jakichś nieznanych samemu sobie warstw psychicznych. I nigdy chyba nie dotknąłem tak z bliska szaty Chrystusa.

To było moje ostatnie spotkanie z Metallmannem. Ten wspaniały intelektualista, ten czarujący człowiek, taki żywy i współczesny, wsiąkł na zawsze w tę Gehennę, w tę nicość rozpaczy. — Żona jego, miła i dzielna kobieta ukrywała się jakiś czas na wsi w okolicach Wieliczki. Gdy napisałem jej w liście pewnego razu, że przeżywamy jakiś apokaliptyczny Harmageddon, skarciła mnie za pesymizm. Ale gdy zgładzono jej brata, gdy zrozumiała nareszcie, że nie ma co czekać powrotu męża, oddała się sama w ręce Gestapo. Wywieziono ją do katowni w Bełżcu.

Pytam się go w tym dzisiejszym czasie, kiedy powinien był zająć świetne miejsce w rzędzie profesorów filozofii: Cieniu, za co zginąłeś? Bo jeżeli nie za jakiś lepszy świat, to wszystko jest piekłem. A może tylko absurdem.

Tak powtarzam, za lepszy świat, bardziej ludzki, od korzenia zdrowszy, bo inaczej wszyscy staniemy w obliczu nicości i rozpaczy. To był sens nauki, którą wyniosłem z laboratorium socjalnego, z instytutu wychowawczego w Oranienburgu. I tego dziś nie żałuję. (Dla informacji dodaję, że nasze władze obozowe zapoznały nas z fragmentem statutu, który określał katownię oranienburską jako „Erziehungsanstalt Sonderer Art"). Bertrand Rusell mówi gdzieś o odczuwaniu radości życia; nie, nie mogę spokojnie patrzeć na idylliczny krajobraz w przyrodzie, gdy przez świat ludzki przeszedł zatruty dech nihilizmu. Ale czy ten lepszy świat, ten triumf dobroci i sprawiedliwości, sam przyjdzie do człowieka? Może sprawi to cud perswazji, jakaś masoneria dobrych duchów (jak proponował pewien znany socjolog), może magia wychowania czy posłannictwo Kościoła?

II.

Po przeszkoleniu w obozie koncentracyjnym wróciłem do Krakowa. Zaczęły się dni rozmyślań. Ażeby z czegoś żyć i nie czekać na zasiłki, otworzyłem mały sklepik z materiałami piśmiennymi. Poza środkami egzystencji dawało mi to możność wygodnych i stosunkowo bezpiecznych kontaktów z ludźmi. Praca jednostronna i mechaniczna dystansowała mnie psychicznie od tego co się działo na mieście: widoku natrętnych najeźdźców, łapanek ulicznych i afiszów propagandowych. Codziennie wieczorem, gdy godzina policyjna zamykała ludność tubylczą w domach, przyzwyczaiłem się robić notatki, które były krótkim zebraniem wewnętrznej dyskusji z samym sobą. W ciągu pięciu lat zebrał mi się tego spory tom. Nigdy tyle nie pisałem. Była to historia moich poszukiwań, moich pomyłek, rozpaczliwa próba przedarcia się przez ciemność i samotność.

Dokoła mrok gęstniał. Zaczęła się koncentracja Żydów w Ghetto. Wierzyli, czy też usiłowali wierzyć z początku, że wcale z tym jest nienajgorzej. Nawet mają swoją milicję żydowską. Zatrudniałem u siebie w sklepie Żyda, mechanika. Przeniesiono go do Ghetta. Skorzystałem z tego, by odwiedzając go pod jakimś pretekstem, uzyskać tam wstęp. Widok tego żydowskiego miasteczka na Podgórzu, obmurowanego (jakże perfidnie) w kształty kamieni nagrobkowych, sprawiał niesamowite wrażenie. Żydzi wschodni są w ogóle ludźmi niesamowitymi; stłoczeni w ciasnej przestrzeni, usiłowali walczyć jak mogli, inteligencją lub złotem. Na peryferiach tej walki działy się straszne rzeczy, demoralizacja, zdrada, strach, naiwne przekupstwo, demon płci — pachniało błotem i krwią. Inteligentni skąd inąd ludzie wierzyli, że się utrzymają przy życiu „gdy będą użyteczni". Granice tej maksymy były bardzo rozciągłe.

Zaczęły się łapanki. Dziesiątkowano ludność po wsiach; „Lidice" mieliśmy w co drugiej wsi. Budowano pośpiesznie olbrzymie zbiorowisko baraków w Oświęcimiu. Chodziło o to, by mordować dyskretnie, z dala nawet od własnego społeczeństwa. Śmierć trafiała jednych planowo, ponieważ byli poszukiwani, innych jakby uderzały promienie kosmiczne — ponieważ była potrzebna liczba.

Dochodziły zgrozę budzące wieści o setkach tysięcy jeńców radzieckich, zagłodzonych i wymrożonych żywcem. Dzieci z Zamojszczyzny mordowano przez zastrzykiwanie fenolu do żył. Powoli życie w Generalgouvernement zamieniało się w wielki obóz koncentracyjny. W środku europejskiej cywilizacji powstawała próżnia: nie był to nawet powrót do hordy pierwotnej, do społeczności dzikich. Nie czyńmy przez to porównanie krzywdy ludom pierwotnym. To nie była społeczność pierwotna, to było gnicie wysokiej cywilizacji.

Był jakiś błąd fundamentalny w tej cywilizacji. Kultura europejska przeżywała dno kryzysu (oby tylko dno!). Kryzys dotąd, po upływie trzech lat od końca wojny, jeszcze nie przezwyciężony.

III.

Dwie wojny światowe nie są przyczyną kryzysu jaki przeżywamy. Kryzys ten jest głębszy i trwalszy niż proste, ekonomiczne skutki obydwu wojen. Wojny te były raczej skutkiem pewnych warunków obiektywnych tkwiących w mechanizmach gospodarczych, technicznych, ustrojowych i ideologicznych.

Kilkaset tysięcy wykolejeńców i psychopatów zjednoczonych przez Hitlera w pretoriańskich, para-militarnych organizacjach nie może być również uważane za główną przyczynę tego głębokiego upadku w jakim znalazła się kilkudziesięciomilionowa masa zaludniająca środkową Europę. Jest to raczej dojrzały owoc posiewu, przygotowywanego systematycznie od dawna, bodaj od czasów Fichtego, przez cały wiek dziewiętnasty (zagadnienie ekonomiczne świadomie tu chwilowo pomijam). Naród niemiecki był systematycznie wychowywany w kierunku anty-europejskim, w duchu pogardy dla wszystkiego co zbudowało cywilizację Europy. Wielki poeta niemiecki Hölderlin przeszło sto lat temu wygłosił taki sąd o Niemcach: „Barbarzyńcy zdawien dawna, którzy przez pilność i wiedzę, a nawet przez samą religię stali się jeszcze bardziej barbarzyńscy... rzemieślników tam widzisz, ale nie ludzi, myślicieli, ale nie ludzi, kapłanów, panów i sług — ale nie ludzi".

Nie obciążajmy zresztą samych Niemców odpowiedzialnością za przygotowywanie Anty-Europy, skoro nawet Renan, ojciec nowożytnego humanizmu, intelektualista pochwalał wojny kolonialne, prowadzone pod pretekstem jakoby „uszlachetniania ras niższych i zwyrodniałych". Podstawmy pod tę formułkę Żydów i Słowian — a znajdziemy się w towarzystwie Goebelsa.

Fala romantyzmu, która towarzyszyła uprzemysłowieniu Niemiec, by zbiec się wreszcie z reakcją polityczną, podsyciła anty-europejskie tendencje. Jeżeli przez termin „cywilizacja europejska "będziemy rozumieli klasyczne jej podstawy, racjonalizm siedemnastego wieku, oświecenie osiemnastego, kult wiedzy ścisłej, poszanowanie prawa i etyki, to Niemcy hitlerowskie były Anty-Europą.

Reedukacja Niemiec jest bezspornie zagadnieniem kapitalnym dla przyszłości świata. Będzie to jednak zagadnienie bardzo trudne i jeżeli nie osiągnie się godności działania państw zwycięskich, jeżeli się będzie zagadnienie to rozwiązywać połowicznie, bez sięgnięcia do podstaw gospodarczych, bez głębokich przemian ustrojowych, to ani na drodze wysiłków ideologicznych, ani na drodze zmiany ustroju szkolnego, zagadnienie to nie będzie prawdopodobne do rozwiązania możliwe.

Kryzys jaki przeżywają Niemcy nie jest wyłącznie kryzysem niemieckim. Tutaj nabrał on tylko pewnych form lokalnych, kojarząc się z militarystyczną tradycją junkierskiego państwa pruskiego, z mglistym nacjonalizmem wszechniemieckim, z tendencjami wielko - kapitalistycznymi kół przemysłowych, poszukujących w braku kolonii poza-europejskich nowego Hinterlandu w krajach rolniczych wschodniej Europy. Kryzys niemiecki jest w istocie tylko niemiecką odmianą szerszego geografcznie kryzysu, obejmującego swym zasięgiem zarówno kraje zachodniej Europy, jak i Stany Zjednoczone A. P. Jest to kryzys kapitalizmu światowego w jego ostatniej, imperialistycznej fazie.

Uważać SS-manów za bestie wcielone, za zbrodniarzy czy psychopatów z urodzenia, jest zbytnim upraszczaniem zagadnienia ze szkodą dla jego jasności. Nasi dozorcy z Oranienburga nie byli ani prostakami, ani głupcami.

Jeden z nich w przystępie szczególnej łaskawości, czy ciekawości (a może z poleceniem wybadania nastrojów) urządził dla nas profesorów, podczas którejś z godzin przebywania w baraku, rodzaj zebrania dyskusyjnego na temat, o ile dobrze pamiętam, prawa liberalnego i prawa nazistowskiego. Z grupy więźniów podtrzymywał dyskusję właściwie jeden tylko, młody działacz łużycki Ciż. Ów oficer SS. nie był wcale głupcem, był to człowiek niewątpliwie oczytany i pojęcia jego były dobrze usystematyzowane. Poglądy, które głosił nie były oczywiście jego indywidualnym dziełem, ale nie były też prymitywnym katechizmem partyjnym. To były poglądy kolektywne, wypracowane latami współpracy ideologów, polityków, humanistów. Składał się na nie Fichte i Schelling, Treitschke i De Lagarde. Kołatały się tam echa Juliusza Langbehna, autora fanatycznej, a bardzo rozpowszechnionej książki „Rembrandt als Erzieher". Był tam i Spengler i Chamberlain i Fryderyk Nietsche i rasistowska antropologia i muzyka Wagnera.

Około roku 1942 ukazała się zdumiewająca książka niejakiego Janko Janeffa: „Die Dämonie des Jahrhunderts", napisana z pasją dialektyczną odpowiadającą całkowicie tytułowi. Książka już w kilka tygodni po wydaniu była wyczerpaną i poszukiwaną rzadkością. Autor atakował między innymi typ wiedzy rozwiniętej w Europie i będącej podstawą jej technicznego rozwoju, twierdząc, że jest on zaczerpnięty z Aleksandrii z epoki jej upadku, że jest schyłkowy i rozkłada „faustyczny" zasób sił żywotnych. Zresztą cała książka była jakby ewangelią niemieckiej Anty-Europy.

Gdy później po przewrocie byłem świadkiem procesu czterdziestu oskarżonych panów życia i śmierci z Oświęcimia spotkałem inną odmianę nazistowskiego człowieka. Co uderzało przede wszystkim — to niesłychana pospolitość tych ludzi. Nawet w przerażającym rozkładzie psychicznym i moralnym — żadnego demonizmu. To byli zwyczajni drobnomieszczanie; fryzjerzy, drobni kupcy, restauratorzy, niżsi funkcjonariusze. Odnosiłem wrażenie, że zupełnie bezcelowym było skazywanie właśnie tych ludzi, skoro identycznych można było garściami zbierać w każdym przeciętnym niemieckim mieście i miasteczku — niezaspokojone w ambicjach awansu, chude i wygłodzone drobnomieszczaństwo — i wykształcić ich na zupełnie podobnych morderców „dla dobra ojczyzny".

Spoza ich indywidualnej pospolitości wyzierała potworna maszyna państwowa, psychika hordy uzbrojonej w nowoczesną broń. Niektórzy z nich byli czułymi ojcami, inni wzorowymi małżonkami, jeszcze inni hodowali kwiaty i kanarki, kochali muzykę. Nie bylejaką muzykę — właśnie Beethovena, Mozarta i Chopina. Doskonałym wyrazicielem tego typu był Ammon Goeth (coś jak Ammon Gott!) — przezwany na sposób niemal homerycki „ludobójcą", inteligent, przedstawiciel „dobrodusznych i poczciwych Wiedeńczyków".

A potem już tylko zgraja karierowiczów, którzy chcieli się obłowić na wszystkim: na majątkach pożydowskich i poaryjskich, na dostawach, na przegranej wojnie, na wojsku, na skarbie, na Hitlerze i na ideologii.

Co tych wszystkich ludzi łączyło? System polityczny, który sprzągł różne siły społeczne w różny sposób: inteligencję wychowaną na prądach Anty-Europy, drobnomieszczaństwo, duszące się w przeinwestowanej ojczyźnie i spragnione awansu na wschodzie, który pamiętało jeszcze z poprzedniej wojny; wielki kapitał nadreński, częściowo międzynarodowy, poszukujący ekspansji; junkrów pruskich, robiących jak za starego Fryca kariery w wojsku (pan Vom dem Bach-Żelewski); neopoganizm Rosenberga i Ludendorfa; młodzież ogarniętą prądami irracjonalizmu i romantyzmu sui generis, hodującą legendę o „niedoli niemieckiej" (jak ojcowie w nieokreślonym i mglistym a mocno podejrzanym ruchu „Wandervogel" tak samo synowie wyżywali się w daleko bardziej skonkretyzowanym pędzie na Wschód, do legendarnej Ukrainy „Ziemi niemieckich przeznaczeń"). Wszystkie te dojrzewające zadatki, prądy nurtujące od dawna, spłynęły w jeden ruch, w owy „czas bezprzykładny" — jak się wyrażał Goebels — a któremu Hitler dał infantylny znak swastyki, imię i kształt praktyczny.

Nie łudźmy się jednak niemiecką postacią tego ruchu. Istnieje on nadal w wielu krajach, przybierając w każdym takie lub inne cechy lokalne: w Hiszpanii — Franca, we Francji — de Gaulla, w Stanach Zjednoczonych — Vanderberga, Deweya i Marshalla. Oczywiście w wydaniu „demokratycznym", bez groteskowego i złowrogiego zarazem aspektu totemistycznego państwa niemieckiego, wrogiego kobiecie i dziecku, a opartego na związkach mężczyzn!...".

Na jakie siły może świat liczyć jeżeli pragnie uniknąć odrodzenia się w innej postaci tego wszystkiego, czemu brutalnie i jaskrawo dał wyraz nazizm niemiecki, a w złagodzonej formie, faszyzm włoski?

Może liczyć na świat pracy organizowany przez marksizm i na Związek Radziecki, olbrzymie państwo, zbudowane na zasadach marksizmu.

Czy może liczyć na tradycje intelektualne Europy i na kościół chrześcijański?

Tradycje intelektualne Europy są reprezentowane przez najlepszą część inteligencji; niestety tylko część nie przeżartą przez nacjonalizm, rasizm, irracjonalizm, przez mit „Blut und Boden". Na intelektualistach całego świata leży obowiązek walki o pokój i o wartości kultury, zagrożone przez mit krwi i rasy, przez demonizm nadczłowieka, którego zwulgaryzowane wydanie widzieliśmy niedawno. Jednakże swoista struktura warstwy inteligenckiej, jej brak podstawy klasowej, jej oderwanie się od mas ludowych sprawiło, że odstępstwo „klerków", którego niebezpieczeństwo sygnalizował Benda, spełniło się; anarchistyczny egzystencjalizm Sartre'a jest tylko powojenną odmianą tego odstępstwa.

Wydaje się, że trudno pomyśleć jaskrawsze przeciwieństwo, jak to, które istnieje pomiędzy tradycjami etycznymi i filozoficznymi kościoła chrześcijańskiego a filozofią „Blut und Boden". Ani rasizm, ani nierówność społeczna, ani niewola i wyzysk, ani relatywizm prawa i moralności nie leżą chyba w najlepszych tradycjach wyznania, które szczyci się swoim uniwersalizmem.

Niestety polityka Watykanu a filozofia kościoła, jak się okazuje, nie zawsze chodzą z sobą w parze. Filozofia jest pomyślana pod kątem wieczności, podczas gdy polityka chadza drogami kompromisu i woli osiągać bardziej doczesne cele. Można w wysokim stopniu ubolewać nad tym, że instytucja, którą wszystko winno łączyć z tradycją grecko-rzymską Europy a wszystko dzielić od kultu Wotana, nie opowiada się mocno, jasno i nie dwuznacznie, bez dyplomatycznych zastrzeżeń i formułek po stronie anty-faszyzmu. Przeciwnie jest wiele poszlak wskazujących na niechęć wiązania się z obozem, który jedynie jest w stanie przeciwstawić się wszelkim zakusom odradzającego się faszyzmu. Nie sądzę aby ta odgórna polityka odpowiadała wszystkim wiernym; wielu z nich niewątpliwie wyżej stawia zasady podstawowe niż dwuznaczną taktykę, która zdaje się usamodzielniać i wyrastać ponad swój cel.

Pozostaje więc jako główna siła ruch robotniczy całego świata, poparty przez część inteligencji lewicowej.

Pozostaje Związek Radziecki jako państwo, w którym zasady socjalizmu są najbardziej bezkompromisowo realizowane. Lęk tu i owdzie odczuwany przed Związkiem Radzieckim jest prawdopodobnie lękiem przed tą właśnie bezkompromisowością.

Pozostają wreszcie ludzie dobrej woli na całym świecie, nieuwiedzeni przez propagandę mitów krwi i rasy, przez negację wartości kulturalnych Europy, przez kult irracjonalizmu i woluntaryzmu „faustycznego" człowieka.

IV.

Pobyt w „laboratorium socjalnym" Oranienburga i trwanie na ziemi okupowanej (była nią ostatecznie prawie cała Europa) pozwoliły mi jeszcze na jeden krok. Określiłbym go jako wydobycie się z zaczarowanego kręgu złudzeń inteligenckich.

Inteligent przed wojną był istotą dość osobliwą. Warstwa, do której się zaliczał nie stanowiła żadnej odrębnej klasy społecznej, sama zasilała natomiast różne klasy. Z robotnikami łączyło go jedno: nie posiadanie kapitału ani własnego warsztatu produkcyjnego. Podobnie jak robotnik czerpie środki utrzymania z doraźnej, nie skapitalizowanej pracy, inteligent żył również z pracy, określanej jako umysłowa. Z klasami posiadającymi łączyły go natomiast inne cechy: wykształcenie ogólne (dyplom, matura), stopa życiowa w pewnych kategoriach wydatków (ubranie, mieszkanie) wyższa niż przeciętnego robotnika; hołdowanie tym samym lub zbliżonym nawykom i obyczajom towarzyskim; wreszcie wiara w wyższość „wzoru społecznego" warstw posiadających (w Polsce wobec niedorozwoju przemysłu ciągle jeszcze wzór ziemiańsko-arystokratyczny). W znacznej swej masie, jako urzędnik, nauczyciel, oficer, sędzia, zatrudniony był przez państwo: to znaczy obsługiwał aparat polityczny, którego głównym dysponentem i właściwym użytkowcą były klasy posiadające. Pośrednio stał więc na usługach tych klas (Istotę tego stosunku wypowiedział prosto i bez żenady w rozmowie, której byłem świadkiem, pewien chłoptaś arystokratyczny z kół krakowskiego „Czasu": to są nasi lokaje, mamy ich zawsze pod ręką do wynajęcia). Na górnych szczeblach, jako zasłużony profesor lub znany artysta był nawet przyjmowany w salonach tak zwanych „sfer". Pewna część inteligencji w Polsce dzięki pochodzeniu spośród zdeklasowanej szlachty, zachowała nie tylko żywy „wzór społeczny" w swych ideałach i sądach, ale utrzymywała jeszcze jakieś stosunki oparte na pokrewieństwach i odległych wspomnieniach w zamożniejszych sferach ziemiańskich.

W pewnej części warstwa inteligencji zasilała lewicowe partie polityczne, a nawet tworzyła ich zawiązki (Towarzystwo Demokratyczne); nie należy tego udziału pomniejszać ani lekceważyć: z tej warstwy pochodzili przecież Marks i Engels i Lenin.

Ten fakt luźności struktury społecznej warstwy, opartej raczej na kulturowych, niż ekonomicznych właściwościach i przeto pozbawionej własnego klasowego oblicza, sprawiał, że inteligencja (a ściślej biorąc ta jej część, którą nazywać się zwykło intelektualistami) tworzyła sobie złudne poczucie jakiejś wolności w dziedzinie twórczości kulturalnej, jakiejś apolityczności i poza-klasowości wytworów kultury. W tej to głównie warstwie szerzyło się także mniemanie o ponad-klasowości polityki narodowej, historii ojczystej i struktury państwowej. W istocie był to tylko wyraz niezaangażowania się warstw pośrednich w walce klasowej, zawieszenia tych warstw w przestrzeni pomiędzy antagonistycznymi klasami

(ciąg dalszy na str. 20)

DROGA KLASY ROBOTNICZEJ

„Jeszcze raz zwracamy się do Was, robotnicy, łączcie się w jedną całość, działajcie zgodnie, a zwycięstwo będzie po Waszej stronie"

(Z odezwy Komitetu Robotniczego Soc.-Rew. Partii „Proletariat" w roku 1882).

„PROLETARIAT" – PIERWSZA REWOLUCYJNA PARTIA POLSKIEJ KLASY ROBOTNICZEJ

„Komitet Robotniczy — jedyna instytucja w kraju naszym, której zadaniem jest bronić interesów i praw stanu robotniczego przed nadużyciami i wyzyskiwaniem ze strony wrogów jego, uznając, że robotnicy nic dla siebie wyjednać nie będą w stanie, dopóki między nimi nie będzie jedności i zgodności, uważa za niezbędne, żeby w każdej fabryce i we wszystkich warsztatach kolei żelaznych wszyscy pracujący tam robotnicy połączyli się ze sobą w jednomyślne i jednozgodne stowarzyszenia w celu zbiorowej i nieustannej pracy koło skutecznej obrony swych praw i interesów. Takie ścisłe zespolenie się robotników pracujących w jednej fabryce (lub warsztacie), wyzyskiwanych przez jednego kapitalistę jest jedynym dla nich środkiem oporu przemocy i tyranii. Zarząd każdej fabryki, widząc solidarność (jedność) pracujących w niej robotników, gotowych do zbiorowego oporu wszelkiemu bezprawiu, będzie się obawiał krzywdzić robotników lub popełnić nowe nadużycia. Tylko połączeni w jedną silną całość robotnicy mogą i powinni dochodzić swych krzywd, a w następstwie wywalczać sobie coraz nowe prawa. Stańcie wszyscy jak jeden człowiek i z dobrą wolą, z wiarą we własne tylko siły wytrwale pracujcie, a sprawa wasza, mająca na celu życie i szczęście milionów cierpiących, pożądany przyjmie obrót".

Warszawa dnia 21 grudnia 1882 r.

(Z odezwy Komitetu Robotniczego Soc.-Rew. Partii „Proletariat", „Przedświt" Nr 10, Genewa 20 stycznia 1883 r.)

*

„Kochani! 28 Stycznia o ósmej godzinie rano, na stokach cytadeli pod oknami naszego więzienia stracono czterech naszych towarzyszy: Stanisław Kunicki, Piotr Bardowski, Jan Pietrusiński i Michał Ossowski z rozkazu Hurki powieszeni zostali. Ciała ich pogrzebano nad Wisłą, w miejscu, które cytadeli całej za śmietnik służy.

Umarli oni mężnie i, jak prawdziwi obrońcy praw ludu, ginęli z jego hasłami na ustach, z okrzykiem na cześć jego. Hardo nieśli swe głowy, a widok szubienicy, widok trumien i grobów, do których za chwilę rzucić miano zimne ich trupy, powitali oni okrzykiem: Niech żyje proletariat, niech żyje wolność! I z tym okrzykiem każdy z nich z kolei kładł swą głowę pod stryczek i umierał.

Umierali oni — by żyła sprawa proletariatu.

Cześć ich pamięci, sława ich imionom, a katom przekleństwo i zemsta nieubłagana!

Towarzysze! te szubienice dźwignięto dla Was. Trupami tymi zastraszyć Was chciano, a tym postrachem szyje Wasze nagiąć do jarzma, ducha Waszego spodlić tchórzostwem.

Wszak wszyscy wiedzą, wiedzą sami sędziowie, że z punktu widzenia nawet ich praw, stracenie naszych towarzyszy było prostem morderstwem, wiedzą, że nie w imię prawa wieszać kazano.

Rząd uląkł się rozrostu ruchu robotniczego, poczuł, że go opanować już nie może, ani go wyplenić... Terrorem chce rząd przeciąć rozwój sprawy ruchu, byście Wy broń złożyli i uciekli z pola.

Szanujemy Was zanadto koledzy, byśmy na jedną chwilę dopuścili myśl o Waszem odstępstwie, byśmy przypuszczać mogli, że uczucie strachu nie jest Wam obce. Wiemy, że wobec nowego zwrotu w stosunkach rządu do ruchu wszyscy my na naszych pozostaniemy stanowiskach, i, jak polegli pokazali katom, jak śmierć spotyka proletariusz — żołnierz idei, tak i ci, co żyją jeszcze, pokażą rządowi, że zabijać on może tylko ludzi, ale idei nigdy!"

(Fragment Listu zbiorowego pozostałych z X pawilonu" „Walka klas" Nr 8—9—10, 1886 r.)

MAZUR KAJDANIARSKI

Do mazura stań wesoło,
Buntownicza wiaro!
Suń wesoło, dalej w koło,
Warszawa i Karo! [1])

Wróg ma dla nas kajdan dużo,
Ma też dużo turem,
My weseli, bo kajdany
Dzwonią nam mazurem!

Nam pałacem — turma, Kara,
Dla nas strój balowy
Katorżnicka kurtka szara
I znaczek ponsowy.

W tych pałach i w tych strojach
Hulamy ochoczo,
Bo nam myśli i sumienia
Zgryzoty nie mroczą.

Uczuć naszych mur nie studzi,
Płoną one żarem,
I w tem piekle żyjem młodzi
Całym życia czarem!

Dziewcząt naszych ocząt blaski
Nie mglą łzy zwątpienia,
Bohaterskich ich serduszek
Nie łamią cierpienia.

I wesołych piosnek dźwięki
Z ust ich płyną mile,
Że nie zgadniesz, jak bolesne
Przeżywały chwile.

Gdy którego stryczek zdusi,
I to bagatela,
Bo człek każdy umrzeć musi,
Gwałt rodzi mściciela.

Nasi pomszczą jak należy,
Śmierć zmarłego brata
I na grób mu zamiast wieńca
Rzucą głowę kata.

Zgrzyt łańcuchów i szczęk broni
To mazur ochoczy,
Od tej nuty serce rośnie
I śmieją się oczy.

A gdy tańca czas nadejdzie,
Nasze kazamaty
Wam wybiją takt mazura
Łańcuchem o kraty.

Taki będzie silny dziarski,
Że pękną ogniwa,
A nasz mazur kajdaniarski
Pół Polski zaśpiewa.

I po kraju dźwięk przeleci
Jako marsz parady,
W takt mazurka pójdzie raźno
Lud na barykady.

Gdy na skoczne te akordy
Wstanie lud nasz cały
To najśmielsi poprowadzą
Raźny mazur biały.

Po nim słonko mrok rozprószy,
I znikną jak mara
Turmy, kraty i kajdany
Z gospodarką cara.

Pod dach własny każdy wróci
Zdrów wesół i dziarski
I dzieciakom swym zanuci
Mazur Kajdaniarski.

Ludwik Waryński

[1]) Kara — słynna katorga syberyjska, dokąd w r. 1886 zesłana została część Proletariatczyków.

„Piątka kajdaniarzy" (od lewej): — Dulęba, Kon, Rechniewski, Lurie, Mańkowski.

Sztandar ob. kom. PPR Łódź z czasów okupacji

Z LAT ROZŁAMU W POLSKIM RUCHU ROBOTNICZYM

„Robotnicy!

Znana Wam jest organizacja „Związek Robotników Polskich", która w ciągu ostatnich trzech lat niestrudzenie pracowała dla Waszego dobra, niestrudzenie broniła sprawy robotniczej, wzywała Was do walki z wyzyskiem i dawała wskazówki, jak prowadzić tę walkę. Nie na rękę była rządowi carskiemu ta działalność naszej organizacji. Postanowiono zniweczyć, wytępić Waszych przyjaciół i obrońców. Wszyscyście słyszeli o licznych aresztach, któremi prześladował nas rząd w przeciągu dwóch lat ostatnich. Towarzyszy naszych łapali żandarmi jednego za drugim i na długie lata zamykali do Cytadeli.

Lecz nasza sprawa robotnicza jest święta, nikt jej nie zmoże. Otóż my zebraliśmy się i zjednoczyli, aby walczyć dalej i wspólnemi siłami bronić się i pracować nad wyzwoleniem klasy robotniczej spod jarzma nędzy i niewoli. Pod nową nazwą „Socjaldemokracji" wierni starym przekonaniom, będziemy wszędzie, gdzie wyrządzają krzywdę robotnikom, gdzie potrzebna jest pomoc, rada, i dodanie otuchy.

Jak dawniej będziemy ze wszech sił pomagać w strajkach. Jak dawniej, przed 1 maja będziemy wzywać Was do obchodzenia naszego święta robotniczego. W gazecie naszej pod tytułem „Sprawa robotnicza" będziemy śledzić za tem, co boli i gnębi naszych braci robotników i wskazywać na środki, jak ulżyć ich losowi.

Bracia robotnicy! Grupujcie się nadal wokół nas, przyłączajcie się do naszej organizacji i wzmacniajcie nasze szeregi. Rozpocznijmy walkę o wyzwolenie i szczęście pracującego w nędzy ludu roboczego!

Niech żyje sprawa robotnicza!

Niech żyje Socjaldemokracja!"

Warszawa, wrzesień 1893 r.

(Odezwa SDKP)

*

„Warszawa 26 sierpnia.

Strajk obejmuje wszystkie budowle. Strajkuje około 6 tysięcy murarzy, co razem z pomocnikami, uczniami itd. wynosi przeszło 9 tysięcy osób. Urządzamy ciągle masowe zebrania, na których towarzysze nasi omawiają położenie strajkujących, oraz wygłaszają mowy ogólno-polityczne. Mowy te wzbudzają taki zapał, że zebrania kończą się pochodem demonstracyjnym. Tak było w pierwszym dniu strajku, tak też było i po większem zebraniu, które odbyło się w środę, 24 sierpnia, za rogatką jerozolimską. Zebrało się 1500 strajkujących, przemawiali znowu towarzysze z naszej organizacji oraz od „Proletariatu" [1]). Po skończeniu zebrania, około godziny 9 wieczór strajkujący ruszyli w pochód demonstracyjny, śpiewając „Czerwony sztandar" i „Warszawiankę". Tym razem jednak nie zapomnieliśmy i o sztandarze, który teraz powiewał nad głowami demonstrantów z napisami: „Wojna wojnie! Niech żyje 9-godzinny dzień roboczy! Niech żyje socjaldemokracja!" Nawiasem mówiąc, jest to zasłużony sztandar, bo powiewał już na czterech naszych demonstracjach z odpowiednimi zmianami okolicznościowych napisów. — Pochód ze sztandarem trwał pół godziny. Doszedłszy do kolei obwodowej demonstranci rozeszli się.

Warszawa 28 sierpnia.

Onegdaj, w piątek odbyło się znowu wielkie zebranie strajkujących pod kierownictwem Komitetu. Murarze punkt o 12 w południe zaczęli się schodzić na „giełdę" na ulicy Chłodnej, pomiędzy Wronią a rogatką Wolską, ażeby się dowiedzieć, co słychać na budowlach, i gdzie odbędzie się zebranie. Trotuary pełne były strajkujących. Ale policja widocznie spodziewała się tu demonstracji, więc w pełnym komplecie wysypała się z 7-go cyrkułu, w podwórzu zaś szpitala wolskiego i w browarze Machlejda stali na pogotowiu kozacy. Uszykowano również stróżów. Wszystkim dorożkarzom, których zwykle dużo stoi przy rogatce wolskiej komisarz kazał na dany znak stanąć dorożkami wpoprzek ulicy, aby zasłonić odwrót pochodowi naszemu. Tymczasem policję miało spotkać wielkie rozczarowanie. Nasi towarzysze szybko wskazali strajkującym drogę i w kilka minut po 12-ej murarze rozmaitemi drogami podążyli nad Wisłę, na tak zwane Siekierki! Znaczna część strajkujących skierowała się ku ul. Towarowej. Policja, sądząc widocznie, że zbierzemy się na Woli, podążyła wraz z kozakami, którzy raptem ukazali się na ulicy, do lasku na Czystem. Oczywiście, nikogo tam nie znalazła, zgubiła już ślad i wróciła „z nosem".

(„Czerwony sztandar" notatki o strajku murarzy. Nr 20, wrzesień 1904).

ROK 1905

WARSZAWIANKA 1905

Przez miasto tłum z zapartym tchem przepierś każda starczy za mur tarcz!
Kły luf od spojrzeń szpiclów tępsze
krwią znaczą nasz zwycięski marsz —
ostatni nasz żelazny marsz!

Nie zdławi nas bagnetów ostrze,
żołdackie kolby, chamski but —
Zwycięstwa znak nas będzie wiódł,
gdy Warszawa sztandar swój rozpostrze!
Powiśle! młoty w garść
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Stanisław Ryszard Dobrowolski
(Z poematu „Powrót na Powiśle". Fragment drukowany w tyg. „Lewar", 1935).

*

„Rozwarła się wielka brama... Z głębi murów olbrzymich, zadymionych sadzą, wyszedł na ulicę wielki ludzki tłum, wyszedł od razu, wywalił się jak bryła. Powiewała nad nim czerwona chorągiew, płótno we krwi zmaczane. Proste drzewo tkwiło w jakowychś dłoniach wyschniętych, sękatych, z czarnymi pazurami. Zdawało się, że dłonie — to szpony ptasie, że chwyciły i trzymają zdobyty łup. Poniżej dłoni widać było dwa brudne mankiety z ordynarnymi spinkami. Dolny brzeg i koniec czerwonego płótna lewą ręką unosiła ku górze kobieta obwiązana chustką wełnianą. Na prawej ręce dźwigała niemowlę, którego główka, wyłaniająca się z chusty matczynej tkwiła ponad odkrytymi głowami.

Wokół sztandaru tłoczyły się w pośpiesznym marszu figury sczerniałe, rude, pożółkłe, ludzie o skórze lic tego wydębionej dymem, kwasami, sadzą i smrodem. Szli mężowie o oczach doskonale wyżganych pracowitymi igłami porządnej pracy, o trzewiach wyżartych od chorób, o nerwach, których szaleństwo ucisza wódka. Wszyscy byli odziani w tandetne miejskie gałgany, kupione w sklepach starzyzny. Ich tużurki, marynarki, żakiety były gałgańskim naśladowaniem odzieży ludzkiej, podobnie jak ich głowy, złupione przez pracę, obrzydłe od biedy, spotniałe od trudu, były karykaturą kształtu ludzkiego...

Pieśń o czerwonym sztandarze wzlatywała z ich warg odrętwiałych i rwała się raz wraz. Co ją ze zduszonej piersi wysiępali, jak obosieczny miecz — co wyrzucali strofę spomiędzy zwartych zębów, to się nagle rozsypała, jak lotny piach, w luźne wyrazy, w tony i dźwięki...

Zupełna pustka stała się na ulicy. Nagie ściany domów, zamknięte okna, zatrzaśnięte drzwi i nagi bruk.

Nagi bruk...

Z poprzecznego zaułka wyszedł niespodziewanie jakoby ruchomy odłam muru. Szynele koloru skostniałej ziemi, żółtawe baszłyki, niby skiby roli podorane. Na ten widok wyrwała się z pęt i wybuchła pieśń. Stała się okrzykiem wolności, wydartym z głębiny

[1]) PPS „Proletariat".

DO ZWYCIĘSTWA I JEDNOŚCI

ducha wielkiego ludu. Niby z otchłani lecąca strzała, której żeleźce dymi się jeszcze od krwi, padła w pustą ulicę i w nastawiony połysk karabinów.

Popchnięty od ducha zachwytu, natchniony posłannictwem, tłum zrósł się w jedną bryłę. Stał się męstwem, które śmiercią pogardza. Szedł niezachwiany, wyniosły, ślepy i głuchy. Żywy pocisk, torujący drogi wolności".

(Stefan Żeromski — z „Nagiego bruku" — 1906)

POŁĄCZENIE REWOLUCYJNEJ LEWICY RUCHU ROBOTNICZEGO

Dnia 16 grudnia 1918 roku Konferencja Krajowa SDKPiL przejęła następującą rezolucję:

„...Podkreślając stale swą nieprzejednaną linię rewolucyjną, partia nasza zawsze odrzucała demagogię zjednoczeniową PPS Lewicy, zacierającą różnice programowo-taktyczne i wprowadzającą zamęt do umysłów robotniczych.

Dziś dopiero, gdy pod wpływem sytuacji rewolucyjnej, krytyki socjaldemokratycznej i parcia samych robotników, zorganizowanych w lewicy PPS, partia ta zmuszona była porzucić swoje oportunistyczne stanowisko i uznać hasło rewolucji socjalnej i dyktatury proletariatu, połączenie obu partii po raz pierwszy w dziejach ruchu robotniczego Polski stanęło na porządku dziennym jako rzecz możliwa i konieczna.

W nowej zjednoczonej partii komunistycznej socjaldemokraci będą nadal przeprowadzali nieugiętą marksistowską linię polityczną, odpowiadającą całej przeszłości historycznej naszej partii i bezwzględnie przeciwstawiać się wszelkim odchyleniom od tej linii".

Dnia 16 grudnia 1918 roku XII Zjazd PPS Lewicy przyjął następujący wniosek:

„XII Zjazd PPS Lewicy, stwierdzając, że zarówno nasza partia jak SDKPiL w sprawach zasadniczych i taktycznych zajęły całkowicie zgodne stanowisko, wypowiada się za zjednoczeniem PPS Lewicy z SDKPiL, deleguje wszystkich delegatów na obecny Zjazd na wspólny Zjazd z SDKPiL, dając im mandat założenia wespół z tą partią Zjednoczonej Komunistycznej Partii Robotniczej Polski".

*

„DO PROLETARIATU POLSKI!

Dwie partie: Polska Partia Socjalistyczna (Lewica) i Socjal-demokracja Królestwa Polskiego i Litwy połączyły się w jedną **Komunistyczną Partię Robotniczą Polski**, która wzywa Was pod swój sztandar walki **o dyktaturę proletariatu, o rewolucję socjalną.**

Pod tym sztandarem zjednoczyły się obie partie w chwili, gdy w całej Europie pękają wiązania państw kapitalistycznych, a proletariat walczy o zdobycie władzy, aby na gruzach starego świata wyzysku i ucisku budować świat nowy, na własności socjalistycznej, na wolności i braterstwie oparty. Połączyła nas jasność zadań, które dziś stoją przed klasą robotniczą.

Zbliża się chwila szturmu na twierdzę kapitalizmu. Nie ma różnic między nami w głębokiej wierze i pewności. Tej wiary i pewności wyrazem jest nasze zjednoczenie — połączenie armii robotniczych przed walną bitwą...

Z polskiej klasy robotniczej spadły więzy okupacji. Burżuazja polska straciła najsilniejsze narzędzie swego ucisku klasowego. Ale to rozluźnienie naszych pęt zawdzięczamy nie rewolucji w Polsce, lecz rewolucji rosyjskiej i niemieckiej. Dlatego grożą nam wciąż nowe wściekłe ataki kontrrewolucji burżuazyjnej, którą coraz bardziej rozzuchwala ugodowość rządu Piłsudskich i Moraczewskich, zdradzających na każdym kroku interesy ludu.

Jeśli nie chcemy, by nas zakuto w nowe kajdany, musimy rozpalić w Polsce własną rewolucję, zburzyć panowanie burżuazji, zdobyć władzę dla Rad Delegatów Robotniczych.

Rzuciliśmy hasło tworzenia w Polsce Rad Delegatów Robotniczych miast i wsi w niezłomnym przekonaniu, że staną się organem walki szerokich mas proletariatu. Przeciw klasom burżuazyjnym, łączącym się z międzynarodową imperialistyczną kontrrewolucją niechaj stanie zwarta siła klasy robotniczej, ramię w ramię z socjalistyczną Rosją i z rewolucyjnym proletariatem wszystkich krajów.

Niech żyje międzynarodowa walka rewolucyjna!

Niech żyje dyktatura proletariatu!

Niech żyje rewolucja socjalna!"

Zjazd Organizacyjny Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (Zjednoczonych SDKPiL i Lewicy PPS)

O CHLEB, WOLNOŚĆ I POKÓJ

„DO WALKI PRZECIW SANACYJNYM CIEMIĘŻCOM LUDU, ZDRAJCOM NARODU, PODPALACZOM WOJENNYM!
DO ROBOTNIKÓW!
DO CHŁOPÓW!
DO INTELIGENCJI PRACUJĄCEJ!
DO WSZYSTKICH LUDZI PRACY!
DO CAŁEGO LUDU POLSKI!

Od dziesięciu lat rządzi krajem niepodzielnie klika piłsudczykowska Sławków, Sławoj-Składkowskich, Becków, Kościałkowskich i Carów. Od dziesięciu lat sprawuje rządy w interesach kartelów fabrykanckich i obszarniczych, w interesach magnatów finansowych, przemysłowych i rolnych, w interesach Radziwiłłów, Lubomirskich, Wierzbickich.

Przez dziesięć lat, panowie sanatorzy, rządzicie krajem. Czas zdać sprawę z dziesięcioletnich rządów...

Dziesięcioletnie dzieje rządów sanacyjnych, to dzieje hańby, dzieje zaprzedawania interesów kraju, łupiestwa i ujarzmienia mas, to dzieje upadku gospodarczego, kulturalnego i politycznego Polski.

Masy ludowe Polski staczają się coraz głębiej w otchłań nędzy i bezrobocia. Rządy sanacyjne wydarły robotnikom ich zdobycze z pierwszych lat powojennych, przedłużyły czas pracy, oberwały płace, zrabowały świadczenia społeczne. Zagłębie węglowe, najbardziej wielkoprzemysłowa dzielnica Polski, jest dziś cmentarzyskiem zalanych wodą kopalń, zamarłych szybów i wygasłych pieców hutniczych. Każde miasto, każdy przemysłowy ośrodek Polski jest dziś zbiorowiskiem bezrobotnych, karmionych wodnistą zupką dobroczynną, to znaczy skazywanych na śmierć z wycieńczenia.

Na wsi miliony chłopów, nie mogących wyżyć na skąpym skrawku ziemi, łupionych podatkami, gnębionych szawarkiem, obdzieranych przez lichwę — karmiąc kraj — sami przymierają głodem. Dzieci ich rosną obdarte i bose, puchną z głodu. Miliony bezrobotnych proletariuszy wiejskich daremnie szukają jakiegokolwiek zajęcia, szukają najcięższej bodaj pracy za dach nad głową, miskę strawy.

Szerzy się bezrobocie wśród inteligencji pracującej. Tysiące pracowników umysłowych, inżynierów, agronomów, szuka daremnie jakiegokolwiek zajęcia, jakiegokolwiek zastosowania dla swych sił i zdolności...

ROBOTNICY, CHŁOPI, PRACOWNICY!

Do Was wszystkich, którym zgraja faszystowska rabuje chleb i rabuje wolność, których wypędza z warsztatów pracy i których chce jutro zapędzić do okopów; do Was wszystkich, którzy chcecie walczyć o chleb, wolność i pokój; do Was wszystkich Komunistyczna Partia Polski, — krew z krwi i kość z kości klasy robotniczej i mas pracujących — woła: **walczmy razem,**

Do Was wszystkich, którzy chcecie, aby Polska była rzeczywistą ojczyzną, matką — a nie macochą — robotnika, chłopa, pracownika, nie folwarkiem pańskim, ostoją faszyzmu i reakcji, do Was wszystkich Partia Komunistyczna woła: **nasz ratunek, ratunek naszego kraju — w walce!**

ROBOTNICY, CHŁOPI, PRACOWNICY!

Do takiej walki wzywamy Was dzisiaj. Jeżeli wystąpicie do niej solidarnie, klika sanacyjna będzie zmieciona szturmem burzy ludowej.

Faszyzm będzie usiłował Was zastraszyć. Nie ulęknijcie się. W jedności siła.

Robotnicy, Chłopi, Pracownicy! Wzywamy Was do walki o prawa ludzkie obywatelskie wszystkich ludzi pracy. Wzywamy Was do wspólnej walki o los i lepszą przyszłość dzieci Waszych, Waszego kraju".

K. C. KOMUNISTYCZNEJ PARTII POLSKI

Warszawa, w marcu 1936.

* * *

A z tej celi pustej i chłodnej
trzeba będzie niedługo odejść.
Jeszcze spojrzeć w niebo pogodne,
jeszcze spojrzeć za siebie — w młodość.

Już za chwilę przyjdą żandarmi,
wyprowadzą bez słowa z celi...
Trzeba umrzeć jak żołnierz armii,
iść spokojnie pod mur cytadeli.

Ach, umierać nie będzie ciężko,
chociaż serce ma lat dwadzieścia,
niezłamane codzienną klęską —
dziesięć klęsk, dziesięć kul pomieści.

Bo jest życie piękniejsze nowe.
I żyć warto. I umrzeć warto.
Trzeba nieść jak chorągiew głowę,
świecić piersią kulami rozdartą.

Trzeba umieć umierać pięknie,
patrzeć w lufy wzniesione śmiało.
Aż się podłe zadziwi i zlęknie,
aż umilknie łoskot wystrzałów.

(Wiersz Władysława Broniewskiego zamieszczony bezimiennie w „Więźniu politycznym" — organie Komitetu Centralnego Czerwonej Pomocy w Polsce — MOPR w N-rze z sierpnia — września 1925 w związku z rozstrzelaniem trzech członków KPP: Hibnera, Kniewskiego i Rutkowskiego, oskarżonych o zabójstwo prowokatora).

„Sala nabita po brzegi. Anatol patrzy uważnie. Szary, zbity tłum. Znane twarze, zorane tą samą troską. Kłęby dymu z lichych papierosów.

Anatol mówi. Z początku wolno, spokojnie. Wydobywa z mózgu słowa, wyryte tam ognistymi zgłoskami. Jedno za drugim. Wiążą się w ścisłe ogniwa, jak łańcuch opasują salę. A potem w górę. Wznoszą się wysokim rusztowaniem, przerzucają łukiem z rogu w róg, gorejącym sklepieniem stoją nad tłumem.

Nikną twarze. Zacierają się ich rysy, opada ku ziemi dym. Anatol patrzy w jedną twarz — w twardo ciosane oblicze prostego człowieka. W zaostrzoną nędzą twarz pracującego człowieka Anatol mówi swoje czerwone, palące słowa...

Goreje czerwona kopuła słów nad ciemną salą. Płonie. Wznosi się zawieruchą płomieni. Migoce skrzyżowaniem błyskawic. Pocisk — jeden za drugim. Nieomylną ręką. Czarną od oparzelizn ręką palacza. Nabrzmiałą żyłami ręką tragarza. Znaczoną piętnami czerwonych blizn ręką od hebla, strugu i młota. Głosem bez wahań i drżeń. Głosem rozdętych płuc człowieka z huty. Zżartych gruźlicą płuc człowieka z fabryki. Brunatnych, szarych, białych płuc pracującego człowieka.

Nagłym, huczącym wichrem. Językami ognia. Zawieruchą płomieni. Ciosem szybkim jak myśl. Nad szeroką, bez granic i bez dna przepaścią niedoli, nad otchłanią krzywdy i męki. Czerwone jaskrawe słowa naprzeciw ciemności świata..."

*

„W wielkich koszach wnosi się na scenę chleb. Układa się na rozłożonych papierach stosy podłużnych, brunatno - złotych bochenków. Są równe, pachnące i gładkie. Zwyczajnie, chleb

Ale jest jedenasty dzień strajku. Z zapchanej po brzegi sali patrzy tysiąc twarzy. Na ten złoto - brunatny. gładki pachnący chleb.

Twarze są chude, policzki zapadłe, w ciemnych oczodołach płoną gorączkowym blaskiem źrenice. Młodzi chłopcy, mężczyźni, wreszcie starcy niemal — któż zresztą może wiedzieć? Może ten zgarbiony, wyschły człowiek jest jeszcze młody, ale ciężar tysięcy cegieł, które dźwigał na plecach na trzecie i czwarte piętro dzień w dzień, przez cały sezon, póki jeszcze była praca, tak go przygiął ku ziemi? Może ten blady, o posiwiałych skroniach robotnik jest jeszcze młody, a wyblichowały go tak tysiące szafli wapna, noszonych od czternastego roku życia na trzecie i czwarte piętro dzień w dzień, przez cały sezon, póki jeszcze była praca?

Złoto - brunatny, pachnący jest chleb. Blade, szczerniałe i wyschłe są twarze.

Chleb jest dla wszystkich. Może się zgłosić każdy, kto potrzebuje. Każdy, kto go już nie ma w domu.

Przez jeden moment chwila wahania. Tysiąc par oczu patrzy w stos leżącego na stole chleba.

Ale nie wyciąga się żadna ręka. Chleb za związkowe, zbierane długo z trudem pieniądze. Chleb dla tych, którzy już naprawdę nie mają co do ust włożyć.

— Najpierw kobietom — pada gdzieś z tyłu sali męski głos.

— I tym, co mają po pięcioro, sześcioro dzieci. —

Powoli zaczynają się podnosić ręce, to tu, to tam. Coraz więcej Jest przecież jedenasty dzień strajku".

(Wanda Wasilewska „Oblicze dnia", 1934).

ZECERZY

Noc w noc — po nocach — noc w noc
na linotypach
ołowiane symfonie gramy
telefono- telegrafo- radiogramy
z reporterskich zadyszanych nut
skrót
trzy linie
dalej
a po nocach — noc w noc — po nocach
ołów, ołów się pali
topi się na naboje
topi się na druk
wróg
posiadł oboje
prasą zaleje miasto
prasę rzuci na bruk
prasa wiadomo tłoczy
oczy
i rzuca do nóg
trupy krwawo padają na placach
wiadomo: ołów i głód
gramy to w czarnych nokturnach
skrót
trzy linie
dalej
KURIER — FIGARO — DIMINEATZA
ANGRIFF — SIEWODNIA — TIMES — JOURNAL
wyją żywe trupy na placach
wiadomo: prasa i głód
gramy noc w noc, w noce gramy
na typografach
w Pekinie, w Londynie, na Frisco
kiedy wy budujecie katafalk
narzędziom wyzysku
i ołów, ołów nas pali
i pieniądz kolczasty drut
palce, nasze palce brutalnie
w melodię kłamstwa wplótł
skrót
trzy linie
dalej
i tylko gramy jak olbrzymie świerszcze
w noce, w noce conocne
ale zawiść nasza jest szersza
jej nie wygramy do cna
aż przyjdzie ta noc, wielka noc
nie Wielkanoc, a może w Wielkanoc
gdy w śmiercionośnej, życiodanej wrzawie
krwawił
świat będzie w porodowych krzykach
wtedy my
zagramy symfonię EROICA
z tych słów
młodych, zachłystanych zwycięstwem
NADZWYCZAJNE WYDANIE — EXTRABLATT
Mamy zaszczyt zawiadomić
że:
Stary porządek padł —
grę epokową
wygraliśmy my
i od dziś
zaczynamy
my
na nowo
zdrowy budować świat!

Stanisław Jerzy Lec

(„Lewar" — r. 1933)

W LATACH WALKI

„W tej decydującej chwili przed całym narodem staje zadanie zjednoczenia wszystkich sił do walki z okupantem na śmierć i życie, zadanie utworzenia frontu narodowego dla walki o wolną i niepodległą Polskę. Ten front narodowy, front narodowy bez zdrajców i kapitulantów może być urzeczywistniony i zwycięży tylko wtedy, kiedy w jego pierszych szeregach walczyć będzie zespolona i zwarta klasa robotnicza. Polska klasa robotnicza musi przede wszystkich położyć kres rozbiciu we własnych szeregach. Tego zjednoczenia klasy robotniczej dokonać tylko może bojowa partia robotnicza, która z doświadczenia polskiego ruchu robotniczego, z tradycji wyzwoleńczych walk narodu polskiego weźmie wszystko to, co czyste, co zdrowe, co cenne, a odrzuci co zgniłe, co nie wytrzymało próby życia.

Musi to być partia klasy robotniczej, która zawsze i wszędzie broni interesów mas pracujących i walczy o ich ostateczne wyzwolenie spod jarzma kapitalizmu, partia robotnicza, związana tysiącami nici z życiem, losami, przyszłością swego własnego narodu, partia, która w całej swej działalności kieruje się dobrem narodu polskiego..." „Polska Partia Robotnicza nawołuje wszyst-

GWARDIA LUDOWA
DOWÓDZTWO GŁÓWNE

ARCHIWUM HONOROWE OJCZYZNA
Dział II/3/a
Nr 6
Komitet Okręg. Polskiej Partii Robotniczej

NOMINACJA

Za ofiarną i wytrwałą walkę o wyzwolenie ojczyzny

gw. Bogdan
(stopień i pseudonim bojowy)

Rozkazem Dowództwa Głównego Gwardii Ludowej

z dnia 25 sierpnia 1943 roku

OTRZYMUJE NOMINACJĘ DO STOPNIA

plutonowego

DOWÓDZTWO GŁÓWNE GWARDII LUDOWEJ

M. P. dnia 30 sierpnia 1943 r.

Dekret nominacyjny Dowództwa Głównego Gwardii Ludowej

kich, komu drogą jest sprawa niepodległości i wolności narodu polskiego do tworzenia i wzmacniania wspólnego frontu narodowego i do nieprzejednanej walki z niemieckim najeźdźcą faszystowskim.

Polska Partia Robotnicza wzywa do ofiarnej pracy nad przygotowaniem powstania narodowego o wyzwolenie Polski spod jarzma hitlerowskiego. Polska Partia Robotnicza wzywa do walki o wolną i niepodległą Polskę, w której nie będzie faszyzmu, ani ucisku obszarniczego, nie będzie obozów koncentracyjnych, ani hańbiącego ludzkość ghetta, nie będzie ucisku narodowego, nie będzie głodu, nędzy i bezrobocia".

„Twórzcie oddziały partyzanckie! Niech drugi front powstanie na tyłach armii hitlerowskiej!

Do boju! Do walki o wolną i niepodległą Polskę!"

(Wyjątki z pierwszej Deklaracji Polskiej Partii Robotniczej 1942 r.)

*

„Zbliżał się wrzesień 1942 roku.

Z początkiem sierpnia, z inicjatywy i rozkazu Sztabu Głównego Gwardii Ludowej, wydrukowano obligacje „Dar Narodowy", aby zebrać fundusze na kupno lokali, broni, aby pomóc rodzinom poległych w walce z okupantem. „Dar Narodowy" miał być zarazem węzłem łączącym naród z jego armią podziemną.

Rozwoziłyśmy z „Celiną" swoją część nakładu „Daru Narodowego" po całym prawie kraju, kolportowaliśmy go w Warszawie, w fabrykach, wśród robotników. „Dar Narodowy" został przyjęty z entuzjazmem i był wprost rozchwytywany. W terenie dopominali się wciąż o nowe obligacje i awanturowali się, gdy na czas nie przychodziły... „Dar Narodowy" stał się pierwszym kamieniem węgielnym pod budowę jedności narodowej wokół wspólnego celu — walki z okupantem.

Gwardia Ludowa rosła i potężniała. Tworzyła drukarnie, zdobywała broń, na którą czekały już chciwie dziesiątki i setki kandydatów do partyzantki leśnej, nie mogących ruszyć w teren, jedynie z powodu braku broni.

Zaroiły się lasy oddziałami partyzanckimi. Wyleciały w powietrze pierwsze wysadzone pociągi i mosty kolejowe. W Grójeckiem oddziały partyzanckie „Wilka" — Rogulskiego rozbijały mleczarnie, urzędy gminne, niszczyły spisy, konfiskowały kontyngenty i rozdawały je najuboższej ludności wiejskiej, ścinały słupy telegraficzne na szosach, atakowały placówki niemieckie. W Garwolińskiem Gwardziści opanowali miasteczko Parysów. W mieście Kłoda zlikwidowano oddział piętnastu żandarmów. Staczano pierwsze potyczki, które wraz z rozrastaniem się oddziałów zamieniały się w większe bitwy z wrogiem".

(Stanisława Sowińska („Barbara") — „Lata walki")

Obligacja „Dar Narodowy" na AL

KU ZJEDNOCZENIU

Z przemówienia Bolesława Bieruta, Sekretarza Generalnego KC PPR, wygłoszonego na Krajowej Naradzie Aktywu Polskiej Partii Robotniczej dnia 6 września 1948 r.

„Korzystając z doświadczeń 80 lat rozwoju polskiego ruchu robotniczego, ze stuletniej walki światowego ruchu robotniczego, z doświadczeń zwycięskiej rewolucji rosyjskiej, z doświadczeń 30 lat zwycięskiego budownictwa socjalistycznego ZSRR — w oparciu o podstawy ideologiczne marksizmu-leninizmu dokonuje się wielki historyczny akt połączenia PPR i PPS, akt zjednoczenia politycznego polskiej klasy robotniczej.

Zjednoczona partia robotnicza bierze głównie na swe barki odpowiedzialność dziejową za przyszłe losy narodu polskiego, staje się gwarantką jego przyszłego rozkwitu. Ona będzie w stanie zjednoczyć trwale wszystkie siły bloku demokratycznego, zabezpieczyć tę pozycję polityczną i kulturalną, jaką Polska mieć może i powinna wśród narodów postępowych świata. Ona i tylko ona w oparciu o sojusz robotników, chłopów i inteligencji, którego wyrazem politycznym jest blok demokratyczny, może zapewnić całemu ludowi pracującemu Polski coraz wyższy poziom dobrobytu.

Coraz szybszym i bardziej wartkim tempem wyrasta już dziś ze zniszczeń wojennych nowy fundament społeczno-gospodarczy Polski. Nie ma i nie może być żadnej wątpliwości, że jedyną gwarantką nieprzerwanego wzrostu tempa pomyślnego rozwoju Polski może być tylko partia, wierna bezgranicznie rewolucyjnej ideologii proletariatu, niezachwiana w wierności dla tej ideologii, umiejąca wcielać w życie jej zasady twórcze w naszych konkretnych i swoistych warunkach...

Rozwój wypadków w świecie, szczególnie w świetle doświadczeń ostatniego roku — wskazuje na konieczność wzmacniania ogólnej więzi solidarności i współpracy pokojowej wszystkich sił postępowych, demokratycznych i antyimperialistycznych, w szczególności zaś rewolucyjnego ruchu robotniczego.

Kochamy swoją ziemię ojczystą i swój naród, głęboko przywiązani jesteśmy do dorobku kulturalnego i najszlachetniejszych tradycji historii naszego narodu, umiłowanie naszego narodu będzie w nas tym głębsze, im bardziej będzie się wiązało z poczuciem solidarności z siłami demokratycznymi i antyimperialistycznymi świata".

*

(Z przemówienia Józefa Cyrankiewicza, Sekretarza Generalnego PPS, wygłoszonego na Radzie Naczelnej PPS w dniu 18 września 1948 r.:)

Dzisiejsza Rada Naczelna zwołana została u progu zbliżającego się zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego. Zjednoczenie to dokonywa się na jedynie słusznej platformie ideologicznej, platformie rewolucyjnego socjalizmu, który znalazł najpełniejszy wyraz w marksizmie-leninizmie.

Zbliżamy się do tego zjednoczenia poprzez wciąż zacieśniającą się współpracę z Polską Partią Robotniczą. A realizujemy jedność poprzez przezwyciężanie błędnych, niesłusznych i fałszywych poglądów, idei i teorii, które odziedziczyliśmy w spadku po dawnej, przedwojennej PPS, oraz tych, które zdążyły przeniknąć do naszego ruchu już w czasie działania odrodzonej PPS powojennej.

Zbliża się coraz szybciej chwila ostatecznego zjednoczenia obu partii robotniczych, chwila powstania Zjednoczonej Partii polskiej klasy robotniczej, która stanie się na następnym etapie kierowniczką rewolucji. Dziś jeszcze w odrębnych ramach organizacyjnych, ale spojeni jedną wspólną ideologią i wspólnym celem, jutro w szeregach zjednoczonej partii kroczyć będziemy jako awangarda polskiej klasy robotniczej i sprzymierzonych z nią mas ludu pracującego Polski ku Socjalizmowi.

Idziemy do zjednoczonej partii z rozwiniętymi sztandarami rewolucyjnego socjalizmu, który przyprowadzić musi do partii zjednoczonej wszystkich świadomych wielkiego dzieła jedności i potęgi jedności, aby dali całego siebie wielkiej międzynarodowej walce klasy robotniczej z imperializmem, wielkiej walce o Socjalizm.

*

CYTADELA

Na Cytadeli jest szubienica
pod szkłem.
O tym wie każda warszawska ulica
i ja wiem.

Umierali tam Pepesowcy,
SDKPiL,
umarli, zgnili —
został Cel

I jak to pięknie — teraz — w Polsce
patrzeć, jak z krwawej ziemi
wyrastają żywymi oczami
ludzie powieszeni:

Montwiłł, Kasprzak, Baron, Okrzeja —
to oni, na wielu krosnach...
Nadzieja!
Wiosna!

Władysław Broniewski

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

KOŃCZY SIĘ OKRES ROZŁAMU

KONGRES Zjednoczeniowy PPR i PPS zamyka ostatecznie proces likwidacji rozłamu w ruchu robotniczym krajów demokracji ludowej. Całkiem odmiennie układają się pod tym względem stosunki w Europie Zachodniej, gdzie rozłam ten trwa nadal, pogłębia się i wyjaskrawia. W Anglii, Francji, Belgii, Holandii, Włoszech i Skandynawii, obok partyj komunistycznych — czołowych, rewolucyjnych oddziałów walczącego proletariatu, istnieją i odgrywają poważną rolę polityczną oportunistyczne prądy i organizacje z nazwy robotnicze, których przywódcy, mianując się „socjalistami demokratycznymi", „neo - socjalistami", „trzecią siłą" itp., zerwali ostatecznie wszelkie związki z teorią i praktyką marksistowską, schodząc na bezdroża wysługiwania się burżuazji w charakterze jej agentów i dywersantów ruchu robotniczego.

Rozbicie tego ruchu na dwa odrębne i przeciwstawne nurty nie jest zjawiskiem historycznie nowym. W przede dniu polskiego Kongresu Zjednoczeniowego wydaje mi się na miejscu przypomnieć tu artykuł **Lenina „O rozbieżnościach w europejskim ruchu robotniczym** [1]), pisany w roku 1910, lecz do dziś dnia z wielu względów aktualny. Tezy Lenina — to nie tylko wzór głębokiej i wielce pouczającej analizy rozłamu w ruchu robotniczym, ale również — cenne wskazania, umożliwiające zapobieganie tendencjom rozłamowym tam, gdzie dochodzą one do głosu.

Punktem wyjścia rozważań Lenina jest książka holenderskiego marksisty A. Pannekoeka p. t. „Rozbieżności taktyczne w ruchu robotniczym", wydana w r. 1909. Odstępstwa od marksizmu — pisze Lenin — „nie dają się wyjaśnić ani przypadkowością, ani błędami poszczególnych osób, czy grup, ani nawet oddziaływaniem narodowych właściwości lub tradycji itp."

Dla wyjaśnienia traktowanej sprawy Lenin szuka „przyczyn podstawowych", tkwiących w ustroju ekonomicznym i charakterze wszystkich krajów kapitalistycznych.

Istotę i sens tych „przyczyn podstawowych" formułuje Lenin w następujących punktach:

1) „Sam fakt wzrostu ruchu robotniczego... przyciąganie wciąż nowych „rekrutów", wciąganie nowych warstw mas pracujących, musi iść z konieczności w parze z wahaniami w dziedzinie teorii i praktyki, powtarzaniem starych błędów, przejściowymi nawrotami do przestarzałych poglądów i przestarzałych metod".

2) Szybkość rozwoju kapitalistycznych form produkcji w różnych krajach i różnych dziedzinach gospodarki nie jest jednakowa. Dlatego też „zacofane pod względem rozwoju lub pozostające w tyle stosunki ekonomiczne stale prowadzą do pojawienia się zwolenników ruchu robotniczego, który, nie będąc w stanie stanowczo zerwać ze wszystkimi tradycjami burżuazyjnego światopoglądu w ogóle i burżuazyjno-demokratycznego światopoglądu w szczególności, przyswajają sobie niektóre tylko strony marksizmu, tylko poszczególne części nowego światopoglądu lub poszczególne hasła i żądania".

3) Jako następne źródło rozbieżności, uważa Lenin „dialektyczny charakter rozwoju społecznego, odbywającego się w sprzecznościach i w drodze sprzeczności". Sprzeczności żywej historii kapitalizmu i ruchu robotniczego umie ogarnąć marksizm, jako teoria materializmu dialektycznego. „Ale jest rzeczą samo przez się zrozumiałą podkreśla Lenin — że masy nie czerpią nauki z książki, lecz z życia, i dlatego poszczególne osoby lub grupy stale przesadzają, wznosząc to jedną to drugą cechę ustroju kapitalistycznego, to jedno, to znów inne „doświadczenie" tego rozwoju — do godności jednostronnej teorii jednostronnego systemu taktyki".

Prądy odszczepieńcze w stosunku do marksizmu — zarówno anarcho-syndykalizm, jak reformizm — nazywa Lenin „bezpośrednim produktem światopoglądu burżuazyjnego", którego wyznawcy nie rozumieją współczesnego ruchu robotniczego. Kierunki odszczepieńcze chwytają się **jednej** strony ruchu robotniczego, podnoszą jednostronność do godności teorii, proklamują jako wzajemnie wyłączające się takie tendencje lub cechy tego ruchu, które stanowią specyficzną właściwość tego lub innego okresu, tych czy innych warunków działalności klasy robotniczej".

Lenin surowo osądza zarówno „reformistów" wedle których reformy — to częściowe urzeczywistnienie socjalizmu, — jak i anarcho-syndykalistów, którzy odrzucają „drobną pracę". „Jedni i drudzy — pisze Lenin — hamują najważniejszą, najbardziej palącą sprawę: zespolenie robotników w wielkich potężnych, sprawnie działających organizacjach, posiadających umiejętność sprawnego działania we **wszelkich** warunkach, przepojonych duchem walki klasowej jasno uświadamiających sobie swoje cele, wychowywanych w duchu światopoglądu rzeczywiście marksistowskiego".

4) Wreszcie, jako czwartą, „nadzwyczaj poważną" przyczynę rozłamu w ruchu robotniczym uważa Lenin — zmiany w taktyce klas rządzących, które we wszystkich krajach wypracowują „dwa systemy rządzenia, dwie metody walki o swoje interesy i w obronie swego panowania, przy czym te dwie metody bądź zmieniają się nawzajem, bądź przeplatają się w różnych kombinacjach". Jedna metoda—to stosowanie przemocy; druga—to „liberalizm", pozorne ustępstwa, kroczenie w kierunku reform i t. p. Te zmiany w taktyce burżuazji uwarunkowane są założeniem, że jednakowość czy jednorodność metody rządzenia doprowadziłaby szybko do jednakowości czy jednorodności taktyki klasy robotniczej, a tego właśnie „niebezpieczeństwa" burżuazja pragnie uniknąć.

Lenin zwraca uwagę na konsekwencje burżuazyjnej metody ustępstw grożące klasie robotniczej, pisząc: „zwrot ten... wywołuje bowiem taki sam oddźwięk burżuazyjnego „reformatorstwa — oportunizm w ruchu robotniczym... Część robotników, część ich przedstawicieli niekiedy daje się oszukać rzekomymi ustępstwami... Zygzaki taktyczne burżuazji wywołują wzmocnienie się rewizjonizmu w ruchu robotniczym, często zaś rozbieżności wewnętrzne doprowadzają wprost do rozłamu".

Zamykając swe rozważania na temat rozbieżności w ruchu robotniczym, Lenin podkreśla, że „doświadczenie ruchu robotniczego różnych krajów na podstawie konkretnych zagadnień praktyki pomaga zrozumieć istotę taktyki marksistowskiej, pomaga krajom młodszym wyraźniej odróżniać istotne znaczenie klasowych odstępstw od marksizmu i skuteczniej walczyć z tymi odstępstwami"

Streściliśmy tu dość obszernie tezy artykułu Lenina, których całkowitą słuszność potwierdza historia ruchu robotniczego w ciągu ostatnich lat czterdziestu. Jeśli chodzi w szczególności o polski ruch robotniczy poważną rolę w jego rozbiciu odegrał również czynnik natury politycznej, mianowicie fakt ucisku narodowego ze strony zaborców, oddziaływujący na wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa polskiego, aż do końca pierwszej wojny światowej. Powstanie i wzrastanie ruchu robotniczego w warunkach niewoli politycznej znalazło swe odbicie w aberracji, której wyrazem był nacjonalizm, określający w znacznej mierze działalność PPS, a zwłaszcza jej prawicowych przywódców, niemal do lat ostatnich; w marksistowskim zaś, szczerze rewolucyjnym, klasowym nurcie ruchu robotniczego, reprezentowanym przez SDKP i L, luksemburgizm działał niewątpliwie paraliżująco na jego praktykę polityczną.

Doświadczenia lat międzywojennych i okresu 1939—1945 r. zlikwidowały prawie bez reszty dawne błędy i antymarksistowskie odchylenia obu nurtów polskiego ruchu robotniczego, torując im szczęśliwie drogę do zupełnego — ideologicznego i organizacyjnego— zjednoczenia.

„Zygzaki taktyczne" rządów burżuazyjnych, zwłaszcza w okresie sanacji, ujawniły się z całą wyrazistością, powodując rozbicie, niepewność, niezdecydowanie i brak skutecznego oporu w łonie polskiej klasy robotniczej. Częstowano ją więzieniem, represjami, Berezą i „antypaństwowymi" procesami „pokazowymi", nie szczędząc jednocześnie wysiłków wokół tworzenia różnych B.B.S.-ów, Z.Z.Z-ów i innych tego rodzaju pseudo-robotniczych, ba nawet „rewolucyjnych", przybudówek reżimowych. Natomiast okres wojny i okupacji wywarł działanie jednoczące i cementujące wszystkie zdrowe, świadome i twórcze siły polskiej klasy robotniczej. Od jej żywotnego pnia odpadły same, czy też zostały odrąbane wszystkie zeschłe zmurszałe, nieużyteczne gałęzie. Ten uzdrawiający proces umożliwił dzieło pełnego zjednoczenia mas robotniczych Polski, promując je sprawiedliwie i zasłużenie do roli kierowniczej w narodzie i w Państwie. Nie znaczy to jednak, by niebezpieczeństwo sporadycznych, cząstkowych, indywidualnych powrotów do błędów i nieporozumień przeszłości zostało już bez reszty usunięte. Niezawodny instrument ideologii „rzeczywiście markistowskiej" i oparte na niej leninowskie tezy o przyczynach rozbieżności w ruchu robotniczym, pozwolą przecież niewątpliwie na wczesną i skuteczną likwidację ewentualnych odchyleń w każdym poszczególnym wypadku, dzięki czemu wspólny marsz ku socjalizmowi odbywać się będzie bez wstrząsów i zahamowań wewnętrznych. I w tym przekonaniu witamy historyczny dzień Kongresu Zjednoczeniowego, który otwiera nową kartę w dziejach społeczności polskiej.

Bolesław Dudziński

[1]) W. I. Lenin, Marks — Engels—Marksizm str. 244—249 (Warszawa, Sp. Wyd. „Książka", 1948).

TREŚĆ Nr. 50:

Włodzimierz Sokorski — Formalizm i realizm w muzyce; **B. Mejłach** — Dyskusja filozoficzna a zagadnienia estetyki; **Ignacy Szaniawski** — Grammatica in scholis facit miracula catechismus in ecclesia; **Jerzy Lau** — Wystawa obrazów; **Paweł Hertz** — Muzeum Sztuki w Łodzi; **Guy de Maupassant** — Cnotliwiec pani Husson; **Seweryn Pollak** — Wiersze trackie; **Jadwiga Siekierska** — O teatrze świetlicowym; **Edward Martuszewski** — Książka bardzo hiszpańska; **Lech Budrecki** — Sprawy małego realizmu; **Bogusław Założyński** — W sprawie popularyzacji wiedzy technicznej i przyrodniczej; **Kronika radziecka; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.**

KAZIMIERZ BRANDYS

Kiedy opowiadałem o polskiej rewolucji...*)

(Rozdział III-go tomu cyklu „Między wojnami")

OPUSZCZAJĄC gmach ambasady*) usłyszałem hałaśliwą rozmowę od strony loży portiera. Jakiś krępy, mały człowiek w niebieskiej kurtce machał rękami, wygadując w polsko-francuskim narzeczu. Stał do mnie tyłem, widziałem jego plecy i pomarszczony kark.

— Nie ma ambasadora?! — wrzeszczał ochrypłym głosem. — Nie ma ambasadora, powiadacie? Do licha, nie jestem z tych, co wycierają fotele własnym zadkiem! Przychodzę tu od tygodnia zza Gare du Nord, niezły kawałek drogi dla moich zdartych kulasów! Przed 39-tym omijałem to miejsce z daleka — ci, co mnie znają, zaświadczą. Od 1924 w Partii, jeśli chcecie wiedzieć; a w 12 przemawiał do mnie Jaurès. Oglądaliśmy go z bliska, tak jak wy mnie teraz. „Na waszych ramionach — zawołał — wspiera się Republika!" Nie gorzej powiedziane, co? Wspierała się na moich ramionach, człowieku, na tych, które tu widzisz, przez dobre dziesiątki lat! Republika, niebylejakie słowo, hę? A Jaurèsa zabili... Jeśli to was interesuje, w 1945 straciłem pracę. Republika pokazała mi tyłek, i gdyby nie córka, poczciwa mała, zdechłbym pod pierwszym republikańskim płotem... Więc moja stara wkłada mi w głowę od roku, żeby wracać do Polski. To samo Faquonet, dobry przyjaciel. „Z Polski wypędzili kapitalistów — powiada Faquonet — i wybrali robotnika prezydentem. Idź do ambasadora na rue Talleyrand i zapytaj, czy to prawda, a potem nam opowiesz". No i łażę tu od sześciu dni! Chcę wiedzieć, człowieku, czy jest to rzetelna prawda, żeście na Prezydenta Republiki wybrali drukarza — a wy mi powiadacie, że ambasador wyjechał! Do licha! Uwierzę tylko ambasadorowi, Faquonet i stara twierdzą, że on powie mi prawdę...

— To prawda, Kotlar — odezwałem się zza jego pleców — Prezydent Polski w młodości był drukarzem.

Nie myliłem się; poznałem go po głosie. Stary Kotlar, ten sam, trochę tylko mniejszy i zgarbiony. Z jego synem wołaliśmy pod Teruelem do frankistów przez megafon, że walczą dla fabrykantów i obszarników. Siedzieli w okopach o pięćdziesiąt metrów i od czasu do czasu posyłali nam kulkę. Tam, w przedsionku ambasady, dowiedziałem się, że Janek Kotlar nie żyje.

— Wzięli go — szeptał stary, patrząc na mnie i jakby nie na mnie — wzięli go w lutym 1944. Wprost z domu, w noc. Nawet nie zdążył otrząsnąć się ze snu...

Prosił, żebym do nich przyszedł pogadać. O Polsce i o innych sprawach.

Poszedłem tam tego samego wieczoru. Kotlarowie często zmieniali mieszkania i z każdym nowym adresem wspinali się wyżej. Tym razem musiałem się wdrapywać po stromych schodach, podobnych do drabiny, i mijać długie korytarze. Mieszkali na siódmym piętrze, dom kołysał się i trzeszczał jak rozbita galera. Zza którychś z kolei drzwi usłyszałem zachrypnięty głos: — Wiem co mówię! Obiecał przyjść, więc przyjdzie. Nie znacie Pankrata...

Augustynki Kotlarówny nie będę tu opisywał; powiem tylko tyle, że dzielna z niej dziewczyna. Rozmawiałem z nią więcej niż jeden raz w życiu, ale tak się złożyło, że nigdy nie mówiliśmy o miłości. Nie wiem nawet, czy się w niej kochałem, czy nie. Może za mało było na to czasu, w Paryżu zawsze miałem wiele pilnych spraw. Kiedy przejeżdżałem tamtędy w 37 roku z Hiszpanii, przywiozłem list od Janka. Zdarzyło się, że ostatniego wieczoru zostaliśmy przez chwilę w pokoju sami z Augustynką. Wziąłem ją za rękę. Ale ona powiedziała, że nie — był podobno kto inny. Rozłożyłem ramiona: — Szczęść Boże. — Nie widziałem jej potem dziesięć lat.

Przez te lata urodziła dwóch chłopców, podobnych do Janka Kotlara, jej brata. Dziewczyny takie jak ona umieją rodzić w nienajłatwiejszych czasach: starszy przyszedł na świat w dniu upadku Paryża, młodszy w dwa dni po wzięciu Janka.

Augustynka zmieniła się w rosłą kobietę o mocnych biodrach. Znacie gatunek ładnych, silnych matek, mądrzejszych od swoich mężów; trzymają w szachu otoczenie. Zastałem ją przy robocie, ręce miała umączone po łokcie. — Jesteś — powiedziała na mój widok — no, jesteś nareszcie. — Jej mąż, wielkogłowy milczek o uczciwych mazurskich oczach, pracował jako monter w warsztatach samochodowych. Trochę z niego drwiła, ale serdecznie. Witając mnie, przewrócił szklankę. — Oczywiście — śmiała się — bez tego by się nie obeszło, to niedźwiedź! Przewraca wszystkie przedmioty mniejsze od ciężarówki.

Nie, niewiele się zmieniła. Głowę nosiła tak samo lekko i wysoko, szyję miała podawnemu wysmukłą, tylko z jej oczu można było wyczytać, że minęły — nie tyle lata, ile raczej dni, kilka dziewczęcych dni, z ich niepokojem, nadzieją, albo lękiem... nigdy nie umiałem trafnie tego nazwać. Poczułem jakieś wzruszenie, ogarnęło mnie ciepło; usiadłem na stołku i spytałem czy wołają jeszcze na nią „mała Cotelard". Pamiętam ,że tak się o niej mówiło przed wojną w dzielnicy; wszyscy ją przecież znali. Ale ona odparła, że „małą Cotelard" nie można być długo i zawsze przychodzi taki dzień, w którym chcąc nie chcąc trzeba urosnąć. — A potem — dodała ze śmiechem — zaczyna się życie. Właśnie od tego dnia. I wszystko jest inaczej.

Zauważyła, że dziewczyny należałoby o tym uprzedzać zawczasu.

— Nie uwierzyłyby — powiedziałem.

— Tak — zgodziła się — nie uwierzyłyby.

Prócz starych Kotlarów przy stole siedział łysy Faquonet i jego syn. Spotykałem ich tutaj w tamtych latach. Faquonet-ojciec był konduktorem kolei podziemnej, młody pracował jako woźny w Prefekturze. Obydwaj przychodzili z dzielnicy Picpus, obydwaj czytali „Humanitè", obydwaj pili tylko piwo. Oczywiście, musiałem im opowiadać o Polsce. Interesowała ich tak samo jak dawniej Hiszpania. Francuskim władam z niezupełną łatwością. Toteż — tak samo jak dawniej — mówiłem po polsku, a stary Kotlar tłumaczył.

Chcieli wiedzieć czy w Polsce rządzą robotnicy. Od tego musiałem zacząć. Mogli mi przecież ufać, nie byłem obcy — a jednak odgadywałem w ich wzroku podejrzliwość.

— Pankrat — nastawał Kotlar — kiedy przyjeżdżałeś z Hiszpanii, wiem, sprawa była prosta jak wierzch tego stołu. Po jednej stronie Partia, po drugiej — faszystowskie psy. Partia jest jedna, dobrze mówię, co? Jest jedna, a wszystko inne to oszustwo. Czy możesz, tak jak wtedy, położyć tu rękę i powiedzieć: macie tutaj moją dłoń, tę samą co rzucała granaty w faszystów, daję ją wam jak uczciwą prawdę, abyście uwierzyli, że robotnicy w Polsce odebrali ziemię obszarnikom, a fabryki — fabrykantom. Czy mógłbyś to zrobić, Pankrat? Faquonet uważa, że tak byłoby najlepiej.

— Mogę — odpowiedziałem.

— Powiada, że może — mruknął Kotlar, patrząc na Faquoneta.

Rozumiałem, że to jeszcze nie wszystko. Czekałem na dalszy ciąg. Augustynka zza ich pleców dała mi znak oczami: bądź cierpliwy... Uśmiechnęła się do mnie, odgarniając pasmo włosów opadłe na czoło.

— Faquonet jest zdania — rozpoczął znowu Kotlar — że nas oszukują. Przedtem Millerand, teraz Blum. Adwokaci, hę? — Faquonet był zdania, że ufać można tylko prawdziwym robotnikom. Kto nie jest prawdziwym robotnikiem, twierdził ten nie ma w sobie odporu i da się wziąć na wędkę. Oczywiście, dopuszczał wyjątki. — Oczywiście — przytakiwał Kotlar — na przykład ci, co piszą w „Huma".

Krótko mówiąc, chodziło im o władzę proletariatu. — Tylko robotnicy — powtarzali — nikt inny. Nikt inny tego nie zrobi. — Nawet zięć Kotlarów, który dotąd uparcie milczał, wpatrując się we mnie parą jasnoniebieskich źrenic, teraz pokręcił głową i zadudnił niespodziewanie grubym głosem: — Nikt inny...

Położyłem rękę na stole i otworzyłem dłoń. Spojrzeli na nią wszyscy czterej.

— Znacie mnie — powiedziałem — nie umiałbym wam kłamać.

Zacząłem im opowiadać o polskiej rewolucji. Trzeba wam wiedzieć, że to nie była dla nich prosta rzecz. Nie od razu potrafili zrozumieć. Pytali mnie o sztandary, o krew, o masówki, o starcia z policją. Czy strzelano do robotników, czy faszyści mieli wiele broni i jak zaczęło się w Warszawie?

Tak, strzelano do robotników. Faszyści mieli wiele broni... Odpowiadałem na każde pytanie prawdziwie, wiedząc, że nie odpowiadam na żadne. Niełatwo było im opisać tę polską rewolucję, która do dzisiaj trwa po miastach i wsiach. Czy wojsko przeszło na stronę robotników? Czy rozbrajano generałów, czy wieszano szpiclów na latarniach...

— Słuchajcie — przerwałem wreszcie. — Pytacie, jak się zaczęło w Warszawie. Opowiem, co sam widziałem:

— Miasto powitało nas dymem dogasających zgliszcz. U progu mostu leżał trup kobiety przecięty na pół. To był most kamienny, wysadzony przez faszystów. Uciekali na Zachód, niszcząc za sobą kraj. Wkroczyliśmy do miasta drewnianym. Był to most pontonowy, który zbudowali żołnierze. Polscy i sowieccy — robotnicy tacy jak wy, w polowych płaszczach koloru chleba. Na pierwszej ulicy za mostem — podobnej do wąwozu, w którym wysechł potok — zbliżył się do mnie człowiek w robociarskiej czapce. Człowiek ten miał karabin przewieszony przez ramię i powiedział do nas: towarzysze.

— I to była rewolucja?... — szepnął Kotlar jak gdyby zdumiony.

Opowiadałem dalej. Kto nie pamięta tych dni. W pierwszej chwili miasto wydało nam się spalenizną; czarnym śladem po ognisku, zadeptanym lecz jeszcze gorącym.

— Widziałem takich, co śmieli się z nas, słysząc, że tam chcemy założyć stolicę. Stolica, mówili kopiąc nogą jakiś zardzewiały garnek, sterczący z kupy gruzów, taka to i będzie stolica... Czy wy to rozumiecie, Kotlar? A jednak stamtąd, z tych rumowisk zdatnych chyba na mieszkanie dla szczurów, stamtąd wyszła na kraj rewolucja, aby dzielić ziemię i obsadzać fabryki.

Augustynka usiadła koło mnie. Czułem na sobie jej wzrok. Słuchała razem z nimi.

— Pytacie o krew i czy strzelano do robotników? Powiem wam, co widziałem niedawno. Sześć tygodni temu wysiadłem z „Willysa" przed lokalem partyjnym w miasteczku S. Kilkanaście domów, błotnisty rynek i studnia. Był wieczór, prawie noc. Wprowadzili mnie do izby słabo oświetlonej lampką. W kącie ktoś płakał babskim głosem. Człowiek, którego twarz ledwie dostrzegałem w mroku, trącił mnie w ramię i powiedział: — To tutaj, towarzyszu. — Czułem jego oddech, pełen zmęczenia i strachu. Na podłodze, równo obok siebie, leżeli dwaj ludzie. Kiedy poświeciłem latarką, ujrzałem, że nie mieli oczu, ani ust, ani policzków. Nie mieli twarzy, Kotlar, tylko zakrzepłą miazgę. Na przegubach ich rąk, gdy schyliłem się niżej, znalazłem ślady powrozów. Faszyści zatłukli ich pniakami ściętych drzew. Czy wiecie, co to byli za ludzie? To byli ludzie, którzy dzielili ziemię.

Słyszałem jak zięć Kotlarów przełknął głośno ślinę. Otworzył usta, jakby chcąc się odezwać, i wykonał niezdarny ruch swymi wielkimi pięściami, które trzymał oparte o stół. Kotlar mruczał coś o cagoulardach. Powtarzał: — Mówiłem przecież: to psy.

— Rewolucja... — tłumaczyłem dalej — pytacie jak wygląda rewolucja. Gdybyście spytali jak wygląda świat, tak samo trudna byłoby odpowiedzieć. To, co się dzieje dzień za dniem, nadzieja i upór — to jest rewolucja. Nie przychodzi ona znikąd, musi być wśród nas. Trzeba jej głów i rąk, wciąż nowych głów i rąk, jak w kopalni, albo na froncie, albo tam gdzie budują dom. Miliony ludzi i dziesiątki lat, Kotlar, Nieraz złość, a kiedyindziej śmiech. Jak to bywa w życiu. Czasem przecież zabiera ona całe ludzkie życie, zajadła z niej bestia, i nie ma na to rady.

Rozmawialiśmy długo w noc. Faquonet nalewał piwa. Jego syn opowiadał jak w 1942 roku maquis zasztyletowali w Metro pułkownika SS. Niemcy wzięli ich obu, ojca i syna, jako zakładników. Trzy razy stali twarzą do ściany. Ale w końcu, diabli wiedzą dlaczego — wypuścili ich.

— Mieliście szczęście — orzekał Kotlar. I wszyscy powtarzali: — Tak, mieliście szczęście. — Słyszeli tę historię pewnie po raz setny. Potem znów mówiliśmy o Polsce i rewolucji, i o tym że dużo u nas ludzi zginęło.

Kotlar długo milczał patrząc na nas starymi, okrągłymi oczkami. Namyślał się nad czymś z wysiłkiem, aż wreszcie powiedział, że jeżeli w Polsce jest rewolucja...

— Jeżeli tam jest rewolucja, to jak myślisz, Faquonet, co należałoby uczynić?

Faquonet, zazwyczaj powściągliwy w sądach, odparł powoli, że decyzji zawsze może być kilka. Zwrócił swoją łysą głowę w stronę Kotlara i dodał: — Wszystko zależy od ciebie.

— Dobry przyjaciel — powiedział Kotlar i znów zaczął się namyślać, wciąż świdrując nas wzrokiem.

Wszyscy byli poruszeni, jak gdyby wiedząc, że zaraz stanie się coś ważnego. Po chwili on odezwał się powtórnie, wykonując przy tym wiele niepotrzebnych gestów:

— Tak... myślę, że tak — mamrotał i wytrzeszczał oczy — nie ma co gadać... to jasne, co? Bo jak inaczej...

Stracił nagle głos i patrzył teraz tylko na mnie. — Jak myślisz, Pankrat? — Powiedział to bardzo cicho. I zamknął oczy, jakby się bał mojej odpowiedzi.

— Myślę, że tak, Kotlar — odpowiedziałem.

— Czterdzieści lat... — zaszeptał do siebie, nie podnosząc powiek. — Albo i więcej. Czy to nie za późno?

— Nigdy nie jest za późno. To wasza ziemia. Dostaniecie tam pracę.

Wiedziałem, że chciał być użyteczny. Czuł się nieszczęśliwy, odkąd stracił pracę. Ale jemu nie chodziło tylko o siebie. Wlepiał wzrok w Augustynkę.

— A ona? — niepokoił się. — I on... Nigdy tam nie byli. To całkiem inna rzecz.

Augustynka stała przy kuchni, odwrócona do nas plecami. Podszedłem do niej z tyłu.

— Mała Cotelard — powiedziałem — musisz zabrać głos.

Kiedy odwróciła się ku nam, spostrzegłem, że miała mokre policzki. Zdaje mi się, że przez tę chwilę, gdy nie widzieliśmy jej twarzy, żegnała po cichu jakieś dawne dni, czy lata; może te same, o których mówiła ze mną na początku.

— Czego ode mnie chcecie... — wzruszyła ramionami. — Nie zostanę przecież sama.

I zaczęła powtarzać, jakby ze złością, że nie zostanie sama, a żoną niedźwiedzia może być także i w Polsce. Po tych słowach schowała się za parawan w kwiaty, który dzielił izbę na dwie części. Spostrzegłem, że zięć Kotlarów wpadł w osłupiały zachwyt i po chwili w przerażenie. Ale nalano mu piwa i nie dano czasu do namysłu. Wyglądał na zakochanego męża. Zresztą, nic w tym dziwnego. Niewiele takich żon znaleźlibyście na świecie. Dzielna dziewczyna z tej „małej Cotelard".

Kazimierz Brandys

---

*) Rzecz dzieje się w Paryżu, w r. 1946. Polski komunista, Wacław Pankrat, wysłany został do Francji w misji repatriacyjnej.

STANISŁAW WYGODZKI

LISTOPADOWE ZEBRANIE

KATARZYNA ściągnęła w pośpiechu fartuch, zmieniła spódnicę i powiesiwszy strój utytlany w bieli cynkowej podążyła z szatni do stołówki. Ledwo zdążyła umyć ręce, gdy z portierni znów zawołano donośnie:

— Prędzej, bo nie dostaniesz obiadu.

Obejrzała się za wołającym, nie ukrywając wrogiego spojrzenia, ale w otwartych drzwiach nie spostrzegła już nikogo. Usługująca kobieta podsunęła jej dwa talerze. Jadła w pośpiechu stygnącą już zupę, która jej nie smakowała, bo i jakże mogła smakować. Ledwo przetoczyła ostatnie beczki, ledwo zdołała zmienić ubranie i zmyć ręce, a tu już naglą z tym jedzeniem. A zjeść trzeba. Zebranie potrwa kilka godzin, 120 ludzi, wszystkie koła, przedstawiciel Dzielnicy...

Ryby już nie jadła. Przesunęła ją widelcem na skrawek papieru, ale wtedy spostrzegła, że kucharka tkwiąca za przepierzeniem kuchni obserwuje ją pilnie.

— Co to, ryby nie jesz?

— Już nie mam czasu, zebranie się pewnie zaczęło.

— Gdzietam, jeszcze się nie zaczęło, tam jeszcze siedzą, zjedz.

Wskazywała jej róg stołówki. Przy odległym stole siedziało jeszcze paru mężczyzn, którzy napróżno usiłowali uporać się z ością ryby.

— Zjedz, zjedz, widzisz ci też jeszcze jedzą.

Katarzyna stała już w drzwiach, udając wahanie, wreszcie machnęła ręką i wyszła.

Szła ku świetlicy, ale bez pośpiechu, trzymając w ręku zawiniątko. Co będzie z Jackiem? Chłopak od tylu tygodni leży w łóżku, powinna przecież pójść do domu, opatrzyć go, podać tę rybę, którą tak lubi, ale czy można opuścić dzisiejsze zebranie? Wiedziała o czym będzie dziś mowa i pomyślała z lękiem, czy to nie o niej będą dziś mówili. Wiedziała, że zaniedbywała swoje obowiązki. Od czasu jak chłopak chorował, zjawiała się na zebraniach rzadko, a sekretarz koła mówił już o niej ostatnio z lekceważeniem. — Taka to i zebranie opuszcza i ciągle powtarza to samo: chłopak mi choruje, jakby świat stał na jej chłopaku.

Świetlica była wypełniona ludźmi. Przechodziła wąskim przejściem pod ścianą, usiłując czemprędzej dostać się do stołu, gdzie stary Misiaszek zapisywał obecnych. Stanęła w kolejce i rozejrzała się po sali. Widziała twarze kobiet, które z nią pracowały na oddziale pakowaczek, znała je wszystkie, ale teraz wydały się jej obce, może nawet nieprzyjazne. Dostrzegała w ich oczach wyrzut, którego może i nie było, ale czyżby już wiedziały, że i o niej będzie mowa?

Przesuwała się powoli i gdy stanęła przy stole Misiaszek pochylony nad listą dwukrotnie musiał zapytać: kto następny? Podawał jej ołówek, ale zamiast spojrzeć na dłoń podającą ołówek, spotkała się ze wzrokiem Misiaszka.

— No, czemu nie podpisujecie?

Milczała chwilę, poczem rzekła:

— Towarzyszu, jabym chciała z wami pomówić.

— Teraz?

— Tak.

— No, jak to sobie wyobrażacie. Teraz? W tej chwili? W jego głosie zjawiła się nutka zjadliwości. — Przecież widzicie, że zebranie się zaczyna. Wskazał ręką na salę, poczem, zwróciwszy się ku podwyższeniu, na którym stał długi stół nakryty czerwonym suknem, rzekł:

— Przecież widzicie, że egzekutywa się zbiera.

Na podwyższeniu ukazali się trzej mężczyźni i dwie kobiety. Znała wszystkich i nagle spostrzegła tego obcego, który szedł za nimi. A więc jest i obcy, ten który nic o niej nie wie, przed którym się nie wybroni, bo jakże obcemu powiedzieć to, o czym wszyscy na fabryce wiedzieli: że jest sama, bez męża i że Jacek od tylu tygodni choruje.

Szukała po sali wolnego miejsca, ale wszystkie ławki były już zajęte, bezradnie spojrzała na Misiaszka, który jej już nie dostrzegał. Przesuwając rękę wzdłuż porubrykowanego arkusza obliczał ilość obecnych.

Stała na samym przedzie, nieopodal podwyższenia i na nicby się zdało przepychanie ku drzwiom, ku ciemnemu rogowi wielkiej sali, bo przepychając się tam, ponownie zwróciłaby na siebie uwagę obecnych. I tak na nią wszyscy patrzą i nagle przypomniała sobie, że trzyma w ręce zawiniątko. Może dlatego na mnie patrzą, pomyślała przez chwilę i złożyła zawiniątko na oknie.

Zebranie się zaczęło. Zagaił je sekretarz koła Skiba, przemówił krótko, by przejść odrazu do właściwej sprawy. Mówił o oczyszczaniu szeregów partii z elementów klasowo obcych, z pijaków i złodziei, z ludzi wrogich wobec państwa ludowego i Związku Radzieckiego i w miarę, jak rozwijał swój wywód Katarzyna stawała się spokojniejsza. Przecież nie jest złodziejem, nie pije, pracuje dobrze, a wrogość wobec Związku Radzieckiego? Jej przecież nikt tego nie zarzuci, przecież wszyscy pamiętają kim był Piotr, jej mąż, zamordowany w więzieniu we Wronkach jeszcze w 1938 roku. A ona sama? Szła za słowami mówcy jak za własną myślą, aprobując wszystko, co się mieściło w instrukcji KC partii, które Skiba właśnie odczytywał. Godziła się na wszystko i czuła jak pryska wrogość dostrzegana niedawno w oczach zebranych, gdy spoglądali ku niej, a jednak nastąpiło to co zdawało się ją omijać.

— Nie będziemy tolerowali w naszych szeregach takich towarzyszy, którzy mają obojętny stosunek do partii. Nie usuwamy ich obecnie, ale musimy ich ostrzec, że ten stan musi się zmienić. Tych towarzyszy czeka ostra nagana.

Słowa mówcy już jej nie dochodziły. Wiedziała, że Skiba mówi do zebranych, mając wzrok utkwiony gdzieś powyżej nad głowami siedzących robotników, jakby odczytywał tekst przemówienia z wyimaginowanego arkusza przytwierdzonego do sufitu, a jednak zdawało jej się, że kącikiem oczu, nie odwracając głowy, mierzy w nią. To właśnie tym skrywanym spojrzeniem wskazuje zebranym o kim mówi, ale to niepotrzebne, bo i tak wszyscy wiedzą, że to ona właśnie zaniedbuje ostatnio zebrania. A więc komu ją wskazuje? Czyżby temu obcemu, przybyłemu z egzekutywą, przedstawicielowi Dzielnicy? Po co to Skiba robi? Za sobą usłyszała szept, ktoś mówił do sąsiada: — takich będzie sześciu.

Teraz spostrzegła starego Misiaszka. Siedział nieopodal, na piątej, czy szóstej ławce, patrząc w jej stronę. Podchwyciła jego wzrok, wiedziała że jej spojrzenie jest błagalne, wzywające pomocy, ale oczy starego Misiaszka nie spostrzegały tego, patrzał na nią jakby tu była nieobecna, nieistniejąca. O czym myśli Misiaszek, przyjaciel i nauczyciel Pawła, nieżyjącego już męża Katarzyny? Czemu nie odnajduje w jego spojrzeniu tego czego oczekiwała; odzewu przyjaźni, przymierza, porozumienia?

Przewodniczący odczytał nazwisko robotnika, zgłaszając jednocześnie wniosek egzekutywy, sformułowany krótko, ale przeraźliwie jasno:

— Wydalić z partii.

Na sali zapanowała cisza. Ucichły szmery dochodzące do tej pory z odległego kąta świetlicy i obecni zwrócili głowy ku obwinionemu.

Stał odcinając się ostro od rzędów siedzących ludzi. Miął zapamiętale róg bluzy nie wiedząc co ze sobą czynić. Wreszcie ruszył wzdłuż najbliższego rzędu, przepychając się ku podwyższeniu. Szedł skulony smagany tą ciszą, z głową opuszczoną.

— Nie do nas. Odwróćcie się do sali.

Odwracał się powoli, półobrotem, który miał go chronić przed stawaniem twarzą w twarz z zebranymi.

— Co macie do powiedzenia?

Stał milczący i wtedy przewodniczący zwrócił się do sali:

— Kto ma coś do powiedzenia w sprawie towarzysza Kamińskiego?

Od przeciwległego okna oderwał się Szostak, bledszy niż zwykle i ruszył ku stołowi.

— Gadajcie co wiecie.

Szostak nie zdołał opuścić wąskiego przejścia między siedzącymi i opowiedział z miejsca w którym go zatrzymało pytanie przewodniczącego.

— Obywatel Kamiński...

Przewodniczący mu przerwał:

— Zwracam wam uwagę towarzyszu Szostak, że tu nie ma obywateli i że towarzysz Kamiński jest członkiem partii i wy, zebrani tu wy wszyscy macie decydować o tym, czy towarzysz Kamiński zostanie w szeregach partii, czy nie. Szostak znów podjął.

— Towarzysz Kamiński powiedział, że głowami peperowców będzie brukował ulice.

Gdzieś od drzwi runął poprzez salę okrzyk:

— Wyrzucić go!

Zebrani odwrócili się gwałtownie. Okrzyk padł w zupełnej ciszy. Nie wyrastał ani ze szmeru jaki towarzyszy większym skupiskom, ani z tej jątrzącej ciszy, która zapowiada wybuch goryczy i gniewu.

Przewodniczący zerwał się.

— Zwracam wam towarzysze uwagę, że tu się waży los człowieka, nie pozwolę zakłócać powagi tego zgromadzenia, zrozumieliście mnie?

Katarzyna widziała wzburzonego Misiaszka. Wstawał i siadał naprzemian, spoglądając to ku drzwiom, to ku stołowi. Szmer powoli ustawał.

Przewodniczący znów zapytał:

— Kto jeszcze ma coś do powiedzenia o towarzyszu Kamińskim?

O głos poprosił nieznany Katarzynie delegat Komitetu Dzielnicowego.

— Ja sądzę towarzysze, że to cośmy usłyszeli wystarczy, aby w partyjnym waszym sumieniu rozstrzygnąć jak postąpić z towarzyszem Kamińskim. Towarzysz Kamiński groził peperowcom, a więc najofiarniejszym, najlepszym synom klasy robotniczej. Rozstrzygajcie.

Szostak wracał na swoje miejsce. Przewodniczący pytał:

— Towarzyszu Kamiński, co macie do powiedzenia. Czy przeczycie temu co powiedział towarzysz Szostak?

Kamiński odwracał się do stołu i przewodniczący ponownie mu zwrócił uwagę, by mówił do zebranych. Stał pochyliwszy głowę, milczący i nieporuszony.

— A więc nic nie macie do powiedzenia?

Kamiński rozkładał bezradnie ręce i wtedy Katarzyna spostrzegła, że róg jego bluzy miętoszony do tej pory zachował wszystkie załamania i fałdy nadane mu kurczowo zaciśniętą pięścią. Bezwiednie przesunęła dłoń wdłuż spódnicy gładząc ją i wtedy spostrzegła, że wpiła palce w zaciśniętą dłoń.

— Towarzysze, stawiam pod głosowanie wniosek egzekutywy o wykluczenie Kamińskiego z szeregów Polskiej Partii Robotniczej za wrogi stosunek do przodującej partii polskiej klasy robotniczej. Kto jest za wnioskiem proszę podnieść rękę.

Katarzyna wahała się przez chwilę. Czy i ona, która stanie wkrótce pod poważnym zarzutem ma prawo decydować o losie tego człowieka? Spojrzała na Misiaszka. Nie widziała uniesionych rąk zebranych, ciągle szukała pomocy i rady u tego starego człowieka. Czy ma prawo? I wtedy podchwyciła ten ruch głową, nie przytakujący — ruch wyrażający upomnienie, aby powzięła decyzję.

— Kto przeciw?

Ktoś podniósł rękę i wtedy przewodniczący powiedział:

— Wytłumaczcie towarzyszu dlaczego głosujecie przeciw?

Wyraźnie hamował wzburzenie i powtórzył:

— Wytłumaczcie, dlaczego jesteście przeciw?

— Bo ja nie znam Kamińskiego.

Przez salę przeszedł szmer. Ktoś zachichotał, ktoś powiedział głośno: kumoter.

Przewodniczący hamował głos wzbierający gniewem:

— A więc co z tego, że go nie znacie? A czy wam to nie wystarczy co towarzysz Kamiński powiedział i czemu nie przeczył?

— To wy go musicie znać, to wy musicie z nim wódkę pić, aby go znać? To wam nie wystarczy, że chce głowami robotniczymi brukować ulice, aby go potępić, aby go usunąć z naszych szeregów? To co, to wy nie potraficie ocenić wartości człowieka po jego słowach i czynach, a musicie go znać osobiście? Towarzysze, ja apeluję do waszego sumienia robotniczego, nie kierujcie się osobistymi względami tylko dobrem partii, czystością naszych szeregów w których nie może pozostać ani jeden wróg klasy robotniczej: Czy przekonałem was?

— Tak, towarzyszu. Macie rację. Ja się przyłączam do uchwały o wydalenie.

Sala się uciszała powoli. Przewodniczący zwracał się do Kamińskiego:

— Oddajcie legitymację.

Kamiński wyciągnął ją z bocznej kieszeni, po czym złożył na stole. Już się odwracał, by odejść od stołu, gdy Skiba powiedział:

— Możecie się odwołać od naszej decyzji do wyższej instancji partyjnej, a teraz proszę opuścić zebranie.

Szedł ku drzwiom odprowadzany milczeniem — człowiek daleki i obcy.

Sala trwała w wyczekiwaniu:

— Towarzysz Borsuk.

Siedział w pierwszym rzędzie znany wszystkim. Pił nałogowo i w stanie podchmielonym odwiedzał radę zakładową gdzie wszczynał awantury, domagając się zaliczki. — Na wódkę — mawiał — kochałem wódkę, kocham wódkę i będę ją kochał. Stanął przed stołem ukazując zebranym zmiętą, spijaczoną twarz, obrzękłą aż do zniekształcenia. Gdzieś w dalszych szeregach rozległ się chichot. Przewodniczący znów musiał uspokajać zebranych:

— Towarzysze, proszę o spokój. Tu nie ma śmiechów, wy najlepiej wiecie dlaczego ten lub ów robotnik pije i wiecie, że nasza partia usunie tych z naszych szeregów, ale musicie również pamiętać, że pijaństwo urabiało się przez wieki całe, ale my i z tym zrobimy porządek...

Jeszcze nie był dokończył zdania gdy Borsuk się szarpnął i grożąc całej sali krzyknął:

— Ja ci pokażę, niech ja cię dostanę w ciemnej uliczce.

Sala zaszumiała. Jakieś ho! ho! splotło się z czyjemś: ale odważny.

— Towarzyszu Borsuk, albo zachowacie powagę, albo każę was wyprowadzić. Wy nawet nie wyrażacie skruchy, nie przyznajecie się do nałogu, przecież wszyscy wiemy, że pijecie, a wy jeszcze grozicie!

Stał jak człowiek opadający z sił opuściwszy bezwolnie ramiona. Stojąc twarzą ku sali, starał się jednocześnie patrzeć na przewodniczącego. Jego uniesiona głowa ukazała się w pełnym świetle. W opadających kącikach ust, które w opuchniętej twarzy zamieniały się w głębokie bruzdy ukazał się bezbarwny uśmiech, nie znikający i trwał bolesny niemal. Borsuk nie panował nad swymi odruchami.

— Towarzyszu Borsuk, sala jest przeciwko wam, całe zebranie was oskarża, a zresztą — machnął ręką — stawiam wniosek pod głosowanie.

Katarzyna spostrzegła tęgo obcego za stołem, niespokojnego i podnieconego. Stukał ołówkiem o sukno stołu i gdy przewodniczący kazał Borsukowi złożyć legitymację i opuścić salę delegat poprosił o głos.

— Towarzysze, ja nie chciałem przemawiać zanim się odbyło głosowanie, bo nie chciałem wpływać na waszą decyzję, ja chciałem się przekonać jak wy ocenicie to co towarzysz Borsuk powiedział, ale teraz skoro zadecydowaliście i usuwacie obywatela Borsuka z szeregów Polskiej Partii Robotniczej, powiem wam — tu zwrócił się do Borsuka, który się zatrzymał w przejściu wiodącym do drzwi. Powiem wam obywatelu Borsuk, że my się waszych gróźb nie boimy, że nasi towarzysze oddawali i oddadzą życie za sprawę klasy robotniczej i na kogokolwiek podniesiecie rękę w ciemnej uliczce to napotkacie na opór. Nie na odpór jednostki, członka partii, tylko na odpór całej partii bo za każdym członkiem pepeeru stoi cała nasza partia i potrafi go obronić. Myśmy zwalczyli reakcję, myśmy zwalczyli podziemie i damy wam również radę, zapamiętajcie to sobie.

Borsuk wracał ku stołowi. Podnosił rękę, prosząc o głos, ale przewodniczący mu przeszkodził.

— Możecie złożyć odwołanie, my wiemy, że wy dobrze pracujecie, wykażcie, że się poprawicie, przestańcie pić, odróbcie zło, któreście nam wyrządzili, a będę pierwszy, który was poprze, aby was przyjąć z powrotem do partii.

Szedł ku drzwiom. Stary Misiaszek wstał i patrzył za odchodzącym.

— Proszę o spokój. Towarzysz Lasoń, oskarżony o kradzież, wniosek egzekutywy brzmi: usunąć z partii.

Młody człowiek o łobuzersko-zawadyjackiej czuprynie przepychał się śmiało ku stołowi odprowadzany uśmiechami obecnych. Również przewodniczący, chmurny do tej pory, pozwolił sobie na przelotny uśmiech, ale szybko się opanował. Misiaszek klepnął się w kolano odrywając dłoń wirującym gestem jakby zapragnął wdrążyć ją w powietrze.

— Towarzyszu Lasoń, oskarżamy was o kradzież. Kto ma coś do powiedzenia w tej sprawie.

Lasoń stał wpatrzony w salę, uśmiech już był zniknął i teraz spoglądał ku temu co go miał oskarżyć. Czuł, że między zebranymi a nim nie ma wrogości, że należy do nich, bo też stał tu nie jako winowajca, tylko jako ofiara zbiegu okoliczności. To było kilka miesięcy temu. Zwoził samochodem z rampy kolejowej ładunek koksu, już zapadał zmierzch gdy wracał z naładowanym wozem nie czekając, aż go zluzuje następny wóz, który przybył ze znacznym opóźnieniem. I wtedy to się stało. Przedsiębiorca, który wyładowywał sąsiedni wagon wykorzystał przerwę i odwiózł w pośpiechu do swego składu trzy fury koksu. Brak okazał się po przeważeniu ładunku na wadze fabrycznej. Wszyscy wiedzieli, że nie Lasoń ukradł i gdy prze-

wodniczący zapytał, kto ma coś do powiedzenia w sprawie Lasonia podniosło się kilkanaście rąk. Ktoś nazbyt głośno powiedział: ale ten ma adwokatów.

Mówcy popisywali się jeden za drugim, powtarzając znane już wydarzenia i gdy zdawało się, że wszystko już jest jasne, poprosił o głos Misiaszek.

— Proszę towarzyszy, ja się dziwię, że egzekutywa, stawiając sprawę towarzysza Lasonia zgłosiła wniosek o wykluczenie z partii. Przecież wszyscy wiemy, że towarzysz Lasoń jest jednym z najlepszych robotników, że brał żywy udział w wyborach i w referendum, że to on zorganizował przecież u nas współzawodnictwo pracy, a wy czemu tak ostro stawiacie sprawę, w której Franek — w ferworze przeszedł na imię Lasonia — jest niewinny.

Pochylił się, opierając ręce o ramiona siedzącego przed nim robotnika i nie spuszczał oka z przewodniczącego. Ten tymczasem naradzał się z siedzącymi przy stole, po czym powiedział:

— Towarzysze, egzekutywa doszła do wniosku, że zbyt ostro potraktowała sprawę towarzysza Lasonia i wycofuje swój wniosek o wydalenie, natomiast zgłasza wniosek o udzielenie ostrej nagany za złe wykonywanie obowiązków. Kto za tym wnioskiem?

Lasoń wracał na miejsce i Katarzyna czuła jak szmer ulgi przebiegł przez salę. Misiaszek kiwnął głową, jakby chciał tym ruchem powiedzieć: no, widzisz? Jeszcze się sala nie była uspokoiła, gdy padło jej nazwisko. Oderwała się od okna, aby ruszyć ku stołowi, ale poczuła, że nie może przedostać się przez ciżbę i trwała tak przez chwilę, zatrzymując na sobie spojrzenia zebranych.

— Bliżej towarzyszko Kiljan.

Już stała przed stołem zwrócona ku sali. Raziło ją światło, które się przecież wcale nie spotęgowało, było takie jak przed godziną, ale nie widziała ludzi siedzących w najbliższych ławkach, natomiast wyraźnie spostrzegała co się działo w pobliżu odległych drzwi. Zdawało jej się, że stojący pod ścianą ludzie pochylają się ku sobie i szeptem opowiadają historię o niej, tłumiąc przy tym śmiech. I nagle poczuła wstyd, że to o niej będą tu mówić. Trzeba było zostawiać chłopaka w domu i chodzić na zebrania, nic by mu się nie stało, a tak to co?

Przewodniczący czytał:

— Towarzyszka Kiljan zaniedbywała sprawy partyjne, od wielu tygodni nie przychodzi na zebrania koła, często bez usprawiedliwienia i egzekutywa stawia wniosek o udzielenie ostrej nagany.

Słyszała wyraźnie co mówił, spostrzegając powoli ludzi siedzących w najbliższych rzędach. Teraz widziała również, że w pobliżu drzwi nikt się nie nachyla ku sąsiadowi, nikt nie szepce. Wędrując wzrokiem po sali natknęła się na spojrzenie Misiaszka. Siedział spokojny, poważny, patrząc w nią twardo, nieustępliwie. Czy ją obroni? Czy pomoże? Przecież on najlepiej wie, że partia nie jest jej obojętna, że pomagała jemu i mężowi swemu, Pawłowi wtedy, gdy partia była nielegalna, że nigdy nie ciągnęła Pawła za połę gdy wychodził z Misiaszkiem na podpunkt. Kto mógłby jej jeszcze pomóc? Przecież on wie najlepiej, że chłopak choruje, bo mieszka z nią w jednym domu. Przewodniczący zwracał się do obecnych:

— Kto ma coś do powiedzenia w sprawie towarzyszki Kiljan?

Widziała Szymańskiego, sekretarza koła, jak wstawał powoli, unosił rękę, prosząc o głos:

— Jako sekretarz koła stwierdzam, że towarzyszka Kiljan stale opuszcza zebrania okazując tym samym obojętność wobec prac koła.

Również on mieszkał z nią w jednym domu i wiedział, że chłopak choruje, czemu więc nie usprawiedliwia jej? On wie, że skoro chłopak wyzdrowieje...

— Czy nikt więcej?

Przewodniczący zwracał się do obecnych, ale nikt nie zabierał głosu.

— Towarzyszko Kiljan, powiedzcie w takim razie, po co należycie do partii, skoro nie poczuwacie się do obowiązku przychodzenia na zebrania?

Widziała siedzących za stołem i tego obcego. To on właśnie wstaje i pyta:

— Dlaczego należycie do partii?

I wtedy powiedziała to, co ją samą zaskoczyło i czego już cofnąć nie mogła. Brzmiało zbyt głośno:

— Dlatego, że faszyści, zamordowali ojca mego dziecka.

Słyszała ciszę, a przecież zdawało jej się, że powiedziała coś, co powinno było tę ciszę zakłócić. Milczenie sali dławiło ją: co się za nim kryło? Lekceważenie?

— Towarzysze!

Obcy znów zabrał głos. Towarzysze! Towarzyszka — pochylił się ku przewodniczącemu — słyszała jak pytał: jakie nazwisko? jak? — po czym ciągnął dalej, towarzyszka Kiljan powinna zostać w partii dlatego, że towarzyszka Kiljan wie czym dla niej jest partia. Ona wie czym jest partia dla niej, jako dla matki-robotnicy. Słyszeliście co powiedziała: powiedziała, że chce być w partii, bo ma dziecko i wiąże swój los osobisty i los swego dziecka z naszą partią i tak być powinno — krótkim gestem dłoni podkreślił wagę tego co powiedział — i tak jest dobrze. Ja tu nie słyszałem, aby ktokolwiek z was, towarzysze mówił o tym, że swoje prywatne osobiste życie wiąże z partią, dopiero towarzyszka Kiljan napełniła treść naszych obrad ludzką, serdeczną treścią. Ale musimy ją zganić za niedbalstwo. Decydujcie.

Spojrzał po obecnych, szła za jego wzrokiem i znów spostrzegła Misiaszka, stojącego podanego naprzód, wpatrzonego w przewodniczącego. Pomyślała szybko: czego on chce? Po co zabiera głos? Przecież delegat Dzielnicy ma rację, przecież on ją zrozumiał, on jeden.

— Towarzysz Misiaszek.

Wezwany zwrócił się ku sali.

— Towarzysze, my znamy towarzyszkę Kiljan, my wiemy jaką ma przeszłość i pamiętamy jeszcze jej męża zamordowanego w więzieniach Polski faszystowskiej i my wiemy, że ona ma trudności i kłopoty w domu, ale — tu podniósł głos — myśmy jej nie pomogli trudności zwalczyć. A co z tego, że ją zganimy? Czy tym samym pomożemy jej częściej przychodzić na zebrania partyjne?

Urwał i rozglądał się po sali powoli i z namysłem. Spotkał się ze wzrokiem Szymańskiego.

— Towarzyszu Szymański, wy wiecie komu się należy nagana? Nie towarzyszce Kiljan, tylko nam, mnie i wam, a wiecie dlaczego? Bo nasze kobiety siedzą w domu i mogły Katarzynę — podchwyciła to, że mówił o niej z imienia i odetchnęła z ulgą — wyręczyć przy chłopcu w te dni gdy towarzyszka miała zebranie. Tak, towarzysze, to myśmy nie spełnili proletariackiego obowiązku wobec towarzyszki z partii, bo myśmy byli jej towarzyszami tylko na zebraniu, tu na tej sali, a w domu już nie.

Przerwał, aby zaczerpnąć powietrza. Zwrócił się do prezydium.

— Towarzysze, przyrzekam wam, spojrzał ku Szymańskiemu, który również przytakiwał mu głową — zapewniam was, że towarzyszka Katarzyna będzie regularnie chodziła na zebrania. A rada zakładowa też nie jest w porządku, że do tej pory nie załatwiła szpitala dla chorego chłopca.

Katarzyna, uśmiechnięta szła ku Misiaszkowi. Starała się ominąć siedzących zbitych na ciasno zesuniętych ławach. Szła szczęśliwa i nic ją to nie obchodziło, że wszyscy widzieli łzy, które nagle poczuła na wargach. Wyciągnęła ręce i powiedziała:

— Towarzyszu Misiaszek, ja wam dzię...

Misiaszek krzyknął machając pospiesznie rękami:

—Towarzyszko Kiljan, bez szop, zebranie nie skończone.

Wyciągniętą ręką wskazywał jej okno:

— Nie zapominajcie tego coście tam zostawili.

Stanisław Wygodzki

WIKTOR WOROSZYLSKI

ilustrował Kajetan Sosnowski

REWIZJA SANITARNA *)

CIENIE wypełzały z bram, odrywały się od murów, wyrastały z jezdni.

Z początku było ich niewiele: kilku mężczyzn na pustej ulicy. Ale każda chwila do jednych skulonych ramion dodawała drugie, w ślad za jednymi powłóczącymi nogami kazała stąpać innym.

Panowała jeszcze zupełna ciemność. Młody mężczyzna, otulony w liche paletko, w nasuniętej na oczy czapce z daszkiem, potknął się o grudkę stwardniałego śniegu i zaklął półgłosem Obejrzał się: nic nie zwiastowało rychłego świtu ,ani tym bardziej, zapalenia latarń.

Minęło go kilka niewyraźnych, strzępiących się w mroku sylwetek. Przyśpieszył kroku. Ale inni też się śpieszyli. Szli pojedynczo i grupami. Milczeli. Byli to przeważnie mężczyźni — dygocący w nędznych kurtkach, chuchający w zmarznięte dłonie. Nie można było odróżnić wyrostków od starców — wszyscy jednakowo garbili się, patrzeli w ziemię, wybuchali suchym, uporczywym kaszlem. Kobiet było mniej. Te szły szybciej, jakby gonił je jakiś ciągły strach, albo jakby chciały uciec przed zimnem i ponurą lutową nocą. Miały na sobie ciemne chusty, nogi plątały im się w długich spódnicach.

Prędzej. Byle się nie spóźnić. W milczeniu. Pojedynczo i grupami. Mężczyźni i kobiety. Coraz więcej. Już cały tłum — a może zdaje się, że to tłum, bo uliczka jest wąska i domy niewysokie...

Rozległ się dźwięk dzwoneczków, w tłum wbiła się wielka koścista szkapa, ciągnąca nieduże zgrabne sanki. Dzwonki głośniej brzęknęły i urwały. Koń stanął.

— Nno! — krzyknął ochrypniętym basem woźnica w futrzanej czapie. — Nno, stara, ruszaj!

Koń szarpnął, ale zatrzymał się znowu. ludzie nie rozstępowali się — szli naprzód, a z boku wciąż nowe postacie wlewały się w ogólny strumień.

— Co za głupi naród! — zawołał ze złością dorożkarz. — Z drogi!

— A któż to jedzie? — odezwał się z boku jakiś głos. Woźnica odczepił od kozła latarkę, w której zakopconym szkle chybotał się niewielki naftowy płomyczek, i zbliżył ją do twarzy pytającego. Spod zawadiacko wykrzywionego daszka z zaciekawieniem spoglądały zmrużone, lekko drwiące oczy bardzo młodego człowieka. Miał śniadą, okrągłą, pokrytą dziecinnym jeszcze puszkiem twarz, szeroki, nieco spłaszczony nos i pełne usta.

Woźnica wahał się przez chwilę, poczem rzekł z dumą:

— Jego szlachetność pan zastępca prokuratora Jankulio.

— I co, zalany w drobny mak?

Woźnica nie odpowiedział zuchwalcowi i gniewnie krzyknął na konia:

— Nno!

Koń znowu szarpnął, robotnicy niechętnie zaczęli się rozstępować. Obok uśmiechającego się młodego człowieka przepłynęła nieprzytomna biała twarz i nienaturalnie wykręcone do tyłu ręce nawpół leżącego w saniach mężczyzny.

W otwartej bramie fabryki stało dwóch dostatnio ubranych, wysokich i dobrze upasionych osobników, którzy bacznie obserwowali wszystkich wchodzących. Zatrzymali jakiegoś chudego człowieczynę, który usiłował prześlizgnąć się obok nich.

— Dokąd?

— Do pracy — pokornie odparł zgięty w kabłąk robotnik.

— Nie ma tu dla ciebie pracy.

— Ale pan obermajster został mi winien pieniądze — twarz człowieczka drżała, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

— Jazda stąd! — brutalnie pchnięty, zatoczył się i upadł. Wstał i tyłem począł się wycofywać. Oczy miał utkwione w cerberów, jakby liczył jeszcze, że go zawołają.

Podszedł młody, z kpiącymi oczyma.

— Już trzeci tydzień chodzę. Miała się zwolnić jakaś praca. Ja znam wikielmaszynę, robiłem w Zgierzu u Borsta.

— Do kantoru — mruknął ieden z odźwiernych.

Z hukiem zamknięto bramę.

W kantorze kierownik, niestary jeszcze mężczyzna z wypukłym brzuszkiem, krytycznym okiem lustrował stojącego przed nim chłopaka.

— Dlaczego odszedł od Borsta? — zapytał piskliwie i nie czekając na odpowiedź, prędko rzekł:

— Będzie pomocnikiem. Już może zacząć. Jak się nazywa?

— Pietrusiński Jan.

— Paszport ma?

— Mam. A ile będę miał płacone?

— Przy wypłacie się dowie. Niech idzie, niech idzie!

Pietrusiński nie ruszał się z miejsca.

— Nie podoba się? — pisnął kierownik.

— Nie podoba — odparł Pietrusiński, wytrzymując jego spojrzenie.

— 65 kopiejek lonu na dobry początek. Jak nie chce, to wolna droga.

Jan z rękoma w kieszeniach poszedł za kierownikiem na salę. Tu panował nieznośny hałas, kurz unosił się w powietrzu, przesłaniał wątłe światło nielicznych lamp, osiadał na głowach, twarzach i ramionach robotników, wgryzał się w nozdrza i płuca.

Kiedy przechodzili obok maszyn, pracujący przy nich robotnicy nie podnosili głowy, wykazując zupełny brak zainteresowania tym, co się w pobliżu nich dzieje. W milczeniu wykonywali swoje od dawna zautomatyzowane, a wciąż jeszcze niezręczne ruchy.

Kierownik dał znak skinieniem głowy i Pietrusiński stanął przy nieobsadzonej rozwijaczce. Maszyna ruszyła. Kierownik z zadowoleniem kiwnął głową i wrócił do kantoru.

...Zapukano.

— Wejść — zawołał kierownik.

Ukazała się młoda szczupła robotnica. Miała miłą i ładną, choć może nie bardzo regularną twarz, spod chusteczki wydobywał się gęsty jasny warkocz.

— Pan kierownik mnie wzywał — powiedziała lękliwie.

Kierownik dobrodusznie zmrużył oczy i w milczeniu przywołał ją do siebie ruchem zgiętego palca. Cicho zamknęła drzwi i zrobiła kilka kroków naprzód. Kierownik, wciąż uśmiechając się, wskazał jej krzesło, na którego brzegu nieśmiało przycupnęła. Zbliżył się do niej kocim krokiem i wielką tłustą ręką ujął ją pod brodę. Gwałtownie wstała.

— No, no, siedzieć, siedzieć — powiedział tonem łagodnego wychowawcy, — Maria ma się nie bać.

Nagle głos jego się zmienił. Mówił surowo, zdecydowanie, niemal groźnie. Mowiąc, przysuwał Marii do twarzy jakiś papier.

— Czytać umie? Umie czytać? Niech czyta!

Machinalnie kiwnęła głową. Kierownik stał za nią i podczas gdy ona, lekko poruszając wargami, z mozołem wgryzała się w treść dokumentu, on głośno powtarzał najważniejsze zdania i słowa:

— „...że robotnice wszystkich zakładów przemysłowych oraz gastronomicznych... będą podlegały... rewizji sanitarnej...

Zwolnione z powyższego będą jedynie te robotnice, za których nienaganne i moralne prowadzenie się zaręczy właściciel lub kierownik zakładu, w którym pracują...

...Warszawski ober-policmajster Buturlin...

...10 lutego 1883 roku..."

Maria podniosła oczy na kierownika.

— To znaczy jak? .. Chodzić na policję, dać się badać... jak prostytuki?

Kierownik uśmiechnął się.

— Ty nie będziesz musiała — powiedział miękko — ja za ciebie zaręczę... ty będziesz rozsądna...

Maria rozpłakała się.

..Płakała jeszcze — widocznie nie umiała inaczej reagować — w pół godziny później, wiążąc zerwane nitki na swoim wrzecionie, Ktoś lekko dotknął jej ramienia.

— Czego panna płaczesz?... Stało się co?

Dźwięczny męski głos budził zaufanie.

— Pan Lerchę — wyszeptała Maria — pan kierownik Lerche...

— Co, nie chce wypłacić lonu? — zapytał Pietrusiński.

Maria pokręciła głową.

— Czepia się?

Powstrzymując łkanie, Maria opowiedziała mu o rozporządzeniu oberpolicmajstra Buturlina.

*) Fragmenty noweli filmowej pt. „Mazur Kajdaniarski".

— Już wczoraj słyszałem o tym — pochmurnie rzekł Pietrusiński — ale nie wierzyłem. Dranie!... Kto pannie o tym mówił? Lerche?

W milczeniu kiwnęła głową.

— Im w to graj — przez zęby rzucił Pietrusiński. — Ale niedoczekanie ich!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i nieufnością.

❋

Ludwik Waryński długimi krokami przemierzał skromny, prawie nieumeblowany pokój na poddaszu i w zwięzłych treściwych zdaniach rozwijał swą myśl.

— Powstanie Kościuszki, przez lud rozpoczęte i prowadzone, upadło tylko z powodu oporu szlachty, o swoje kastowe interesy troskliwej. Powstanie listopadowe, nic nie zrobiwszy dla ludu, upadło także dzięki egoizmowi klas posiadających. Powstanie styczniowe wreszcie ani sił ani możności nie miało, by wpływ tych kastowych interesów usunąć.

Ruchy miał niezgrabne, lecz zamaszyste. Był to wysoki, kościsty blondyn, nieco pochylony naprzód, o twarzy podłużnej, z wysokim czołem, na którym wypisana była wybitna inteligencja i małymi przymrużonymi oczyma, dobrodusznie uśmiechającymi się do kolegów. Mówiąc, chwilami dotykał swej małej puszystej bródki, która czyniła go starszym, niż był w rzeczywistości. Miał bowiem zaledwie 27 lat — a wyglądał na więcej.

Waryński zatrzymał się w swej wędrówce po pokoju i podsumował przytoczone fakty:

— Patriotyzm był u nas i jest jeszcze dotychczas tylko maską, pokrywającą samowolne widoki naszej burżuazji i szlachty.

— Był, ale przestać nią być powinien! — zapalczywie krzyknął biegający po pokoju za Waryńskim dwudziestoletni, żywy, jak rtęć, brunet z ciemnymi wypiekami na oliwkowej twarzy, Stanisław Kunicki.

— Spokojnie, spokojnie — trzeci znajdujący się w pokoju mężczyzna, nie starszy od Kunickiego, wygodniej rozciągnął się na łóżku, które zajmował. Był to nieco przygarbiony, ale silny i muskularny jasny blondyn o poważnej okrągłej twarzy. Nazywał się Tadeusz Rechniewski.

— No, co powiesz, flegmo? — napastliwie zwrócił się do niego Kunicki. — Tylko śpiesz się, póki Ludwikowe łóżko nie pękło pod tobą.

— Nowe warunki wytworzyły w społeczeństwie polskim kapitalizm — powiedział Rechniewski. — Socjalizm występuje jako jego konieczna konsekwencja. Zadaniem polskich socjalistów powinno być przede wszystkim wyjaśnienie pracującym odrębności ich interesów, powinno być wytłumaczenie właściwego znaczenia haseł, które dotychczas z taką zręcznością wyzyskać umiano na niekorzyść mas.

— Nie idzie nam tylko o walkę z rządem! — znowu gwałtownie zawołał Kunicki. — Mamy dwóch wrogów: rząd i kapitał!

— Zatem możemy sformułować w ten sposób — powiedział Waryński, który uważnie przysłuchiwał się monotonnym ale systematycznym definicjom Rechniewskiego i wybuchowym zdaniom Kunickiego. — Celem naszym jest ekonomiczne, społeczne i polityczne wyzwolenie, oparte na międzynarodowej solidarności i międzynarodowym działaniu.

Drzwi otworzyły się bez pukania i wszedł Henryk Dulęba z Feliksem Konem. Dulęba — niski, barczysty, trzydziestokilkuletni robotnik — zawołał od drzwi:

— Stało się!

Kon, młodziutki maturzysta o zapadniętej piersi suchotnika, w zdenerwowaniu przecierał chusteczką szkła okularów i mrugając krótkowzrocznymi oczyma, mówił:

— Oberpolicmajster Buturlin zdecydował się na ten krok. Już dziesiątego rozesłał właścicielom i kierownikom zakładów pracy swoje rozporządzenie. Wszystkie robotnice, choćby pracowały przy jednym warsztacie z ojcem lub mężem, podlegają rewizji sanitarnej, jak prostytutki...

Waryński zastygł na środku pokoju. Był nie do poznania. Jego oblicze spokojnego profesora, „Europejczyka" — płonęło. W chwili tej jakby uosabiał klasę robotniczą, której ciśnięto w twarz najohydniejszą obelgę. Koledzy milczeli, patrząc na niego i czekając. W ciągu niewielu sekund przestał być tylko człowiekiem, z którego sądami liczono się — zamienił się w trybuna ludowego, wodza, dyktatora, który miał dać hasło do walki. Waryński poruszał wargami, jakby brakowało mu słów, wreszcie zduszonym głosem powiedział:

— Chcą walki? Będą ją mieli!

Nagle wróciła mu uprzednia ruchliwość. Znowu zaczął się przechadzać po pokoju, pogwizdując jakiegoś mazura. Obecni z napięciem wpatrywali się w niego. Kunicki zagryzł wargi.

Nagle Waryński się zatrzymał i zwrócił do Kunickiego:

— Weź papier i ołówek. Pisz.

Kunicki szybko spełnił jego polecenie. Waryński zaczął dyktować:

— „Robotnicy! Obywatele! Rozporządzenie Oberpolicmajstra z dnia 10 lutego nakazuje poddawać rewizji policyjno-lekarskiej wszystkie kobiety pracujące w fabrykach, warsztatach i magazynach..."

Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na drzwi, które skrzypnęły: to weszli Pietrusiński i Janowicz. Dulęba skorzystał z przerwy i dotknąwszy ramienia Kunickiego, powiedział:

— Pisz: „Jest to obelga, o jakiej świat nie słyszał".

— Dobrze — mruknął Waryński. — Dalej: „A więc dość żyć z pracy, by nieść na swym czole piętno prostytutki. Więc żony, córki i siostry wasze, które los zmusił pracować, prawo zalicza do rzędu ulicznych nierządnic, handlujących swym ciałem".

Pietrusiński, stojący dotąd przy drzwiach szybko podszedł do nich i, podniósłszy rękę na znak, że chce mówić, podyktował:

— „By uniknąć hańbiącej rewizji, trzeba pozyskać względy pana — fabrykanta; każdą robotnicę, która we wszystkim ulegać mu nie zechce, odda on w ręce policji i na listę prostytutek zapisze!"

Pietrusiński cofnął się z powrotem do drzwi. Teraz Kunicki wstał i zawołał:

— „Robotnicy! Wam dano policzek, was spodlić chciano — wypróbować waszą cierpliwość i uległość! Jak odpowiecie na to?"

Waryński kiwnął głową na znak aprobaty i kontynuował:

— „Czy dozwolicie podłym agentom znęcać się nad słabszą połową waszej robotniczej klasy? Czyż wydacie ją na łup ostatecznego wyzyskiwania i rozpusty krwią waszą utuczonych fabrykantów..."

Zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu. Spokojnie podchwycił Rechniewski:

— „...którym rząd daje dziś nową broń do karania wszelkiej nieuległości?"

— „Robotnicy!" — znowu zawołał Waryński — „Odeprzyjcie napad, bodajby krwią ten protest opłacić wypadło".

Do pokoju znowu ktoś się wsunął. To Stanisław Pacanowski, student równie młody jak Kon, o nieśmiałych ruchach i biegających oczach.

— „Śmierć lepsza od hańby!" — krzyknął Kunicki. Pacanowski drgnął przestraszony jego ostrym głosem i spojrzał ze zdziwieniem na obecnych. Nie zwracano na niego uwagi. Tadeusz Rechniewski dalej dyktował swym monotonnym, bezbarwnym głosem:

— „Do oporu przeciw nikczemnemu rozporządzeniu dziś was wzywamy! Dowiedzcie, żeście ludźmi, że potraficie bronić swego honoru, że walki was nie straszą!"

Kunicki spojrzał pytająco na Waryńskiego. Ten potarł dłonią niewielką bródkę i twardo skończył:

— „Chcą walki — będą ją mieli!" Podpisz: „Komitet Robotniczy. Warszawa, 13 lutego 1883 r."

I jeszcze raz powtórzył w zamyśleniu, zupełnie cicho:

— Chcą walki, będą ją mieli!

Już nazajutrz wydrukowana w wielu egzemplarzach odezwa Komitetu Robotniczego Socjalno-Rewolucyjnej Partii „Proletariat" była na mieście. Robotnicy znajdowali ją na swych warsztatach i w kieszeniach płaszczy, czytali rozplakatowaną na murach i płotach. Aktywiści partii — Dulęba „Mały", jak go nazywano, jąkała Janowicz ‚Konrad", Dąbrowski, Ossowski, Pietrusiński — byli wszędzie. Przenikali na wszystkie fabryki, do resturacji, piwiarni, prowadzili rozmowy z robotnikami, tłumaczyli, agitowali. Ziarno padało na żyzny grunt. Robotnicy i robotnice grupkami zaczęli się zbierać, tak w budynkach fabryk, jak i w ich pobliżu. Z ożywieniem omawiali wytworzoną sytuację.

Pod koniec dnia pracy, przed godziną siódmą wieczorem, naokoło Pietrusińskiego zaczęli się skupiać bardziej zdecydowani.

— Gadaj, co robić — opryskliwie rzucił wysoki ospowaty robociarz. — Ty to taki cwaniak jesteś, że masz wiedzieć.

— Ano, pomyślmy razem — odparł Pietrusiński i spojrzał na pochlipujące kobiety. — W każdym razie mazanie się nie pomoże.

— A może się nie ośmielą — powiedział ktoś niezbyt pewnie. — Rozporządzenie jedna rzecz, a wykonanie inna.

Niemłoda kobieta o surowej twarzy sucho się roześmiała:

— Nie nam to opowiadać? Tyci fąfel w to nie uwierzy! Za mało ich znamy?

— Na mój rozum — powiedział Pietrusiński — rząd się może cofnąć.

Spojrzeli nań z nadzieją i niedowierzaniem.

— Odezwę czytaliście? Jest taki Komitet Robotniczy, co o nas myśli. Jak go posłuchamy, jak wszyscy razem połączeni okażemy opór, będziemy bronić naszych kobiet nie w pojedynkę, ale kupą, to rząd się przestraszy. On może silny, ale i my nie słabi. Strajk drukarzy w zeszłym roku pamiętacie?

Do grupy robotników zbliżył się kierownik fabryki, pan Lerche.

— Pietrusiński! Co to za rozmówki?

Jan nic nie odpowiedział.

— Pietrusiński jest zdolny chłopak — przyjaźnie zapiszczał Lerche — ja myślę o Pietrusińskim, bo dobry robotnik powinien do czegoś dojść, nie? Ale nie trzeba dużo mówić, nie trzeba polityki, bo wtedy nawet dobry robotnik może wylecieć na zbity pysk!

Przy ostatnich słowach znikł przyjazny ton i pozostała jedynie naga groźba.

Pietrusińskiemu zapaliły się w oczach złośliwe płomyczki.

— Panie kierowniku, bywa także inaczej.

— Jak?

— Że wszyscy dobrzy robotnicy sami przestają pracować, nie pytając, czy ich pan kierownik usunie. I wtedy fabryka staje, a panu kierownikowi kończą się zarobki.

— O! — gwizdnął kierownik, unosząc brwi do góry. — To tak? A o cóż właściwie chodzi?

— Chodzi o to, że robotnice nie są kurwami — twardo i dobitnie rzekł Pietrusiński, po czym odwrócił się i puścił w ruch swoją maszynę. Robotnicy rozeszli się na swoje miejsca, a pan Lerche pozostał na środku sali z wyrazem zdziwienia na twarzy.

Tego wieczoru u warszawskiego oberpolicmajstra Buturlina odbyła się konferencja, zwołana na prośbę kilkunastu czołowych przemysłowców stolicy.

— Czegóż panowie sobie życzycie? — mówił basem Buturlin, wysoki mężczyna o czerwonej twarzy apoplektyka, bawiąc się frendzlami przy pochwie od szabli. — to, sio, pół godziny słucham i nic zrozumieć nie mogę.

— Ekscelencjo! — wymamrotał, wstając z fotela, mały, bezzębny staruszek. — Socjaliści, pędzeni pychą i gorączką mienia, po cudze dobro sięgają!

— Nie o to chodzi — brutalnie przerwał ogromny masywny starzec o łysej, pokrytej guzami czaszce. — Ekscelencjo, pozwól pan, że będę mówił po prostu, to co myślę.

Oberpolicmajster skinął głową.

— Niepokoje wśród robotników — ciągnął łysy — nie tylko w propagandzie socjalistycznej mają źródło, choć i jej skutków negować nie sposób. Ale, ekscelencjo, sądzę... sądzimy wszyscy tu zebrani, że nie warto lać wodę na socjalistyczny młyn.

— A któż leje wodę na ich młyn?

— Pan, ekscelencjo.

— Ccco? — Buturlin przyłożył rękę do ucha, jakby niedobrze słyszał.

— Ekscelencjo... sądzimy, że pewne rozporządzenie ekscelencji... zostało wydane nie tyle niewłaściwie, ile przedwcześnie...

Wśród siedzących na fotelach rozległ się szmerek aprobaty.

— Co panowie macie na myśli? — zapytał, chmurząc się, Buturlin.

Wstał wysoki szczupły pan o siwej czuprynie i orlim nosie, ukłonił się grzecznie i wyrecytował:

— Rozporządzenie Waszej Ekscelencji z dnia 10 lutego, dotyczące rewizji sanitarno - policyjnej, której mają podlegać wszystkie robotnice.

Ober-policmajster spojrzał groźnie na mówiącego:

— Nazwisko?

— Pacanowski, wyroby żelazne.

— Aha. No dalej.

Podniósł się p. Lerche o wypukłym brzuszku.

— Ekscelencjo, rozporządzenie to może wywołać opór robotników.

Buturlin huknął pięścią w stół.

— Kul nie będziemy żałować!

— Tak, ekscelencjo — piskliwie przedkładał Lerche — ale gdyby, jak się należy spodziewać, utarczki przyjęły większe rozmiary, ucierpi na tym przemysł.

Buturlin wzruszył ramionami.

— Sami mnie namawialiście do tej decyzji.

— Nie zdawaliśmy sobie sprawy z potęgi socjalistów...

— Nie omieszkamy pokryć koszta, jakie wasza ekscelencja raczyła ponieść w związku z nastawieniem aparatu policyjnego na wykonanie rozporządzenia.

Buturlin zamknął oczy i poomacku bawił się szablą, którą trzymał w ręku. Nagle drgnął i otworzył oczy. Szabla głośno upadła na posadzkę. Mały staruszek rzucił się, by ją podnieść.

— Dobrze — powoli rzekł ober-policmajster. — Rozporządzenia na razie odwołam. Ale żądam od panów najściślejszej współpracy w walce z fermentami socjalistycznymi, którą rozpoczną podległe mi organa. Jesteśmy już na tropie komórki kierowniczej. Biada wywrotowcom, którzy się dostaną w moje ręce.

— To leży w naszych interesach — z uśmiechem powiedział stary pan Pacanowski.

— Oczywiście! — chóralnie potwierdzili wszyscy inni, wstając z krzeseł.

W sąsiednim pokoju podpułkownik żandarmerii Siekierzyński, mężczyzna o czerwonej, pijackiej twarzy, oszpeconej wielką szramą, rozmawiał z niskim, pulchnym zastępcą prokuratora nazwiskiem Jankulio.

— Wyobraź pan sobie — mówił, nie ukrywając zadowolenia, Siekierzyński — że socjaliści również i na mnie ponoć szykują zamach. Jesteśmy zatem, można powiedzieć, kolegami w nieszczęściu.

— Och, może to plotki — lekceważąco machnął ręką Jankulio. — Jeśli chodzi o zamach na mnie, to rzecz sprawdzono... zamieszani są studenci, tylko nazwisk jeszcze nie znam... Ale na pana!

— Plotki?! — oburzył się Siekierzyński. — Takie plotki?!

— O panu różne rzeczy mówią — leciutko gawędził Jankulio. — W Petersburgu na przykład słyszałem... oczywiście, ani przez chwilę nie wierzyłem ...że pan miał w młodości jakieś grzeszki na sumieniu... drobiazg, gorąca krew młodzieńca, sześćdziesiąty trzeci rok...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— O, nic, nic... Jeżeli nawet coś takiego było... Teraz jest pan tym gorliwszym sługą Jego Cesarskiej Mości.

Siekierzyńskiemu zaczęła latać grdyka i nabrzmiały żyły na skroni.

— Pan śmie — wybełkotał. — Pan, który wymyślasz spiski w Królestwie, żeby szybciej zrobić karierę.

Jankulio łagodnie machnął ręką, jakby się opędzał od much.

— Drogi przyjacielu — powiedział — pocóż stawiać sprawę od razu na ostrzu noża? Ręka rękę myje... i tak dalej. Przystąpmy do opracowania akcji, którą powierzył nam Jego Ekscelencja.

Siekierzyński z niechęcią wzruszył ramionami.

Następnego dnia można było w całej Warszawie zaobserwować wzmożoną aktywność policjantów, którzy odwiedzali w swoich dzielnicach wszystkich dozorców, sklepikarzy i prostytutki, prowadząc z nimi jakieś pertraktacje. Pewien rewirowy, barczysty jegomość o nastroszonych wąsach, złożył wizytę właścicielowi niewielkiego sklepiku na Mokotowskiej. Długo pokazywał mu jakąś fotografię, chowając ją zaś do kieszeni, powiedział:

— Gdyby... kiedyś coś... tego... — tu znacząco zmrużył lewe oko.

— Ależ, oczywiście, panie rewirowy — skwapliwie odparł sklepikarz — gdyby kiedyś coś tego, to natychmiast tego.

Wiktor Woroszylski

JAKUB LITWIN

Na drogach ruchu robotniczego

(Łódź: 1861 – 1905)

DZIEŃ dzisiejszy wyrasta z wczorajszego. Wczorajszy z poprzedniego. Teraźniejszość wynosi się na barkach dni przeszłych. Ale nie jako proste sumowanie pojedyńczych członów. Przeobrażenia społeczne dokonują się w długiej ewolucji, których zakończenie wieńczy przełom, przeskok, rewolucja.

I.

Łódź, Manchester polski, ma długą i bogatą tradycję walk robotniczych. Patrząc na dzień dzisiejszy zapomina się jednak często o przeszłości. Swojej historii nie znają często zapewne sami robotnicy. Na pewno zaś nie zna go młode pokolenie robotników, którzy po raz pierwszy w historii Polski sięgają po dobra kultury. Gdyby zaś ktoś bliżej zajrzał w przeszłość — w procesy kształtowania się klasy robotniczej, jej świadomości i metod walki o wyzwolenie społeczne — ujrzałby masę ludzi pracujących, którzy w żmudnym i zawiłym mechaniźmie rozwoju społecznego dochodzą do coraz wyższej doskonałości. Wstępuje po szczeblach historji na coraz wyższe jej kondygnacje.

Pierwsze protesty i rozruchy tkaczy łódzkich przeciwko fabrykanckiemu (trzeba by ściślej powiedzieć — manufakturowemu) wyzyskowi notują archiwalia już od lat dwudziestych ub. wieku. Wybuchły wówczas zamieszki w okolicznych miasteczkach przemysłowych — gdyż Łódź była niewielką jeszcze osadą napoły rolniczą. Zamieszki trwały dwa dni — i zostały siłą zdławione. Później tkacze pabianiccy żalić się będą Komisji Rządowej, że fabrykant Geyer chce ich zrujnować, że rozwój jego przedsiębiorstwa oznacza ich ruinę i nędzę. Były to małe wybuchy młodego jeszcze wulkanu.

Młody był bowiem jeszcze kapitalizm. Powstawały dopiero pierwsze manufaktury. W początkowym okresie przedsiębiorcy manufakturowi większą część surowca oddawali do przetwarzania drobnym chałupnikom. Z czasem jednak — wraz ze wzrostem manufaktur — drobne chałupnictwo coraz mocniej odczuwa ich silną konkurencję. Niezależni dotąd tkacze — dla których ich własne małe warsztaty były częstokroć podstawowym i jedynym źródłem utrzymania — musieli się zaciągać do pracy w manufakturach. Tutaj zaś praca była i bardziej intensywna i mniej dochodowa. Ale ten cały — drobny — kapitalizm wywoływał nieznaczne konflikty. Choć interesy chałupników i manufakturzystów nie były z sobą w zgodzie i przecinały się częstokroć w sposób drastyczny, ale chałupnicy — ci rachityczni drobnomieszczanie wczesnego kapitalizmu — nie mogli i nie chcieli wystąpić w sposób ostry i zdecydowany przeciw manufakturze — gdyż musieliby wówczas uderzyć w podstawy ustroju kapitalistycznego, z którym byli związani i którego nie mieli zamiaru likwidować, w manufakturzyście widzieli tylko konkurenta — nie zaś wroga klasowego. Mogli co najwyżej obnażyć częściowo jego schorzenia (ale tylko częściowo) — nie byli jednak w stanie dotrzeć do zasadniczych sprzeczności zaczątkowego dopiero kapitalizmu, a tym bardziej zwalczyć go. W konsekwencji pragnęli tylko społecznego status quo ante — utrzymania początkowych stadiów kapitalizmu. Niczego więcej pragnąć nie mogli. Owo pragnienie status quo było charakterystyczną cechą ruchów społecznych do chwili ukształtowania się wielkiego przemysłu mechanicznego.

Pierwszy wybuch na większą miarę — nastąpił dopiero w 1861 roku.

20 kwietnia większa grupa tkaczy — majstrów, czeladników i robotników — rzuciła się na fabryki, burząc maszyny i niszcząc towary. Ruch miał ten sam charakter, co liczne antymaszynowe wystąpienia robotników w Anglii, Francji, w Niemczech w okresie szybkiego uprzemysławiania się tych krajów. Był protestem ludzi, którzy swego zasadniczego przeciwnika widzieli raczej w maszynie niż w przedsiębiorcy kapitalistycznym. Nie rozumieli i nie mogli zrozumieć, że maszyny są najmniej winne ich niedoli. Bronili się przed nadciągającą techniką, gdyż ich byt i system życia złączone były z bardziej prymitywnymi formami produkcji. „Robotnik manufaktury... posiadał prawie wszędzie jeszcze jakieś narzędzia pracy, swój warsztat tkacki, wrzeciona dla swojej rodziny, niewielkie pole, które uprawiał w wolnych chwilach — pisze Engels w „Zasadach komunizmu" — tego wszystkiego proletariusz nie posiada. Robotnik manufaktury mieszka prawie zawsze na wsi i pozostaje w mniej lub więcej patriarchalnych stosunkach ze swoim obszarnikiem lub pracodawcą; proletariusz mieszka przeważnie w wielkich miastach i pozostaje ze swoim pracodawcą w czysto pieniężnych stosunkach. Wielki przemysł wyrywa robotnika manufaktury z patriarchalnych stosunków, pozbawia go własności, którą posiadał i w ten sposób dopiero przekształca w proletariusza" (str. 22—23).

W latach sześćdziesiątych Łódź przeżywała swoją rewolucję przemysłową. Padają przedsiębiorstwa oparte na ręcznym systemie produkcji. Na ich miejsce wyrastają mechaniczne fabryki przemysłowe. Z chwilą zniesienia zakazu wywozu maszyn przemysłowych z Anglii, przemysł łódzki nabrzmiewa coraz większą ilością nowoczesnych warsztatów tkackich i przędzalniczych — które, podnosząc stopę produkcyjną, obniżają równocześnie wartość siły roboczej. Widząc obniżenie swej wartości społecznej i stopy życiowej — tkacz łódzki podniósł bunt przeciw temu, co wydało mu się bezpośrednim sprawcą jego niedoli. Ulice Łodzi rozbrzmiały mocnymi odgłosami wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu i walki klasowej — jeszcze omglonej urojeniami, pozbawionej świadomości socjalistycznej — ale jednak walki klasowej — tych, których rozwijający się kapitalizm będzie coraz bardziej poniżał i wydziedziczał.

„...Już o zachodzie słońca, tłumiąc się po różnych stronach miasta, mimo przedsięwziętych środków zaradczych — opisują materiały archiwalne drugi dzień strajku — sformowali następnie kilkutysięczną partią i w takiej masie uzbrojeni w drągi i kamienie rzucili się na zakład przędzalni i tkanin bawełnianych p. Karola Scheiblera, gdzie około godziny 11 w nocy, przez wybicie najprzód drzwi i okien, a dalej zniszczenie maszyn i dopełnieniu grabieży na kilkadziesiąt tysięcy rubli srebrnych narobili straty. Po spełnieniu takiego gwałtu, oddzieliła się partia z drągami, która w zamiarze dokonania rozpoczętej napaści w fabryce Prussaka, już po północy ruszyła ku staremu miastu". „Pierwszy bunt robotników łódzkich w 1861 roku" — str. 12—13).

Scheibler prosił napastników, by zaniechali niszczenia maszyn i towarów, w zamian za co przyrzekł poczęstować piwem i wódką. Lecz jeden z napastników krzyknął w odpowiedzi: „nie przyjmujcie żadnego poczęstunku, bo was może otruć" (tamże). W zacietrzewieniu walki rodziła się świadomość antagonizmu klasowego — już przeciwko kapitalistom. Powiększała się linia graniczna między fabrykantem a robotnikami — wyzyskującymi i wyzyskiwanymi.

Robotnicy szli przez miasto z chorągwiami i okrzykami. Ciągnęli od fabryki do fabryki. Albo organizowali wiece pod gołym niebem, gdzie dodawano sobie otuchy lub narzekano głośno na brak pracy i obniżające się zarobki.

Któż im przywodził? Zapewne majstrowie większych warsztatów chałupniczych. Ci byli bowiem najbardziej zagrożeni przez nową technikę produkcyjną. Nie ulega jednak wątpliwości, że robotnicy szli za nimi dobrowolnie, gdyż poczuwali się do wspólnoty i zgodności interesów.

W ruchu splotły się interesy dwóch warstw społecznych. Majstrowie bronią swej drobnomieszczańskiej własności prywatnej — warsztatów, które nie mogą się ostać wobec przeważającej konkurencji wielkiego przemysłu. Pragnęli, jak Sismondi — utrzymania drobnej, rzemieślniczej własności prywatnej — i zatrzymania rozwoju kapitalizmu. Robotnicy szukają zaś ratunku przed grożącą im pauperyzacją. Bali się przy tym wzrastającej intensyfikacji i racjonalizacji pracy w fabrykach przemysłowych. Brak im było jeszcze dyscypliny pracy, którą Marks uważa za jedną z podstawowych trudności, na jakie natrafia młody kapitalizm i którą musi przezwyciężyć, by utorować sobie drogę rozwoju. Chcieli utrzymać społeczeństwo i gospodarkę w stanie statycznym i dlatego czyni ich miał charakter konserwatywny. Nieświadomie jednak podważali fundamenty ustroju kapitalistycznego i stąd ich wystąpienie miało charakter rewolucyjny. W istocie zaś byli nieświadomym wyrazem bezlitosnego rozwoju kapitalizmu i zawartej w nim sprzeczności.

II.

2 maja 1892 roku wybuchły strajki na terenie ośmiu fabryk łódzkich. 5 maja nie funkcjonowała już w Łodzi ani jedna maszyna. Czartystowska koncepcja strajku powszechnego została w pełni zrealizowana przez łódzki proletariat w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku.

Między pierwszym a drugim buntem przemysł łódzki rozwijał się stale i bezustannie. Bezmała z dnia na dzień wyrastały nowe fabryki. Coraz więcej dymu pełzało nad dachami domów. Równolegle pogłębiał się proces koncentracji kapitału. Już w 90-tych latach pięć czy sześć największych fabryk łódzkich skupiało w swych rękach kolosalną większość produkcji włókienniczej Kongresówki. Wraz z koncentracją kapitału potężniał antagonizm klasowy. Powiększała się odległość między bogactwem i nędzą, kapitałem i pracą. Wzrastał bezustannie potencjał i dochód przemysłu miejskiego i wzrastały bezustannie zyski kapitalistów. Bezustannie zaś obniżał się w dochodzie miejskim udział klasy robotniczej. Konflikt klasowy między proletariatem a burżuazją wyrastał z samych trzewi kapitalizmu — z jego tragicznych schorzeń i niedomagań gospodarczych. Z błędnego koła sprzeczności, które drążą go od chwili narodzin do ostatniej godziny zgonu. Coraz cięższy i groźniejszy przebieg miały kryzysy gospodarcze — i coraz mocniej uderzały w plecy robotników. Pogłębiała się anarchia w produkcji miejskiej tak szybko i nieubłaganie, jak wzrastała racjonalizacja pracy w poszczególnym przedsiębiorstwie. Zaostrzał się podstawowy konflikt kapitalizmu między społeczną produkcją a kapitalistycznym przywłaszczaniem, który — jaki pisze Engels — „występuje na jaw jako przeciwieństwo między proletariatem a burżuazją".

A klasa robotnicza to nie była już ta grupa ludzi luźnych i niezdyscyplinowanych.

„Proletariat" prawie od początku swego istnienia przysyłał do Łodzi swych emisariuszy — organizował koła partyjne — prowadził szeroką propagandę socjalistyczną. Po jego upadku pracę propagandową kontynuował, założony na terenie Łodzi i kierowany przez słynnego później działacza robotniczego, Juliana Marchlewskiego — Związek Robotników Polskich.

„Działalność „Związku" — pisze Adam Próchnik — rozwinęła się wcale szeroko, polegała na organizowaniu... zebrań na wpół publicznych, na zbieraniu składek na Kasę Oporu, na utrzymywaniu nawiązanych stosunków, na rozdawaniu broszurek..." (A. Próchnik – Bunt robotników łódzkich w 1892 r. — str. 36—37). Propaganda socjalistyczna powoli, ale stale wsączała się w świadomość klasy robotniczej. Tym bardziej, że znikł już dylemat: czy możliwe jest powstrzymanie rozwoju kapitalizmu lub powrót do poprzednich, patriarchalno-chałupniczych metod produkcji. Kapitalizm rozwijał się i nic nie mogło powstrzymać go w rozwoju. Był systemem dominującym — po uwłaszczeniu chłopów w 1864 r. — w mieście i na wsi w całym Królestwie i w Rosji carskiej. Proletariat jako klasa nie mógł już walczyć o to o co walczyli robotnicy w roku 1861. Czegóż więc żądał? Przede wszystkim skrócenia dnia pracy, podwyższenia zarobków i załagodzenia stosunków pracy na fabryce. Kogo zaś zaatakował? Już nie maszyny — ale klasę, która dysponowała i maszynami i nim, robotnikiem — w kalkulacji kapitalistycznej tylko i wyłącznie jednym z elementów kapitału. Żądania i ostrze uderzenia miały już charakter świadomie klasowy. Były wyrazem postawy klasy robotniczej, wplecionej w obręb sprzeczności wielkiego kapitalizmu. Ale były też przejawem nieświadomości problemów politycznych i ostatecznego celu historycznego klasy robotniczej. Wyłączny ekonomizm haseł „buntu" 1892 roku był bezwątpienia wynikiem ekonomizmu Związku Robotników Polskich — który w zasadzie był przeciwny walce politycznej. Ulotka wydana na dzień 1 maja przez „Związek", zawierająca pewne hasła polityczne jest — jak to słusznie stwierdza Próchnik — czymś sporadycznym i marginesowym, i nie reprezentuje zasadniczej linii „Związku".

Trzeba jednak przypuszczać z wielką dozą prawdopodobieństwa, że klasa robotnicza, nie rozumiała i nie mogła jeszcze zrozumieć haseł walki politycznej. Była zbyt młoda i zbyt jeszcze słaba fizycznie i moralnie, by je postawić a tym bardziej zrealizować. Zbyt słabo odczuła konflikty kapitalizmu, by zrozumieć nieuchronność jego zagłady i swoją rolę grabarza ustroju kapitalistycznego.

Ale wejdźmy w strajk. Rozszerzał się szybko. Nabrzmiewał jak morze przed nadciągającą burzą. By utrzymać jedność i zwartość swych szeregów robotnicy zorganizowali grupy (czy bataliony) strajkowe, których zadaniem była kontrola łamistrajków. Grupy te ciągnęły od fabryki do fabryki i wywoływały pracujących jeszcze robotników. Gdy ci odmawiali posłuszeństwa, wdzierali się do wnętrza fabryk i przepędzali łamistrajków. Była to metoda nawet skuteczna, gdyż w wielu wypadkach nawet fabrykanci nakłaniali pracujących robotników do przyłączenia się do strajku.

Gdy zaś akcja strajkowa ogarnęła wszystkich bez wyjątku robotników, a nawet przerzuciła się na okoliczne miasteczka przemysłowe — ulice miasta przybrały odświętny wygląd. Strajkujący mniejszymi lub większymi grupami przechadzali się po ulicach i debatowali na temat aktualnych wydarzeń. Według relacji jednego z ówczesnych pamiętnikarzy (Wrzosa) mieli postawę na tyle dostojną, że nawet niektórzy inteligenci — porwani robotniczym przykładem — chcieli się przyłączyć do strajku.

Nikt nie myślał o walce zbrojnej. Nie przygotowano ani barykad ani żadnej broni. Wierzono w słuszność swych żądań i w siłę strajku powszechnego, Wierzono w sprawiedliwość, która musi zwyciężyć.

Była w tym oczywiście wina inspiratorów i po części organizatorów strajku. Związek Robotników Polskich nie rozumiejąc konieczności walki politycznej — hołdował równocześnie idei żywiołowego rozwoju ruchu robotniczego. Nie rozumiał roli partii w ruchu robotniczym. W konsekwencji zaś stracił — jak relacjonuje Humnicki, jeden z ówczesnych przywódców „Związku" w Łodzi — władzę nad masami robotniczymi. Rozpędzony wóz stracił kierowcę. Ale ruch wtłoczony poprzednią agitacją socjalistyczną i etapem rozwoju świadomości klasowej trzymał się samorzutnie tam, których nie przełamywali robotnicy. Tą zasadą, kształtującą formy wystąpienia robotników — był strajk powszechny. Robotnicy nie chcieli i nie umieli przekroczyć jego granic. Przestrzegali spokoju w mieście i nie stosowali metod zorganizowanej walki ulicznej. Trzymali się ściśle form strajku. Przeciw kozakom bronili się kamieniami, wyrwanymi z bruków ulicznych. Bronili się tylko — nie umieli zaś zorganizować ofensywy.

Szóstego dnia strajku elementy przestępcze, osiedlone przymusowo na Bałutach — tzw. pobytowcy — urządzili ekscesy antysemickie. Napadli na dzielnicę żydowską — bili bezbronną ludność — wdzierali się do mieszkań — niszczyli mienie i dobytek ludności żydowskiej, a w pierwszym rzędzie — rabowali. Strajkujący — jak stwierdzają zgodnie pamiętnikarze — ostro odcięli się od rabunkowych wystąpień pobytowców. Zdawali sobie sprawę, że heca antysemicka szkodzi ich walce i jest przeciwna ich interesom klasowym. Nie mniej jednak burdy antysemickie osłabiły napięcie strajku. Złamały jego żywiołową organizację i spokój.

Równocześnie oddziały kozackie rozpoczęły akcję zbrojną. Atakowały strajkujących białą bronią i karabinami. Liczba zabitych i rannych sięgała kilkuset. Represje carskie były ostatnim i najmocniejszym uderzeniem, które ostatecznie zdławiło i złamało strajk. 11 maja w mieście zapanował ponownie spokój. Złudny. Ale spokój. Spokój i równowagę odzyskali w pierwszym rzędzie fabrykanci. W czasie strajku zachowywali się dość paradoksalnie. Niespodziewanie wielkie i masowe wystąpienie klasy robotniczej rzuciło na nich strach. Naprzód słali depesze do generał-gubernatora Millera z prośbami o pomoc zbrojną — a gdy ta w pierwszych dniach strajku nadchodziła zbyt opieszale — wpadli w zwątpienie. Zamknęli się w Grand Hotelu. Myśleli, radzili — i bali się. Czy im aby robotnicy ne podpalą fabryk? Albo, co gorsza, czy ich aby nie zabiją? Poczuwali się do wielu grzechów. Część fabrykantów była nawet tak wystraszona, że skłonna była pójść na ustępstwa. Rzeczywiście molierowski widok: na ulicy spacerują w spokoju robotnicy — w wielkim hotelu drżą ze strachu wielcy bourgeois. Gdy mieszczański bohater ujrzał rewolucyjny proletariat — nakrył się hotelowym krzesłem — i wyczekiwał carskiego zmiłowania.

Strajk był momentem przełomowym w życiu zarówno łódzkiej klasy robotniczej jak i całego ruchu robotniczego w Kongresówce. Jego doświadczenia wykazały, że dotychczasowe formy pracy i propagandy socjalistycznej są niewystarczające. Partie robotnicze, które dotąd istniały nie umiały sprostać zadaniom wysuniętym przez zaostrzoną walkę klasową i wyższą fazę rozwoju kapitalizmu. W 1893 roku powstaje też w Paryżu PPS, z którego nieco później wyłania się SDKP (przekształcona następnie w SDKP i L) — pierwsza marksistowska partia robotnicza na terenie Polski.

Ruch robotniczy wkroczył na nową drogę.

III.

Dzieje 1905 roku w Łodzi to historia wielkiej rewolucji, o której pisze „Historia WKP(b)": „Szczególnie ostry charakter przybrała walka w wielkim ośrodku przemysłowym Polski — w mieście Łodzi. Robotnicy łódzcy pokryli ulice miasta dziesiątkami barykad i w ciągu trzech dni (22—24 czerwca) toczyli walki uliczne z wojskami carskimi. Walka zbrojna połączona tu była ze strajkiem powszechnym. Lenin uważał tę walkę za pierwsze zbrojne wystąpienie robotników Rosji" (str. 64).

Proletariat Łodzi doskonaląc metody walki z wyzyskiem i uciskiem klasowym doszedł do miejsca, w którym walka klasowa i bunt przeradzają się w rewolucję. Strajk czysto ekonomiczny, nawet powszechny był już bronią niewystarczającą w walce z kapitalizmem, burżuazją i caratem. Nie można było jak dotychczas oddzielać problemów ekonomicznych od politycznych. Nie można się było nadal ograniczać do zwalczania kapitalizmu metodami li tylko pokojowymi. Klasa robotnicza, by podnieść swą stopę życiową, musiała zaatakować nie tylko ekonomiczne podstawy burżuazji, ale jej centra polityczne — państwo, ustrój społeczny, absolutyzm carski.

Wielką rolę w tym procesie doskonalenia walki klasowej odegrała SDKP i L — partia, która stojąc twardo i wyraźnie na pozycjach klasy robotniczej i marksizmu — wychowywała ją i kierowała nią w duchu rewolucji i wskazywała jej bezustannie ostateczny cel walki: socjalizm. W okresie rewolucji 1905 roku SDKP i L, mimo swych błędów szła zawsze w pierwszych szeregach klasy robotniczej. Pierwsza prowadziła proletariat do nowych walk i pierwsza stawiała nowe żądania. Żyła sprawami, które nurtowały klasę robotniczą. Najlepszym dowodem wielkiej popularności SDKP i L w masach robotniczych i jej niezmiernych zasług rewolucyjnych, jest wzrost jej szeregów partyjnych które w Łodzi z 9.970 w lipcu 1906 roku podniosły się do 20.000 członków w styczniu 1907 roku. I to mimo represji ze strony rządu carskiego i szykan burżuazji.

Wielką natomiast zasługą ówczesnego kierownictwa łódzkiej organizacji PPS, było to, że mimo opóźnień, zawsze jednak szła z prądem rewolucji i rewolucyjnej klasy robotniczej.

Ale w akcie zaostrzenia antagonizmów klasowych podstawową rolę odegrał sam kapitalizm — ustrój, który z natury rzeczy musi zaostrzać sprzeczności społeczne i klasowe. Coraz to bardziej unaocznia wyzyskiwanym swój bezgraniczny cynizm i zmusza ich do szukania nowych, wyższych metod walki.

Mówi ciągle klasie robotniczej: między nami toczy się wojna na śmierć i życie. Czy możliwy jest pokój między klasami, z których jedna bezustannie zaostrza wyzysk a druga. — musi stale pomnażać nadwartość i zyski swych wrogów. Walka między burżuazją a proletariatem — tymi przeciwstawnymi biegunami społeczeństwa kapitalistycznego — pcha pierwszych do otwartej kontrrewolucji, drugich — do nie mniej otwartej rewolucji.

Na przełomie XIX i XX wieku kapitalizm łódzki przeszedł znaczne przeobrażenia, których cechą zasadniczą było złączenie z międzynarodowym kapitałem przemysłowym i finansowym. Ośrodki dyspozycyjne łódzkiego przemysłu przeniosły się do Berlina, Paryża, Londynu, Brukseli, Moskwy. Mieścił się bardziej w stolicach zachodnio-europejskich niż w stolicy Rosji, chociażby z tego powodu, że kapitał rosyjski był bardziej uzależniony od zachodnio-europejskiego niż naodwrót. Łódź przeobraziła się w teren eksportowy obcych kapitałów. Stała się kolonią europejskiej finansjery*). Dlatego też rewolucyjna walka robotników łódzkich w 1905 r. (jak cała ówczesna rewolucja w Rosji) godziła nie tylko w rodzimą burżuazję. Była ciosem w serce całego kapitału europejskiego.

I nie dziw też, że cała ówczesna prasa burżuazyjna, tak wschodnio — jak i zachodnio europejska, ze strachem i nienawiścią spoglądała na wielką i bohaterską walkę proletariatu narodów wchodzących w skład imperium carskiego.

Tu, też, w tym wielonarodowym więzieniu, jakim była Rosja carska, dokonało się imponujące dzieło solidarnego współdziałania proletariatu wielu narodów. Czyn rewolucyjny 1905 roku wykuł — po raz pierwszy zapewne na tak wielką miarę — świadomość międzynarodowej spólnoty klasy robotniczej. Przeciw własnej ale antynarodowej i przeciw całej międzynarodowej burżuazji — i za socjalizm.

Łódź była poważnym członem tego wielkiego wystąpienia rewolucyjnego. O ile dotąd wszystkie ruchy łódzkiego proletariatu nie miały szerszego zaplecza społecznego i narodowego — o tyle teraz proletariat łódzki był ogniwem w wielkim łańcuchu wielonarodowej rewolucji. To stanowiło jego siłę i dodawało otuchy i energii walczącym.

Wzburzenie robotników łódzkich zaczęło się jeszcze pod koniec 1904 r. Pierwszy kryzys gospodarczy w XX w. skończył się zaledwie w 1903 r. a już pod koniec 1904 roku zaznaczyły się objawy nowego kryzysu, spowodowanego w piewszym rzędzie przez wojnę rosyjsko-japońską. Sama zaś wojna przełamała się w świadomości klasy robotniczej, jako sprawa ich wrogów — dworu carskiego i burżuazji, które z pomocą dalekowschodniej kampanii wojennej, chciały odciągnąć zainteresowanie mas ludowych od wewnętrznych spraw i trudności państwa. Partie robotnicze prowadziły szeroką agitację antywojenną i przeciw mobilizacji wojskowej. Organizowano manifestacje uliczne, w których robotnicy brali masowy udział. W czasie demonstracji padali zawsze — z rąk żandarmerii — zabici i ranni. Tak było 23 października 1904 roku, później — 15 stycznia 1905 r. Na Łódź nadciągała burza.

Czary dopełniła wiadomość o krwawej masakrze petersburskiej 22 stycznia 1905 r.

Komitet łódzki SDKP i L wydał natychmiast odezwę do robotników, w której wysuwa hasło strajku solidarnościowego z robotnikami rosyjskimi i sprawę zgromadzenia konstytucyjnego — podnosząc równocześnie hasła walki o poprawę bytu klasy robotniczej:

8 godzinnego dnia pracy, podwyższenia zarobków, zniesienia kar i rewizji osobistych, przyznania części wypłat ciężarnym kobietom, organizacji kas chorych z zarządem wybieranym przez robotników, usunięcia majstrów, obchodzących się brutalnie z robotnikami i inne. Hasła SDKP i L podchwycili szeroko robotnicy. Rozbrzmiewały nimi wszystkie manifestacje — widniały na licznych sztandarach i transparentach.

26 stycznia stanęły fabryki: Geyera, Leonarda, Dobranickiego i inne. 27 stycznia strajk ogarnął przeważającą większość fabryk łódzkich — następnego zaś dnia przeobraził się w strajk powszechny.

Miasto — wg. relacji pamiętnikarzy — przedstawiało imponujący obraz. Ulicami przeciągały wielotysięczne rzesze robotników, demonstrując przeciw carskiemu terrorowi i w obronie rosyjskich robotników. Zorganizowane grupy robotnicze obchodziły domy i fabryki sprawdzając, czy aby ktoś nie łamie solidarności klasowej. Wszędzie panował nastrój poważny i dostojny. Niezbyt liczna wówczas w Łodzi policja carska znikła gdzieś z powierzchni ulic.

Już w pierwszych miesiącach strajków robotnicy uzyskali skrócenie dnia pracy do 10 godz. i podwyższenie zarobków. Ale walka zaostrzała się bezustannie. Robotnicy domagali się całkowitego wypełnienia swych żądań. A rząd carski sprowadzał do Łodzi coraz to nowe posiłki wojskowe. Z dnia na dzień powiekszała się liczba zabitych i rannych. — Strajki przeskakują z fabryki na fabrykę. Wzmagają się niemalże proporcjonalnie do wystąpień zbrojnych wojska i kozaków. Gdy zaś 18 czerwca kozacy zabijają 9 osób 4— polskich i 5 żydowskich robotników — partie robotnicze wzywają ponownie proletariat do strajku powszechnego i demonstracyjnego udziału w pogrzebie. 20 czerwca odbył się pogrzeb 4 zabitych robotników polskich, w którym udział wzięło bezmała 70.000 robotników. Gdy następnego dnia nie mniejsza masa robotników przybyła na pogrzeb 5 zamordowanych robotników żydowskich okazało się, że żandarmeria pochowała w nocy cichaczem ciała zamordowanych, obawiając się ponownej demonstracji robotniczej. Prowokacja wywołała natychmiastową reakcję. Uformował się nieprzeliczony pochód. Szedł powoli ulicami z wysoko wzniesionymi, czerwonymi sztandarami. Pęczniał coraz to liczniej napływającymi robotnikami. Gdy zbliżał się do ulicy Piotrkowskiej w tłum wpadli niespodziewanie kozacy z obnażonymi szablami. Z okolicznych bram padły gęste salwy karabinowe. Bruk ulicy zaległy trupy.

Tegoż dnia komitet SDKP i L wydał odezwę, która kończyła się słowami: „Na ulicę, bracia! Niech na cześć poległych w piątek 23 czerwca staną wszystkie fabryki i warsztaty, niech ustanie wszelka praca, niech zamrze wszelkie życie, niech ustanie wszelki ruch".

23 czerwca wyrosły na ulicach Łodzi barykady.

„Po południu 23 musiałem z ulicy Lipowej przedostać się na drugi koniec miasta, na Księży Młyn do domów familijnych Scheiblera — pisze jeden z uczestników ówczesnych walk — w mieście trwała nieustanna walka. Oddziały wojska strzelały wzdłuż prostych i długich ulic łódzkich. Ostrzeliwano okna domów mieszkalnych. Na rogu ulicy Lipowej i Andrzeja, kilka metrów ode mnie, padła kobieta, przebita kulą... Na rogu ulicy Andrzeja i Długiej widzę rozbity sklep monopolu wódczanego. W sklepie i na ulicy pełno szkła od rozbitych butelek, a zapach rozlanej wódki roznosi się wokół. (Jednym z haseł ówczesnych, była walka z monopolami wódczanymi i alkoholizmem, przyp. mój J. L.). Dochodzę do Przędzalnianej. Widzę w stronie szosy Rokicińskiej tłum ludzi...; budują barykadę, a tuż niedaleko od tego miejsca inni rozbijają sklep monopolowy. „Za pięć rubli", wykrzykuje z humorem młody robociarz i podnosząc dużą butelkę wódki, rozbija ją o bruk... Jeden z robotników wdrapuje się na słup przewodników tramwajowych i zawiesza tam mały sztandar czerwony". (cyt. wg. „Z pola walki").

Walki uliczne trwały 3 dni, zanim kozakom udało się je stłumić. Nie był to jednak koniec walk robotniczych. Strajki trwać będą przez cały 1905 prawie do 1907 roku. Przez cały ten czas burżuazja i carat chwytać się będą najrozmaitszych środków, by stłumić rewolucyjną walkę proletariatu. Najpierw z pomocą narodowej demokracji i kleru sprowokują walki bratobójcze w łonie klasy robotniczej, z których endecja wyszła oczywiście rozgromiona. Użyją piłsudczyzny i prawicowych elementów PPS dla rozszczepienia klasy robotniczej. Potem zorganizują kilkumiesięczny lokaut. Pozbawią robotników pracy i chleba na długi przeciąg czasu. Wówczas to zademonstruje się wielka solidarność wszystkich uciskanych i pracujących. Z pomocą robotnikom przyszła uboga ludność wsi polskiej — i robotnicy dalekiego Petersburga. Do Łodzi nadchodzą dobrowolne transporty żywnościowe i pieniądze zebrane z lichych zarobków biedoty chłopskiej i rosyjskich robotników. 1905 rok to — do ostatniej chwili — wielki, wspaniały obraz solidarności międzynarodowej klasy robotniczej i wszystkich pracujących.

Klasa robotnicza zaatakowała ostro i zdecydowanie kapitalizm i ustrój carski. Uderzyła w kręgosłup gnijącego już ustroju. Jeszcze nie postawiła sprawy władzy robotniczej. Ale już w 1905 roku drzemią zarodki przyszłej wielkiej Rewolucji Październikowej i zwycięstwa socjalizmu. W Rosji carskiej 1905 rok rozszerzył jeszcze i pogłębił władzę burżuazji i kapitalizmu. Ale podniósł równocześnie proletariat na wyższy szczebel rozwoju. Nauczył nowych metod rewolucji i walki klasowej. Pogłębił konflikt między klasą robotniczą a burżuazją.

***

W ciągu tych lat — które opisałem — formował się ruch robotniczy. W codziennej, twardej pracy i walce. W dymie robotniczego miasta i w kurzu hal fabrycznych. Dojrzewał, prężniał i rozsadzał okrywającą go skorupę przestarzałych form walki. Piął się powoli ale bezustannie na coraz wyższe kondygnacje rozwoju i walki społecznej. Aż dotarł do miejsca, w którym wybucha rewolucja. W tym trudnym pochodzie pomiędzy sprzecznościami kapitalizmu nie zacierał antagonizmów klasowych. Nie kładł pomostu ponad coraz to bardziej rozszerzającą się przepaścią między sobą a burżuazją, bo w jego interesie leżało nie osłabienie ale zaostrzenie walki klasowej. Z pietyzmem bronił jedności i zwartości szeregów proletariackich. Każdy etap walki robotników łódzkich — to dokument wyższych form jedności klasowej i wspólnej walki ze wspólnym wrogiem. Wbrew zakusom burżuazji i odszczepieńców ruchu rewolucyjnego.

W tych odległych już dniach proletariat kładł pierwsze cegły pod budowę dnia dzisiejszego.

Jakub Litwin

*) Nie znaczy to oczywiście, że do Łodzi nie eksportowano kapitałów zagranicznych do tego czasu. Jednakże eksport kapitałów i uzależnienie przemysłu łódzkiego od ośrodków zagranicznych doszło w pierwszych latach XX w. do form czysto kolonialnych. Dla przykładu można np. podać, że nawet biuro kierujące słynnym lokautem łódzkim 1906—1907 r. mieściło się w Berlinie. Sprawy tej — obejmującej cały przemysł Polski — nie chciała widzieć piłsudczyzna. Stąd jej zdradliwa, burżuazyjna (tzn. w okresie imperializmu — zaprzedana obcemu kapitałowi) koncepcja niepodległości.

Droga inteligenta polskiego do socjalizmu

(Dokończenie ze str. 11)

Z tego położenia wywodzi się trwające dotąd poczucie jakiejś „objektywności" kultury, absolutnego charakteru jej wytworów. Funkcjonalne znaczenie zostało tu sprowadzone do rzędu jakiegoś pobocznego, mało znaczącego aspektu, rzeczowe zaś wyolbrzymione ponad miarę. Stąd takie dziwactwa jak badania czysto opisowe dzieła „samego w sobie", w oderwaniu od genezy, historii i funkcji. Dzieło sztuki pośredniczy pomiędzy twórcą a odbiorcą, żyje w procesie rozumienia, jest wyrazem sił społecznych epoki i skolei siły te kształtuje — w oderwaniu zaś od tego wszystkiego jest tylko martwym znakiem, rzeczą, która sama w sobie żadnej zrozumiałości nie posiada. Nic dziwnego, że przy takim pojmowaniu wytworu kultury można było mówić o niezależności jej od walki klasowej i ogólniej mówiąc od wszelkiego ładunku treści społecznej która stawała się w takim ujęciu nieistotnym dodatkiem do „czystej formy". Kapłanem tych misteriów czystych form jest on — inteligent. Stąd jego poczucie ważności swej misji kulturowej, jego skłonność do idealizmu filozoficznego, formalizmu estetycznego, kontemplacyjnego stylu życia.

Właściwości te odbijały się na produkcji literackiej, malarskiej, filozoficznej, jak i przede wszystkim na naukach humanistycznych. Niesprawdzalność tych koncepcji a więc i ich rozkwit mogły się utrzymywać tylko w warunkach braku kontaktu twórcy z masami i jego całkowitej społecznej izolacji.

Gdy po wojnie powstało zagadnienie uspołecznienia, względnie upowszechnienia kultury, w szczególności literatury i teatru, i gdy skonfrontowano istniejący dorobek z zapotrzebowaniami szerokich mas, wyszło na jaw ciężkie fiasko. Przyczyny tego zjawiska nie są proste i leżą zapewne po obu stronach. Każde rozumienie wytworu kultury wymaga przygotowania i nakładu osobistego wysiłku; nie każdy kto patrzy na obraz lub słucha symfonii może ich właściwy sens „odczytać" przy pomocy samej łaski bożej, bez zdobytej uprzednio umiejętności. A zatem do upowszechnienia kultury trzeba przede wszystkim wychować masy, organizując ich kontakt z dobrą sztuką, badając reakcję na dzieło sztuki i stwarzając środki zbiorowego kształcenia. To jedno.

Ale jest druga strona sprawy. Każde dzieło sztuki poza swoim formalno-artystycznym działaniem, poza swoją funkcją przyjemnościową czy wypoczynkową ma także swój ładunek sił socjalnych. Jeżeli rewolucjoniści francuscy z 1789 roku demolowali Katedrę w Saint-Denis i utrącali głowy posągom zdobiącym fasadę Notre-Dame w Paryżu, to na pewno nie czynili tego z powodu rewolucji smaku estetycznego; niszczyli oni te arcydzieła z powodu wrogiego im ładunku treści socjalnych. O przyjęciu dzieła sztuki decyduje nie tylko jego doskonałość formalna, ale i jego struktura socjalna. Gdy na otwarcie teatru w Krakowie w roku 1945 dano „Przepióreczkę" Żeromskiego okazało się żałosne fiasko, nie tyle tej właśnie sztuki, ile każdej o tym stylu życiowym. Był to bowiem specyficzny styl wyhodowany w warunkach oderwania się od mas i izolacji społecznej inteligencji. Jak dalece sprawy te nie natrafiają na zrozumienie nawet w dzisiejszych warunkach w czwartym roku Polski Ludowej świadczy następujący fakt. Gdy zwrócono uwagę pewnemu wybitnemu pisarzowi na nieżyciowość niektórych jego utworów, pisarz zamiast skierować swą uwagę na niedostosowaną do rzeczywistości strukturę duchową swych utworów, na ich głuchoniemotę socjalną odpowiedział listem publicznym broniąc się w sposób dość zabawny, że jest przecież dostatecznie wrośnięty w życie, pełniąc funkcję prezesa jednej czy kilku instytucji, redaktora czasopisma, członka paru rad nadzorczych itd. Jest to dalszy ciąg głębokiego nieporozumienia. Tego rodzaju uczestnictwo w życiu niczym się nie różni od tkwienia po uszy w zaczarowanym kręgu inteligenckiej rzeczywistości. Nie o indywidualno-psychologiczne bowiem poczucie realizmu idzie, ale o stosunek do rzeczywistości socjalnej. O uczestniczenie w niej przez ładunek socjalny dzieła. Przełamanie socjalnej izolacji — o ile jest w ogóle możliwe — może się dokonać tylko na drodze nawiązania przez pisarza głębokiego kontaktu z tymi nowymi warstwami przez które pragnie on być czytany lub które mają być widzami jego sztuk w teatrze. Nie jest to sprawą łatwą ani prostą. Nie wystarczy także sama zmiana tematu. Albowiem mówiąc i o robotniku można mówić o nim z łaskawą życzliwością ale i z astronomicznego dystansu. Gdy obserwuję przedstawienie postaci chłopa, robotnika lub służącej w naszym piśmiennictwie, przypominam sobie jak ordynat Z. częstował swoich chłopów papierosami: nie podał chłopu papierośnicy ale własnoręcznie wtykał mu papierosa do gęby. W tym geście jest wszystko.

Nie chodzi przy tym o ilościowe, że tak powiem pomnożenie czytelnictwa. Trzeba wziąć pod uwagę, że w nowej rzeczywistości grupą twórczą społecznie, grupą bojową, jeżeli chodzi o przebudowę ustroju i nowy styl życia, jest robotnik. Jego struktura duchowa wyrastająca z bliskiego uczestnictwa w procesie produkcji jest swoista i jeśli zdobywa on wykształcenie i umiejętność obcowania z dziełami kultury, to nie po to, ażeby nasycać się obcymi wartościowaniami, przejmować obce wzory społeczne, zatracać własną strukturę duchową — lecz właśnie po to by rozwinąć ją do takiego stopnia, ażeby mogła wywrzeć swe piętno na nowym stylu życia i kultury; nadać takie znamię swej epoce, jak arystokracja ziemiańska na Zachodzie Europy nadała swe znamię społeczne sztuce Rococa, albo średnie mieszczaństwo stylowi Ludwika Filipa. Tego nie można dokonać przez obserwację z zewnątrz, sporadyczne wycieczki autokarem, zmianę tematu; pisarz czy artysta musi przekształcić się wewnętrznie, przemieścić swoje współrzędne. Potrzeba współżycia pisarza z górnikiem, hutnikiem czy metalowcem; potrzeba pewnej „intelligence sympathique" — wyrobienia w sobie zdolności do auskultacji cudzej, klasowo swoistej struktury duchowej. To właśnie jest bardzo trudne dla artysty wykształconego na treściach socjalnych warstwy inteligenckiej; dla artysty, dla którego Xiążę (koniecznie przez x i to duże X) stanowi biegun magnesowy jego upodobań i stylu życiowego. Ta zdolność do auskultacji wewnętrznej nie jest formalną zdolnością, niezależną od treści; trzeba przedmiot poznania cenić, dostrzegać w nim pozytywne wartości i — kochać go. Jest to pewnego rodzaju miłosne pojmowanie, takie jakie się objawia w stosunku matki do dziecka, lub kochającego do osoby kochanej, amor intellectualis Spinozy.

V.

Każda warstwa społeczna wytwarza pewien charakterystyczny dla niej kompleks wartościowań i przeświadczeń o rzeczywistości, napór tego kompleksu na jednostkę przychodzącą na świat i urabiającą się w obrębie pewnej warstwy jest bardzo silny, otacza ją stale jak atmosfera powietrza i jest obowiązujący w oczach wszystkich innych członków warstwy. Dlatego wydobycie się z kręgu porozumienia własnej warstwy jest zadaniem niesłychanie trudnym. Ktoś kto w najmniejszej mierze próbuje wyłamać się z takiego kręgu i tworzyć sobie sądy wedle własnego wyboru, podlega niechętnej ocenie, jeśli nie otwartemu bojkotowi i ostracyzmowi grupy. W normalnych warunkach pokojowych to wystarcza ażeby zniechęcić nawet odważnych. To co się tutaj sprzeciwia, to nie są tylko siły zewnętrzne, ale coś co jest w nas samych, jakieś poczucie genetycznego związku, jakaś czułość, która przeciwdziała wyzwalaniu się nowej osobowości. Zdarza się więc, że proces wysferzania się i zdobywania wolności ogranicza się do sądów intelektualnych, ale cofa się przed wyciągnięciem konsekwencji praktycznych. Powstaje typ lewicującego inteligenta, kawiarnianego radykała, salonowego komunisty. Próba życia demaskuje większość tych ludzi, okazują się oni niezdolni do uczynienia decydującego kroku.

Każdy wielki wstrząs społeczny — wojna, okupacja, rewolucja — upłynnia te sztywne granice kręgów społecznych, rozbija różnorodne konwencje, powagą nowej sytuacji osłabia stare związki uczuciowe i dopomaga w ten sposób najbardziej żywym jednostkom do wyzwolenia się z ich dotychczasowych więzów społecznych. To dyssolucyjne działanie wstrząsów społecznych odbywa się równocześnie na dwóch torach: przez konfrontowanie jednostki z nowymi sytuacjami i energiczne nasuwanie jej nowych doświadczeń; oraz przez rozluźnianie jej hamulców irracjonalnych jej powiązań uczuciowych, które często w czasach pokojowych tworzą zapory nie do przebycia dla uświadomień teoretycznych i dla tworzenia się nowych postaw życiowych. Wszelkie przewroty charakteryzuje to właśnie działanie wyswabadzające intelekt i przyśpieszające procesy dojrzewania duchowego; dzięki temu rewolucje nie tylko łamią zapory mechaniczne, prawa czy ustroju, ale także stanowią potężny akumulator sił kulturo-twórczych.

W doświadczeniach tej wojny odsłonięte zostało życie w sposób tak drastyczny, tak pozbawiony obsłonek i złudzeń, w które je przystroił wiek dziewiętnasty, że nie wystarczyły mi już przedwojenne nastroje lewicującego i luzem chadzającego inteligenta. Postanowiłem czynnie się zaangażować.

Zygmunt Mysłakowski

MARIUSZ MARGAL

Paryski sezon teatralny

WIĘKSZOŚĆ teatrów paryskich zadowala się lekkim programem komediowym, wodewilowym lub nawet rewiowym. ‚Madeleine" wystawia komedię Devala „Towarzysz", w której Wielka Księżna Tatiana, książę Uratief i hrabia Prekieński, trzej biali emigranci, zwracają napotkanemu w Paryżu „towarzyszowi stamtąd" wywieziony skarb carski, bo „Rosja choć bolszewicka ale zawsze ojczyzna"; ‚Comedie de Wagram" zajmuje się zakulisowym życiem artystek kabaretowych w komedii „Dla publiczności wstęp wzbroniony"; „Gymnase" podjął temat „historyczno"-sentymentalny: Liszt, Lammenais, Georges Sand i Balzac spotkali się w „Śnie o miłości" René Fauchois; René Dorin usiłuje udowodnić w rewii wystawionej przez teatr ‚Capucines", że żyjemy „W szalonej epoce"

Pierre Blanchar po raz dwusetny wystawił na scenie „Ambassadeurs" płytkie i konwencjonalne „Pojedziemy do Valparaiso"! I jeszcze słynny „Grand Guignol", gdzie niesamowitość („Krew w ciemności", ‚Zbrodnia w domu szalonego") splata się z pieprzną, czasem nawet pornograficzną komedią („Celestyn zdobywca", „Kociołek Papina"), bo i młodzież musi wiedzieć jak sądzić nasz ponury, pełen nieprzezwyciężonej grozy świat i starszym panom dodać trzeba trochę wigoru i werwy. I jeszcze ‚Branquignol", crazy show, amerykański styl „Helzapoppin" nieudolnie przeniesiony na paryski teren, zwariowana komedia, gdzie „nieprzewidziane" trudności „techniczne" uniemożliwiają wykonanie sztuki (składającej się z oderwanych, luźnych obrazków), doprowadzając do niedorzecznej groteski. Ale gdzież jednak ‚La Bruyere" do „Broadwayu"!

Dziwne zjawisko: z jednej strony szukanie ratunku w nieuformowanej beznadziejności, pesymistyczne machnięcie ręką na nasz stracony świat, uświęcanie indywidualizmu chronionego separacją od społeczeństwa — z drugiej strony bezmyślna wesołość sytych mieszczuchów, wyżywanie się w radości biologicznego bytu, Fernandele, Bourvile, lekkie komedyjki na ekranach i deskach teatralnych. Dwie różne drogi tej samej ucieczki.

Wiele sztuk daje próbki niefałszowanego humoru. „O świcie" ‚„Te panie z zielonymi kapeluszami", biblijna „Żona Tobiasza", która siedem razy zamężna, została w końcu dziewicą, tracąc każdego męża nagłą śmiercią w noc poślubną, „Paulina albo piana morska" komedie Anouilha, zawierają go wiele, lecz jest to raczej humor słowny, niż sytuacyjny. Są i takie, które krytykują rentierowską, drobnomieszczańską mentalność społeczeństwa francuskiego: rzeźnik z „Lucjany i rzeźnika" Marcela Aymé (w teatrze „Vieux Colombier") jest klasycznym typem francuskiego gaduły, potrafi godzinami zrzędzić przy „un quart de rouge", myśli nawet często o jakichś zmianach ale gubi się, gdy sprawa wykracza poza obręb **jego** mieszkania, **jego** ulicy, **jego** „quartier". Taki niedorosły, burżuazyjny hamlecik, który nie umie działać. Ale są i takie pozycje które świadczą o pewnej linii wytycznej teatru. Ambitny „Renaissance" po „Tytoniowej drodze" Steinbecka wystawił ‚Skamieniały las" Sherwooda w adaptacji Duhamela (który przerobił także „Myszy i ludzi" Steinbecka, cieszących się wciąż powodzeniem w teatrze „Hebertot"), przy czym przypadkowo zebrani ludzie, których Sherwood wystawia na spotkanie z bandytami w lesie, są potraktowani w sposób wyjątkowy dla francuskiego teatru: każdy z nich reprezentuje mentalność swojej klasy, jest postacią **typową**. Na marginesie zaznaczyć należy ze Sherwood wszedł także na deski teatru ‚Saint Georges" swoim „Abe Lincoln in Illinois", nazywanym po francusku „Jeżeli żyję". Sztuka jest właściwie życiorysem Abrahama Lincolna od jego wczesnej młodości, kiedy to na stryszku przy świetle lichtarza uczył się czytania, pisania i odmiany czasowników, aż po karierę prezydencką. Całość, może przepsychologizowana, gubi się miejscami w dialogach i przedstawia Lincolna jako człowieka zbyt słabego, w sumie jednak stanowi dodatnią pozycję obecnego sezonu. Zasługa to bezwątpienia Raymonda Hermantiés, jeszcze studenta Konserwatorium a już jednego z lepszych aktorów i reżyserów, porównywanego nawet do Barrault.

Stałą linię programową stara się także utrzymać teatr „Mathurins", który po sztukach o Ruchu Oporu i po sartre'owskiej „Ladacznicy z zasadami" wystawił teraz krewką „Monserrat" Emanuela Robiés, sztukę poświęconą wyzwoleńczym walkom Bolivara w krajach Ameryki Południowej. Podobna w swym „wolnościowym" ujęciu jest ‚Volturna", poprawny, ale nierówny dramat o ruchu wyzwoleńczym we frankistowskiej Hiszpanii. Młodziutki Jean Francis Reille mimo swoich szczerze postępowych idei poddał się, może bezwiednie, obecnej modzie: Alvar, przywódca wyimaginowanej rewolty w Volturnie, gubi się w słowach, ukrywa przed oddziałami powstańczymi tragizm sytuacji, przeżywa naiwne konflikty rozsądku z uczuciem i trzeba dopiero żony, aby dodała mu wiary i otuchy w słuszność sprawy za którą ma zginąć.

„Gwoździem" sezonu są, jak zwykle, teatry „Marigny" Jean-Louis Barrault i „Athenée" Louis Jouveta. Cóż, kiedy gwoździe zaczynają rdzewieć, choć aureola sławy utrudnia objektywną obserwację. I ich teatry odczuwają brak młodzieży artystycznej która chętniej obiera drogę kariery filmowej: Dominika Blanchar jest bardzo cennym (i ślicznym) nabytkiem, ale sama nie wystarczy. Istnieje tu jednak w Paryżu grupa młodych, aktywna, nowatorska. Windą trzeba do niej podjeżdżać, na trzecie piętro bocznego skrzydła wielkiego gmachu „Teatru Pól Elizejskich", gdzie właśnie Maurice Chevalier ustąpił scenę słynnemu baletowi. W malusińkim, cieśniuteńkim „Studio des Champs Elysées" zagrali ‚Yermę". Była to sensacja artystyczna Paryża. „Sam" Jouvet winszował wykonawcom, chociaż najwięcej zasług w osiągniętym sukcesie miał, po prostu Frederico Garcia Lorca. „Yerma" Garcia Lorci jest najpełniejszym widowiskiem teatralnym na jakie może się zdobyć dramaturg. Ze słowem, słowem prostym, mocnym, bezpośrednim nienadużywanym splata się chór: to rodzi się opinia publiczna, już cała wieś szepce o Yermie, palcami ją wytyka, naigrywa się, lituje się, szydzi z jej bezużyteczności.

Ale powróćmy do Barrault. Ten „asceta sceny", niezmordowany aktor i reżyser który rozpoczął sezon „Hamletem" i dobrą, choć zbyt miękko zagraną satyrą na salonowe mieszczaństwo „Zajmij się Amelią", wystawił teraz po kilkomiesięcznych próbach „Stan oblężenia" Camusa, i już przygotowuje ‚Figle Skapena", do reżyserii których zaprosił zresztą Jouveta. Wydaje mi się jednak, że hamletowski eksperyment Barrault, choć cieszy się wciąż powodzeniem, nie jest udany. „Hamlet" Barrault jest odspołeczniony, zawieszony w jakiejś nieokreślonej nicości, ot, po prostu prywatna sprawa rodziny królewskiej którą Horatio przyrzeka przekazać potomności. Przeintelekeualizowanie, najważniejsza może przyczyna niezdecydowania, skrupulatne poszukiwanie dostatecznych podstaw moralnych, które by usprawiedliwiły zbawienne dla państwa działanie, zacierają się w jakimś półobłędzie, chorobliwej neurastenii, nienormalnej nadwrażliwości. Hamlet jęczy, rzęzi, trzęsie się, dostaje ataków kaszlu, dusi się w napadach astmy — biologiczne fizjologiczne przyczyny uniemożliwiają spełnienie zamierzonego czynu. Zniknęła szydercza ironia, przemyślany cynizm, udane szaleństwo. Wprost sztuczne wydają się podejrzenia króla, bo Hamlet-Barrault jest doprawdy człowiekiem nieodpowiedzialnym. Nawet buntujący się lud został gdzieś usunięty za kulisy, skąd dochodzi jedynie słabnący szybko pomruk kilku maszynistów. To wszystko. Jeszcze podkreśla sytuacyjną pustkę sztuki bezdekoracyjne tło kurtyny — różnych dla romaitych scen w stałym powtarzaniu się kolorów: złotego (już z poważną domieszką szarości kurzu) dla scen w pokojach królewskich, czarnego przy monologach Hamleta, białego przy scenie z Otelią. Czasem uzupełnia „dekorację" kilka drewnianych, prostych sprzętów, głucho i posępnie ‚podkreśla" atmosferę „nastrojowa" muzyka. Po beztwarzowym, bezmyślnym „realiźmie" teatrów zadawalających się zbitą w trzy ściany, malowaną w drzwi i okna dyktą i wypożyczonymi od antykwariusza „stylowymi" meblami, po nieznośnym klasycyźmie obydwóch „Comedies Francaises", eksperymet Barrault przynosi wielkie rozczarowanie. Okazuje się że i we Francji nie każdy dekorator jest Wakhewitchem, Olgą Choumansky, Paul Collin lub Christian Berard.

Ciekawym eksperymentem jest natomiast bezsprzecznie „Stan oblężenia" Camusa. Oparta na słynnej już dziś „Peste" sztuka wywołała od razu po premierze burzę dyskusji: Czym jest wyimaginowany Kadyks, z którego ucieka wypędzony przez zarazę gubernator, kim jest zaraza, która objęła po nim totalne rządy silnej ręki? „Chciałem pokazać pisał autor przed premierą sztuki, Francję z okresu okupacji". Barrault-reżyser ubrał zarazę w mundur niemieckiego feldfebla.

Sztuka jest „symboliczna". Jest nieprzerwanym dialogiem, rozgadanym teatrem, literackim bogactwem słowa i stylu, zaś każde zdanie, każda sentencja, każda myśl jest dwuznaczna i niejasna, umożliwia rozmaitą interpretację. Każdy ruch to strach: kometa przeleciała po niebie wojnę zwiastują wieści, wojnę jakąś metafizyczną, niezrozumiałą, niepojętą. Brzuchaty gubernator uspakaja: „Nic się nie działo i nic się nie dzieje. Kto będzie inne szerzył wieści zostanie aresztowany. Nic się dziać nie będzie. Jestem królem wszelkiego bezruchu". Więc lud, choć z nieufnością, odpręża się, wraca do swych codziennych zajęć, zrzędzeń, pretensji, niezadowolenia ze sytuacji, której nie potrafi zmienić. Ale jednak coś się dzieje: tu i ówdzie pada człowiek tu i ówdzie przerywa się zabawa. Nagle w feldgrau mundurze, przybywa do miasta **nieznana**, nowa władza. Po monachijskich uspokajaniach, po „drole de guerre", niemiecki okupant zaskakuje nieprzygotowaną ludność. Brzuchaty gubernator spiesznie uchodzi, „dobrowolnie" przekazując przybyszowi swą władzę. „Może tak będzie lepiej" myślą mieszkańcy Kadyksu kiedy jeszcze nie zamknęły sę wszystkie bramy miasta, kiedy jeszcze terror nie zapanował, kiedy jeszcze nie poklasyfikowano ludzi na tych z „raison d'être", z przyczyną, podstawą do życia i na tych, którzy są niepotrzebni i mają zginąć. Ale strach wzrasta. Człowiek gubi się w panice, chce uciec, każdy dla siebie, każdy sam. Miłość uszła z miasta, nie wolno się kochać — panuje reżym nienawiści człowieka. Mieszczanin odmawia pomocy i schronienia jedynemu buntownikowi — nie chce sie narażać. Muzyka Honnegera przenikliwymi dźwiękami piły wzmaga wrażenie terroru i strachu. Lud biernie, bezskutecznie czeka wiatru od morza, wolności.

W końcu buntownik zwycięża. ale ta jego wygrana nie jest wynikiem akcji, lecz **zrozumienia** przez zarazę, że rodzi się idea, która **musi** wygrać. Zaraza odchodzi, bez oporu, bo wystarczy jej fakt dobrowolnego wyboru przez jednostkę ryzykownej drogi rewolucyjnej. W rezultacie powraca jednak stary, brzuchaty gubernator i rozpoczyna znowu swoje rządy. Francja powróciła do rentierskiej przeszłości z egzystencjalistyczną zaprawą.

Oczywiście, że ta analiza społeczeństwa francuskiego jest niepełna, bo nie wszyscy Francuzi przyjmowali wojnę jako niezrozumiały, niezawiniony kataklizm dziejowy, typowo mieszczańska. bo lud już wyszedł z chaosu nieskoordynowania, w jakim ciągle go widzi i chce widzieć Camus, wreszcie pesymistyczna, bo stara się przedstawić nierozwiązalność problemów społecznych. Nie ma wyjścia z zaklętego koła: mieszczański ustrój niesprawiedliwości społecznej prowadzi do rewolucyjnego terroru i pogardy dla człowieka. od którego trzeba uciec z powrotem do systemu poprzedniego. Szlachetne lecz maniackie jednostki składają swoje utopijne myśli (i życie) na „ołtarzu ojczyzny".

Do krytyk społecznych — zabrał się i Sartre. Ten przynajmniej nie ubrał swych postaci w symbole i jasno powiedział, co myśli. Jego „Brudne ręce" są paszkwilem na partię komunistyczną, oczywiście pokazaną „obiektywnie" i „rzeczowo". Bohater sztuki jest intelektualistą, któremu zostaje powierzona akcja. Ale nie ma dla intelektualistów miejsca w partii fanatyków i chamów, którzy przyszli do niej li tylko z głodu i nędzy. Hugo nie umie działać, bo za wiele rozumuje i myśli, a jeżeli już działa — to wyłącznie z pobudek osobistych, bo intelektualista jest „z innego świata". Całe szczęście, że w swoich niedawno wydanych „Situations II" Sartre z żalem zdaje sobie sprawę, że mimo swoich sukcesów, że mimo swojej sławy („jest się zawsze bardziej znanym niż czytanym"), nie ma publiczności, której pragnie. Że proletariat, dla którego pisze, nie czyta go i odrzuca, i że sukces „Brudnych rąk" był w pierwszym rzędzie zasługą mieszczańskiej publiczności (po 500 franków miejsce), z radością oglądającej wyimaginowane rozdarcie między rewolucjonistami-robotnikami i intelektualistami.

Daleko po za tymi wszystkimi dysputami stoi Louis Jouvet. Ten reżyser przecież nigdy nie lubił konkretyzować swoich poglądów i angażować się w sposób jasny. Może dlatego właśnie tak związał się z Giraudoux, z tą gładką, piękną, wycyzelowaną mową, która nic nie wyraża. Może dlatego wybrał „Don Juana", tę najmniej jasną, najbardziej zawikłaną, najmniej teatralną, najbardziej antymolierowską ze wszystkich sztuk Moliera.

Wydaje się wprost, że pokazując dziś Don Juana chce Jouvet po prostu powiedzieć: a proszę, obejrzyjcie sobie tych naiwnych ludzi baroku, którzy wierzyli w brednie o nadprzyrodzonych istotach i zsyłanych przez nie karach! Nic więcej.

Mariusz Margal

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Instytut Badań Literackich

PIERWOTNY zamysł powołania do życia Instytutu Badań Literackich powstał jeszcze w listopadzie 1947 roku. Przedyskutowano go i przyjęto w gronie fachowym i politycznym. Na początku lutego 1948 odbyła się szersza dyskusja programowa w Min. Oświaty, która określiła bliżej zadania przyszłego Instytutu.

Inicjatorzy IBL myśleli dość naiwnie, że niewiele czasu dzieli pomysł, program — od urzędowej realizacji.

Długa i żmudna procedura urzędowa trwała jednak aż do listopada 1948 r.

Dopiero 6 listopada 1948 r. mógł Instytut Badań Literackich rozpocząć pracę. Uzyskał byt prawny, uzyskał zatwierdzony budżet, mógł zlecać prace, przyjmować zobowiązania w stosunku do współpracowników.

Zbyt dobrze znamy wszyscy „wilcze doły" urzędowania, by trzeba było opisywać, ile trudności formalnych należało pokonać, jak trzeba było dreptać od biurka do biurka, wisieć przy telefonie, by po krwawej i intensywnej robocie, po parumiesięcznym przepychaniu spraw z instytucji do instytucji uzyskać wreszcie wszystkie urzędowe zatwierdzenia. Bez życzliwej pomocy Min. Oświaty i jego kierownictwa potrwałoby to jeszcze dłużej. Ponieważ marzyliśmy o takim Instytucie co najmniej 20 lat (jeszcze z prof. Kridlem) — te miesiące zwłoki można zapomnieć.

Instytut — dysponujący już jednym z najlepszych zbiorów polonistycznych Jana Michalskiego — nie ma jeszcze lokalu na bibliotekę i biuro.

Dzięki poparciu jednak min. Krassowskiej, CUP-u i Warszawskiego Tow. Naukowego, liczymy, że odbudujemy sobie część gmachu przy ul. Śniadeckich.

Tymczasem użyczył IBL gościnny Min. K. i S. (Warszawa, Krakowskie Przedmieście 17, pokój 208). Jest to jeden mały pokoik — ale praca mogła ruszyć i ruszyła.

IBL dzieli się na cztery sekcje: Zakład Historii Literatury Polskiej, Zakład Teorii Literatury i metodologii badań literackich, Zakład Bibliografii, i Pracownia podręcznika szkolnego historii literatury polskiej. IBL zatrudnia stale 12 samodzielnych pracowników naukowych i 11 asystentów.

Zasadniczym zadaniem, które sobie IBL stawia w pierwszym okresie, jest opracowanie nowego uniwersyteckiego podręcznika historii literatury polskiej.

Opracowanie nowej, rewidującej tradycyjne sądy, marksistowskiej syntezy historii literatury polskiej.

Nie trzeba szerzej uzasadniać jak to jest pilne, społecznie ważne i niezmiernie trudne zadanie. Nie można go urzeczywistnić bez pracy kolektywnej i bez odpowiednich przygotowań. Trzeba przygotować i ludzi i materiały.

Toteż cała praca IBL pomyślana jest pod znakiem tych przygotowań.

Zadaniem IBL jest materialne popieranie i naukowe organizowanie zbiorowych i indywidualnych prac z zakresu nauki o literaturze polskiej i z dziedzin pokrewnych.

Przygotowanie nowej syntezy historyczno-literackiej wymaga nowego odczytania naszej literatury, szeregu studiów monograficznych, postawienia na nowo problemów metodologicznych, zgromadzenia odpowiednich danych bibliograficznych i archiwalnych. Toteż w pierwszym roku swego istnienia IBL podjął następujące prace:

1. Szeroko pomyślana, wieloosobowa, oparta o wytyczne ankietowe praca nad nowym odczytaniem i wyjaśnieniem powieści polskiej począwszy od doby stanisławowskiej aż po wiek XX.

2. Zaprzęgnięcia 40-osobowej grupy specjalistów do studiów nad pozytywizmem. Przygotowanie w wyniku tej pracy — w połowie 1949 r. — nowego oświetlenia tej epoki w postaci zbioru studiów pt. „Materiały do historii literatury polskiej" (Na wzór radzieckiego wydawnictwa „Literaturnoje nasiedstwo").

3. Przygotowanie przez 5-osobową grupę współpracujących razem specjalistów starszych i młodszych podstawowych monografii z zakresu historii krytyki literackiej i metodologicznej, marksistowskiej, krytyki tradycyjnej (szczególnie pozytywistycznej) nauki o literaturze.

4. Zlecenie jak dotąd 30 osobom celowo dobranych dla potrzeb nowej syntezy prac monograficznych.

5. Opublikowanie zgodnie z potrzebami nowej szkoły dobranej serii skomentowanych z obszernymi wstępami, tekstów klasyków polskich i niektórych obcych. Na rok 1949 przewiduje się około 40 pozycji.

6. Kontynuącja (i zapoczątkowanie w zakresie czasopiśmiennictwa) prac bibliograficznych, bez których żadna naukowa praca historyczno-literacka nie jest możliwa.

W tym celu stworzono trzy kilkuosobowe pracownie w Poznaniu, Krakowie i Warszawie.

Nadto IBL przystąpił do opracowania podręcznika historii literatury dla wyższych klas szkoły średniej. Całość obejmuje 3 tomy. Pierwszy będzie gotowy w ciągu 1949 roku. 11 osobowa grupa podręcznikowa pracowała „na kredyt" od lutego 1948 r., nie czekając aż Instytut powstanie. Oczywiście powołanie IBL i możność dysponowania funduszami zintensyfikowała niesłychanie pracę. Autorzy bowiem podręcznika mogli rzucić pozanaukowe zajęcia zarobkowe.

Podjął IBL szereg przekładów wzorcowych marksistowskich prac radzieckich z historii literatury. Gotowy jest tom Lukacsa, w przygotowaniu zbiór studiów z zakresu estetyki marksistowskiej oraz trzy podręczniki historii literatury: rosyjskiej, angielskiej i francuskiej.

Służąc bezpośrednim potrzebom społecznym, IBL współpracuje z czynnikami państwowymi w takich sprawach jak reforma studiów polonistycznych, organizacja roku mickiewiczowskiego, rocznicy Słowackiego, Puszkina itd.

W tymże zakresie IBL opracowuje i wykończy na początek r. 1949 specjalną antologię — wypisy dla zajęć świetlicowych z komentarzem i objaśnieniami.

Nie omawiam tu wszystkich zamierzeń IBL. Wymieniam tylko prace już zaczęte po trzytygodniowym okresie istnienia.

Warto o jednym pamiętać, że powołanie IBL pozwoliło skupić i zaprząc do pracy naukowej polonistycznej, tak potrzebnej i cennej dla wychowania społecznego kilkudziesięciu pracowników, postępowych — młodych uczonych, którzy dotąd wobec niedochodowości pracy naukowej musieli zarobkować ubocznie — zaniedbując polonistykę i swoje zdolności.

Zespół ten będzie się kształcił w atmosferze myśli marksistowskiej, współpracownicy będą wzajemnie w tym duchu oddziaływać na siebie, powiększając swoje teoretyczne i ideologiczne kwalifikacje.

A nie trzeba dodawać, iż pełny rozwój prac IBL, który winien dokonać marksistowskiej rewizji naszej tradycji literackiej i teorii literatury będzie ważnym etapem w ogólnym rozwoju postępowej ofensywy kulturalnej w Polsce.

Stefan Żółkiewski

JERZY KRECZMAR

Z TEATRÓW WARSZAWSKICH

PRZYWYKLIŚMY do tego w ostatnich latach, że teatry interpretując dawny repertuar komediowy mają tendencję do przesuwania akcji w inne środowisko niż to, które było żywiołem utworu. Zwykle operacji tej dokonywa się z góry na dół. Wszystkie postacie zostają „obniżone w tonie" jak lubił pisywać Lorentowicz. Akcja przenosi się do niższej sfery towarzyskiej. Pani Dulska nabiera manier swojej kucharki, Lipowscy i Topolscy Perzyńskiego — zamożni przemysłowcy z przed pierwszej imperialistycznej — zachowują się jak drobni spekulanci wyrośli na wojennej inicjatywie. Poważni adwokaci utrzymujący pannę Maliczewską wyglądają co najwyżej na pokątnych doradców, którzy (poza zajęciami erotycznymi) czyhają przed sądem na klienta — profesor C. K. Gimnazjum przedzierzga się w nauczyciela szkoły ludowej, a udający wariata inżynier-wynalazca w trochę zbakierowanego buchaltera. Już przed kilkunastu laty widzieliśmy jak krakowski biuralista Fikalski, okazał się — zresztą znakomicie śmiesznie — bliskim kuzynem Walerego Wątróbki, czy kogoś tam innego, z wielkiej rodziny ulubionych bohaterów Warszawy.

Może i trudno się temu dziwić. Kiedy komedia się starzeje, zaciera się u aktorów, widzów, często nawet u recenzentów poczucie z jakiego środowiska rekrutowali się jej bohaterowie. Stosunki socjalne odbite w utworze odeszły w przeszłość. Jeśli dzieło żyje dalej, jego — jasna dla współczesnych — treść społeczna będzie się odkształcać w interpretacji aktora i reżysera tym szybciej, im pasmo tradycji teatralnej jest wątlejsze, im pamięć o dawnych kreacjach — nie kontynuowanych przez następców — wygasa prędzej.

Podobno było i tak dawniej.

Wśród sędziwych złośliwców teatralnych krąży następująca anegdota. Jowialskiego przed laty w Warszawie grywał stale Rapacki. Stary mistrz — jeśli nie grał — do teatru zaglądał rzadko. Pojawienie się jego na widowni było dla kolegów sensacją. Kiedy przyjechał na gościnne występy „młody Solski" i zagrał Jowialskiego — Rapacki odwiedził przedstawienie. Po pierwszym akcie wyszedł. W garderobie zetknął się z Solskim. Zagadnięty o wrażenia zareagował lakonicznie: „Chciałem tylko panu powiedzieć, że Jowialski to jest — Pan Jowialski" i pożegnał artystę, który przez wiele lat potem wedle prawie powszechnego mniemania, dawał najpełniejszą realizację intencji fredrowskiej w tej postaci.

Teatr „Comoedia" w Warszawie. Komedia Wł. Perzyńskiego „Szczęście Frania" w reżyserii Zbigniewa Koczanowicza, dekoracje i kostiumy K. I. Golusowie. W roli Mroczyńskiej Stanisława Kawińska, w roli Frania Mieczysław Borowy

Sezon warszawski otworzono wznowieniem trzech klasycznych komedii polskich. Pan Jowialski, Dom Otwarty, Szczęście Frania. 1832—1883—1909. Trzy epoki, trzy różne indywidualności pisarskie — trzy różne ujęcia sceniczne. — Różne wreszcie teatry: klasą, wagą, zamożnością. Wszystkie przedstawienia utrzymane, jak to się mówi „w epoce". — I wszystkie gwałcą układ stosunków społecznych odbity w utworach.

Jowialski — nawet sprowadzony do szlacheckiego dworku — jest przecież w swoim domu osobą główną. Nawet podstarzałego syna nie wypuścił z opieki — bo „w jego ręku jednak majątek! C'est la chose!" — jak mówi Szambelanowa. Janusz inscenizuje swoją komedię, ponieważ musi „starać się o łaskę pana Jowialskiego", chce go zabawić i ucieszyć. „Skretyniały" jak chcą jedni, czy też „wcale nie głupi" — jak proponują inni krytycy (i ci i owi najprzedniejsi znawcy przedmiotu) staruszek — jest bezwątpienia przynajmniej u siebie panem. Tymczasem w teatrze sytuacje tak ułożono, że ten dla którego zabawy wszystko w domu żyć powinno — plącze się po kątach, nikt nie traktuje go z należnym gospodarzowi respektem. Otoczenie, po za małżonką, odnosi się doń co najwyżej jak do uciążliwego lub zabawnego rezydenta. A przecież dykteryjkami i przysłowiami z Knapiusa sypie nie... Dyndalski, lecz Jowialski.

Dzięki temu zatracają się pewne elementy sceny maskaradowej. Poufałości Ludmira powinny być żenujące, powinny peszyć i śmieszyć towarzystwo. Jeśli od początku do końca wszyscy są z sobą za pan brat, nic w tym zabawnego, że i Ludmir trzyma się tej samej reguły towarzyskiej. Widzieliśmy dwa lata temu w „Dożywociu" jak Leon z Filipkiem — pan ze sługą — siedząc na ziemi wzajemnie okładali się łachami przysłanymi przez „Sylfidę", niczem dwa arlekiny. Można wszystkie postacie wystrugać z jednego drzewa i zaludnić scenę zabawnymi pajacami. Tylko czy już czas nadszedł? Czy naprawdę — już tylko w ten sposób — da się ożywić nudnego Fredrę?

To nie są zarzuty. Rozumiem, że przedstawienie warszawskie miało specjalne cele. Złączyć w jednym spektaklu trzy głośne role znakomitych artystów — dołożyć czwartą znakomitość, aby im zbudował dekorację — to bezsporne zadanie teatru reprezentacyjnego. Zadanie — podkreślmy — artystyczno-oświatowe. Może nie całkiem rozwiązane. Zwłaszcza Solskiego należałoby pokazywać w bardziej kameralnych warunkach. W małej sali, z bliska — znacznie pełniej chwytanoby atrakcyjność jego postaci. Ale poza tym wszystkim — dzieło teatralne — zwłaszcza cieszące się powodzeniem — nosi przecież cechy normalnego widowiska. Jest tekst Fredry i o jego realizacji przychodzi nam snuć refleksje. Tym bardziej, że idzie o rzecz ogólniejszą.

Środowisko „Domu otwartego" — nie budzi wątpliwości: solidna urzędnicza rodzina krakowska o tradycjach szlacheckich. Natomiast goście państwa Żelskich — to zupełnie co innego. Na niepoważny bal sprowadził pocieszny aranżer figury ladajakie. Z wyjątkiem prowincjonalnego farmaceuty — to typy z pod ciemnej gwiazdy. Nawet obskurne Ciuciumkiewiczówny były w salonie Żelskich na miejscu. Śmieszność ich leżała kiedyś w spóźnionej naiwności podstarzałych piskląt niewypuszczanych z pod matczynej spódnicy. Ale miejsce sprowadzonej przez Fikalskiego młodzieży było poza tym salonem. Może na podrzędnej sali bilardowej, może jeszcze gorzej. Na tych kontrastach towarzyskich polegał niegdyś komizm utworu. Jeśli się ów element zlekceważy, rzecz się socjalnie odbarwi.

Teatr „Nowy" rodzinę archiwisty Ciuciumkiewicza zepchnął na poziom stróżowskiej suteryny, jakby pokraczność nie mogła nosić stylu mieszczańskiego saloniku, gości Fikalskiego przemieszał z przyjaciółmi rodziny i domownikami, zaludnił scenę galerią dziwadeł, czasem wychodzących z ram jakiegokolwiek środowiska.

Czy nie było to śmieszne? — Było. Całość urozmaicona wstawkami i piosenkami, w lekkich dekoracjach podrysowujących Kraków, którego nie czuło się w aktorach, przywodziła na pamięć „Qui pro quo", ale to najdawniejsze, z przed lat trzydziestu. Przecież to tam oglądałem przeróbkę „Rewizora". Akcja była przeniesiona do jakiegoś miasteczka w ówczesnej Polsce. Bobczyński i Dobczyński nazywali się Boberstein i Doberstein — może trochę przekręcam — jednego z nich grał Pikuś Urstein. Bawiłem się znakomicie. Ale nie rozgrywało się to na drugiej scenie państwowej.

„Szczęście Frania" to znowu sztuka oparta na kontraście. Lipowski i Franio. Poważny przemysłowiec i skromny biuralista. Im dystans pomiędzy tymi postaciami większy tym komedia efektowniejsza, satyra ostrzejsza. Lipowski musi Franiowi imponować. Wszystkim. Najwięcej tym, że prawie nie zwraca na niego uwagi, że samym swoim zachowaniem go onieśmiela. Tylko wtedy może osiągnąć pełny efekt scena wręczenia listu, tylko wtedy bunt Frania w końcowej rozmowie z Lipowskim może nabrać dramatycznej wagi. Tylko wtedy osiągnie odpowiednie napięcie moment zwrotny: — załamanie się Frania. Chłopak spostrzega nie pojęty dla siebie, wstrząsający fakt, że „Pan Lipowski płacze..." „Jezus Maria... Pan Lipowski płacze...". To nie współczucie. To zachwianie się całego światopoglądu. Jeśli Lipowski i Franio skaczą sobie przedtem do oczu jak dwa koguty, scena ta traci swój sens.

Nie myślę ganić wykonawców przedstawienia. Doceniam wagę rzetelnego wysiłku aktorskiego, który w ten spektakl włożono. Rozważam po prostu, jak szybko wygasa pamięć o minionych stosunkach międzyludzkich. Perzyński uśmiechał się: — patrzcie! — Lipowscy wolą mezalians, wolą wydać córkę za takiego Frania niż narazić się opinii swego środowiska, którego moralność oburzała się na pannę z dzieckiem. Mezalians, który nam pokazuje teatr „Comedia" ma charakter tylko *finansowy, bo tatuś i przyszły* narzeczony to ludzie z jednej sfery, różnica majątkowa się wyrówna skoro Franio wejdzie d rodziny. Nie o takim mezaliansie myślał autor. Jego Lipowski na pieniądze zięcia nie musiał się oglądać, miał dosyć swoich. Nie w tym rzecz, że Franio był ubogi, lecz, że był to „taki Franio", jak mówi Lipowska. Proporcje zarysowane w utworze zmieniły się na scenie.

Trudno się gniewać na zjawisko, które jest tak powszechne. W trzech teatrach — trzy zupełnie różnie potraktowane sztuki dają asumpt do podobnych refleksyj. Wypowiadam je dziś w przekonaniu, że nie są to obserwacje nowe. Rozprawia się o tym często. Pisuje rzadziej.

Jerzy Kreczmar

Teatr Nowy w Warszawie „Dom Otwarty" Stanisława Perzanowska w roli Ciumciumkiewiczowej

ANINA PREGER

Z radzieckiego życia literackiego: dwie nagrody za prozę

NAGRODĘ Stalinowską za prozę otrzymały w tym roku powieści: Michała Bubiennowa „Biała brzoza" i Pawlenki „Szczęście".

„Biała brzoza" jest pierwszym tomem cyklu, zakrojonego na większą miarę. Jest to powieść historyczna, pisana pod natchnieniem „Wojny i pokoju" Tołstoja. W tomie tym akcja i losy bohaterów nie zostają doprowadzone do końca, jednak książka stanowi wyraźną pozycję artystyczną i ideową, która zasługuje na omówienie.

Jest to jeszcze jedna powieść batalistyczna z czasu „wojny ojczyźnianej". Tom pierwszy obejmuje okres cofania się armii radzieckiej — aż do ustalenia się frontu pod Moskwą. Ten punkt stanowi optymistyczne zakończenie kompozycji tomu. Tematem „Białej brzozy" jest problem psychologiczny, w jaki sposób człowiek radziecki wyrabiał w sobie tę postawę, która pozwoliła mu nie załamać się w miesiącach klęski, zaskoczenia, nieprzygotowania — i wykształcić w sobie wśród najcięższych przeżyć zdolność zwycięstwa. Jest to właściwie ogólnoludzki, szeroki problem życiowy, i nic dziwnego, że często występuje w dzisiejszej literaturze radzieckiej. W gruncie rzeczy jest to problem moralny, znany literaturze światowej od czasów dramatu greckiego — aż do dramatycznych powieści psychologicznych Józefa Conrada. Zagadnienie polega na tym, że człowiek aby zachować wartość ludzką, szacunek dla samego siebie i zdolność radowania się swoim życiem — musi umieć sprostać nawet najcięższym sytuacjom; zaskoczony i nieprzygotowany wcale do bohaterstwa — musi umieć zdobyć się na bohaterstwo, na wytrwałość większą, niż by o sobie samym mógł przypuszczać, na zlekceważenie swojego życia. A to właśnie w imię miłości życia — którym człowiek może się cieszyć tylko wtedy, o ile to nie jest życie pozbawione godności, poniżone niżej człowieczeństwa. — Wojna jest tylko jednym ze szczegółowych przypadków, kiedy człowiek staje wobec takiego problemu. Życie — jest zawsze zaskoczeniem i częściej, niż można przewidzieć, wymaga od nieprzygotowanych — bohaterstwa, charakteru, mężnej woli. Te cechy musi w sobie człowiek stale wypracowywać jeśli ma zachować to, co jest treścią ludzkiej kultury.

Głównym bohaterem „Białej brzozy" jest młody od niedawna żonaty i gorąco kochający swoją żonę chłopak ze wsi Olchówki, Andrzej Łopuchow. Bubiennow opowiada nam o tym, jak trudno było kochającym swoją wieś, nie znającym dotąd na świecie nic prócz szczęścia w swoim kołchozie i w swoim domu chłopcom wiejskim — opuszczać dotychczasowe życie, cofając się wraz z ustępującymi przed wrogiem wojskami — opuszczać je może na zawsze. Trzeba było pokonać wielką, naturalną miłość ziemi rodzinnej i bliskich ludzi, których się zostawiało bezbronnych na niewiadomy los — i żołnierz musiał odejść. Dla chłopów rosyjskich cofającej się Armii Czerwonej był to wielki problem. W świadomości młodego Andrzeja, typowego reprezentanta chłopów radzieckich, również odbywa się ta walka — i nad naiwną miłością odnosi zdecydowane zwycięstwo obowiązek. Ale nie zawsze tak bywa. Opanowany straszliwym tchórzostwem, niedołężny i tępy Kuzma Jarcew ulega swojej obsesji, odłącza się od własnej formacji wojskowej, zostaje odkryty i rozstrzelany za dezercję. W ostatniej chwili pojmuje, że wytrwanie w szeregach dawałoby mu przecież więcej szans zostania przy życiu, którego trzymał się tak kurczowo — niż dezercja. Autor umie przedstawić tego człowieka, którego w imię idei wychowawczej skazuje na śmierć — z ludzkim współczuciem. Tchórz jest człowiekiem ograniczonym, niedorozwiniętym, patologicznie podlegającym strachowi. Dlatego wolno mu współczuć — i autor umie wzbudzić w czytelniku to współczucie, co charakteryzuje go jako pisarza-humanistę. Celem tego epizodu jest wyjaśnienie i ukazanie ku przestrodze powodów psychologicznych decyzji tchórza. Z tępoty Jarcewa wynika to, że jedynym ośrodkiem jego myśli i dążeń jest własne życie. Nie ma w jego świadomości miejsca na jakiekolwiek inne wzruszenia — na wzruszenie myślą o losie rodaków, których ma bronić, o losie rodzinnych miast i wsi, o losie ojczyzny radzieckiej i zagrożonego socjalizmu. Tchórz jest człowiekiem niedorosłym do pojęć szerszych od zwierzęcego przywiązania do bytu. W imię logiki wychowawczej utworu zgodnej z prawdą historyczną epopei radzieckiej — winny słabości musi ponieść karę. Śmierć Jarcewa jest epizodem wstrząsającym. W plutonie egzekucyjnym uczestniczy zdrajca Olejnik, człowiek, świadomy swych czynów i wyrafinowany, który nakłaniał do zdrady nieszczęsnego Jarcewa. Chwilowo bezkarny zdrajca zgłosił się na ochotnika do wykonania wyroku. Czytelnik jest tym bardziej wstrząśnięty takim obrotem rzeczy, doraźnym triumfem niesprawiedliwości — który jest jednak tragiczną prawdą losu i przypadku. Tutaj Bubiennow okazał się dobrym pisarzem, który nie cofa się przed prawdą o okrucieństwie życia. Okrucieństwo wywołuje oczywiście współczucie dla nieszczęsnej ofiary swojej słabości.

Problem dezercji, jeden z typowych problemów batalistycznych, częstych w beletrystyce radzieckiej, został ukazany przez Bubiennowa z prawdą psychologiczną, odważnie i po ludz-

ku. Nie ma u pisarza radzieckiego miejsca na kompromis moralny — ale jest zrozumienie człowieka.

Drugim zagadnieniem psychologicznym, rozpatrywanym w książce Bubiennowa jest problem dowództwa. — Ukazują nam go w przeżyciach Ozierowa. Nie tylko szeregowy żołnierz ale i dowódca wychowuje siebie w doświadczeniach, nikt nie jest gotów, ale zdolny człowiek tę gotowość w sobie wyrabia. I tu znów autor pokazuje nam nie tylko bohaterów i zuchów, ale i charaktery chybione. Takim chybionym oficerem jest Łozniewoj, dezerter i człowiek o małej wartości moralnej w życiu osobistym. — Łączność tych dwu rzeczy podkreślają pisarze radzieccy. Wkrada się on do rodziny Andrzeja Łopuchina, gdzie pragnie ukryć się w czasie wojny — i uwieść żonę swego podwładnego Andrzeja Łomiewoja.

Jako motyw psychologiczny podaje autor brak wyrobienia klasowego bohatera.

Los jego jednak układa się nieoczekiwanie nędznie. Pada ofiarą utajonej żyłki „kułackiej" ojca Andrzeja, starego Łopuchina, który pod okupacją hitlerowską ma nadzieję na powrót „starych dobrych czasów" własności prywatnej, kiedy wolno było mieć darmową pracę wyzyskiwanych biedaków. Stary Łopuchin robi sobie z wystraszonego Łozniewoja, którego ukrywa robotnika-niewolnika. Jeden łajdak wymierza karę drugiemu. Ten sposób konstrukcji losów ludzkich oraz podział bohaterów na równoległe grupy czarnych i białych charakterów jest ułatwieniem, które zdradza jeszcze małą wprawę pisarską Bubiennowa. Na swoich negatywnych i pozytywnych postaciach dowodzi Bubiennow, że koleżeństwo i poczucie odpowiedzialności były najcenniejszymi ludzkimi i bojowymi zaletami żołnierzy radzieckich, dowódców i szeregowców. I to jest sensem książki: zalety bojowników są właśnie wysokimi zaletami ludzkimi.

Obok nich jednak nie tai autor, że dla obrony przed barbarzyństwem potrzebna była szkoła nienawiści. I tego musieli się uczyć ludzie radzieccy, by zostać żołnierzami i obrońcami.

Tutaj poruszamy trzeci problem książki: postawa ludności na tyłach, w kraju zajętym. Nie mało zależało w losach wojny od tej postawy, a wymagała ona od chłopa radzieckiego wielkiej świadomości i niemniejszego bohaterstwa. Trzeba było poświęcając bezpieczeństwo i życie, ukrywać przed okupantem majątek społeczny, majątek narodowy, lub niszczyć ten majątek, gdy nie dało się go ukryć. To zagadnienie, jak głęboko tkwi ideologia socjalistyczna w świadomości chłopa radzieckiego, jak głęboko wrósł w niego ideał społeczny — ukazał nam Bubiennow na losach rodziny Andrzeja Łopuchina i innych rodzin z kołchozu Olchówki. Stary Łopuchin nie chce się ewakuować ze strachu o majątek, krok ten pociąga za sobą następny: musi być starostą wsi, sługą Niemców. Ale na skraju przepaści stary cofa się przed podłością: nie zdradza kołchozu i jego podziemnej akcji przeciwko Niemcom.

Wątków i osób w tej powieści jest wiele. Wiąże je interesująca akcja w tym tomie zaledwie rozpoczęta. Symbolem myśli przewodniej utworu jest wymieniona w tytule biała brzoza — motyw najgłębiej ukochanej przez bohaterów ziemi ojczystej, symbol ich tęsknoty i miłości do tej ziemi.

Wielką zaletą książki jest dobra kompozycja. Słabszą stroną — styl i nieco uproszczona psychologia bohaterów.

„Szczęście" Pawlenki jest powieścią o prostszej problematyce i innym temacie. Ideą powieści jest wychowanie w człowieku sił do szczęścia do życia twórczego dla innych i radosnego dla siebie. Bohater powieści Woropajew jest inwalidą wojennym, zmuszonym opuścić armię radziecką przed końcem jej zwycięskich bojów i odejść do życia prywatnego. Wdowiec, chory na płuca, inwalida — czuje się niezdolny do szczęścia i uważa, że nie zasługuje na miłość kobiety, która go pokochała zanim został kaleką z nogą amputowaną do kolana. Przyzwyczajony do aktywnego życia, znalazł się teraz na Krymie dla ratowania zdrowia swojego i synka, który mu pozostał po zmarłej żonie. Gdy jednak trafia do kolonii ludzi nieszczęśliwych, przesiedleńców, chorych jak on i bezradniejszych od niego wobec trudności organizowania życia na nowo w kraju, zdewastowanym przez wojnę — znajduje w sobie siły, aby pomóc innym i urządzić sobie życie w górskim kołchozie ozdrowieńców. — Potrzeba społeczna jeszcze raz wydobywa na jaw wygasłą rzekomo energię życiową Woropajewa. W jego życiu osobistym bierze jednak górę ludzka słabość i brak wiary w swoje siły. Woropajew gotów jest wyrzec się szczęścia pragnie, by kochana i kochająca go kobieta, zdolna lekarka Aleksandra Goriewa, jego towarzysz walk, zapomniała o nim. Czyni wszystko, aby ją skutecznie unieszczęśliwić swoją udaną — z poczucia obowiązku — obojętnością. Tymczasem unieszczęśliwia także drugą kobietę, miejscową chłopkę, z którą pragnął się ożenić, łudząc siebie i ją, że może jej dać szczęście w zamian za jej pełną oddania przyjaźń. Rozwiązując tak niefortunnie swoje sprawy osobiste, potrafi jednak z wielkim pożytkiem służyć miejscowej komórce partyjnej i kołchozowi swoimi zdolnościami, wiedzą i pracą. Odrzuca propozycje powrotu do stolicy na wybitne stanowisko, uważając że tutejsza jego praca w terenie przynosi w obecnym momencie krajowi większy pożytek, gdyż najpilniejszym zadaniem chwili jest organizowanie życia i wytwórczości na terenie przez który przeszła wojna.

Obie kobiety okazują więcej decyzji od bohatera i pomyślnie rozwiązują jego konflikt moralny. Krymska opiekunka Woropajewa, zwykła chłopka, rezygnuje z pozornego szczęścia i zwraca wolność bohaterowi; ze swojego przeżycia wynosi jednak dojrzałość duchową i intelektualną, która ją stawia wysoko ponad poprzednim poziomem. Druga kobieta, doktór Goriewa, rezygnuje z obrażonej dumy, sama odszukuje Woropajewa i da mu szczęście osobiste, by miał siły dalej pracować i spełniać trudne zadanie społeczne, którego się podjął.

Pawlenko wysuwa w swojej powieści problem szczęścia osobistego człowieka, jako rzecz ważną i godną uwagi. Ukazuje że zawsze można znaleźć siły na przezwyciężenie nieszczęścia. W powieści wiele jest ludzkiego sentymentu, choć i nie mało szablonu w potraktowaniu tematu.

Pawlenko ma więcej wprawy pisarskiej niż Bubiennow, ale to nie kwalifikuje jego powieści wyżej, od „Białej brzozy". Jeśli idzie o zalety, to są nimi niektóre świetne epizody i sceny. Np. inteligentnie i z talentem satyrycznym przedstawiony przebieg spotkania Woropajewa z amerykańskim dziennikarzem Harrisem, ich rozmowy i wizyta u radzieckich winiarzy w górach. Na wyróżnienie zasługuje również scena agitacji do pracy, którą z humorem i zrozumieniem psychologicznym przeprowadza gruźlik Woropajew w kołchozie rekonwalescentów. Agitacja, mimo paradoksalnego założenia, że chce się wydobyć z człowieka więcej niż może, ma wynik pomyślny i ratuje byt tym wszystkim ludziom, którzy już „opuścili" ręce i zrezygnowali z walki o życie. Konieczne było przezwyciężenie impasu i tylko owa szlachetna agitacja mogła coś pomóc — i pomogła. Takich dobrych sytuacyj jest w powieści Pawlenki wiele — ale nie zostały one przez pisarza wykorzystane. Banalny wątek erotyczny stanowi najsłabszą stronę powieści. Ciekawie pomyślany utwór został w ten sposób „spłaszczony".

Obie nagrodzone powieści są wartościową lekturą popularną, choć nie mają pretensji do miejsca w pierwszym szeregu dzieł prozy. „Biała brzoza" ma niewątpliwie ciekawszą koncepcję, „Szczęście" jest łatwiejszą i popularniejszą lekturą. Obie rzeczy są wynikiem poważnego stosunku autorów do zagadnień i ich ideowego nastawienia. Niewątpliwie wkrótce zostaną przetłumaczone na język polski.

Janina Preger

RYSZARD MATUSZEWSKI

LITERATURA PO WOJNIE

Szkice krytyczne

Stron 216 Cena zł. 600

1948

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"

PAWEŁ ETTINGER

W materiałach redakcyjnych pozostało kilka notatek nieodżałowanej pamięci Pawła Ettingera.

Wacław Worowski (1871–1923)

W maju br. upłynęło ćwierć wieku od chwili tragicznego zgonu Wacława Worowskiego, ugodzonego zdradziecką kulą faszystowskiego emigranta rosyjskiego w r. 1923 na konferencji w Lozannie. W związku z tą smutną rocznicą ukazał się tom zebranych po raz pierwsy w jedną całość essayów literacko-krytycznych Worowskiego*) znawcy i teoretyka literatury, a zarazem wybitnego dyplomaty radzieckiego.

Wacława Worowskiego, urodzonego w Moskwie w inteligenckiej rodzinie polskiej, poznałem jeszcze jako studenta politechniki w domu Adama Tołłoczki, gdzie swego czasu zbierała się demokratyczna polonia moskiewska. Jako student Worowski był już związany z miejscową organizacją rewolucyjno-robotniczą, co też przypłacił dwuletnim prawie więzieniem w Moskwie i późniejszym wygnaniem. Aresztu i wygnania na północ miał jeszcze raz zakosztować powtórnie po powrocie do Rosji z emigracji szwajcarskiej, gdzie się zbliżył z Leninem i usilnie pracował w prasie rewolucyjnej.

Rewolucja Październikowa zastała Worowskiego w Sztokholmie, i tu świeżo ukonstytuowany rząd radziecki zamianował go swym reprezentantem na państwa skandynawskie, które to funkcje ad hoc stworzony ambasador wypełniał pono z wielką godnością i wrodzonym talentem dyplomatycznym. Dobrze pamiętam, że bawiący później w Moskwie znany publicysta niemiecki dr Alphons Pacquet dobitnie to podkreślał przy stoliku kawiarnianym, gdy mówiłem z nim o Worowskim. Następnie Worowski objął stanowisko ambasadora radzieckiego w Rzymie: ten etap jego pracy przerwał zamach w Lozannie.

Zainteresowanie literaturą, dążenie do zaznajomienia się z jej dziejami w różnych kierunkach zaznaczyły się u Worowskiego już na ławie szkolnej; sprzyjało temu obszerne wykształcenie ogólne oraz znajomość języków obcych; wcześnie rozpoczął Worowski próby oceny krytycznej i ideologicznej twórczości rosyjskich pisarzy współczesnych, przy czym ta jego praca lieracka była związana z robotą rewolucyjną i jej podłożem. Przymusowe odejście od praktycznej działalności w latach wygnania szczególnie dało mu możność wgłębienia się w problematy literackie na tle prądów życia społecznego. Główną cechą jego artykułów, poza metodą socjologiczną, stanowi wdzięk stylu prostego i jasnego, należyte poczucie cenności literackiej utworu oraz żartobliwy nalot lekkiej ironii, charakterystyczny dla mentalności Worowskiego. To też zgasły przed paru laty M. Meszczenakow, autor życiorysu Worowskiego w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej (tom XIII, 1929), nie waha się go określić jako najlepszego po Plechanowie krytyka literackiego, zaznaczając, że oceny jego dotąd nie utraciły znaczenia i wartości. W pewnej mierze podkreśla to i autor przedmowy do obecnie wydanego zbioru prac literackich Worowskiego.

Tom ten zawiera trzy essaye o wielkich krytykach rosyjskich zeszłego wieku — Bielińskim, Dobrolubowie i Pisarewie, poza tym większe artykuły o Boninie, Kuprinie, Leonidzie Andrejewie oraz Gorkim. Znaczną ciekawość budzi zestawienie dwóch typów nihilistów ukazanych w postaciach turgeniewskiego Bazarowa i Sanina, bohatera głośnej swego czasu powieści W. Arybaszewa; kilka jeszcze rozpraw, odzwierciadlających demokratyczne dążenia myśli rewolucyjnej dziesięciolecia 1907—1917, dopełnia całości wydania.

*) **W. Worowski.** Literaturno-kriticzeskije statji, ze wstępem I. W. Sergiewskiego. Moskwa. 1948. Państwowe Wydawnictwo Literackie str. 254.

Polonica w Czechosłowacji

„Slovansky prehled" („Przegląd słowiański") jest czasopismem wydawanym w Pradze przez czeski Komitet Słowiański a poświęconym wiedzy o politycznym, socjalnym i kulturalnym życiu narodów słowiańskich. Założony został przez Adolfa Czernego w 1914 roku.

W ostatnich jego numerach (3—4 i 5—6) zamieszczony został artykuł Ryszarda Matuszewskiego, ujmujący w syntetycznym skrócie zagadnienia współczesnej literatury polskiej. Po uwagach ogólnych, w których najwięcej miejsca poświęca dyskusji o realiźmie, przechodzi autor artykułu do krytycznego omówienia twórczości najwybitniejszych poetów, prozaików, dramaturgów i krytyków, połączonego z wyliczeniem i krótką charakterystyką młodszych i mniej znanych. Po artykule Leona Schillera o teatrze dramatycznym jest to drugi w tym roku wypadek zamieszczenia przez to ciekawe i wartościowe pismo pracy polskiego autora.

„Lidove Noviny" a Jubileusz Leopolda Staffa. „Lidove Noviny" zamieściły w jednym z numerów listopadowych wiersze Leopolda Staffa oraz — w związku z jego jubileuszem — krytyczne omówienie jego twórczości, pióra Jaroslava Zavady. W tym samym numerze zamieszczono też przekład wierszy jednego z najmłodszych poetów polskich Tadeusza Kubiaka.

O łódzkim przedstawieniu „Igraszek z diabłem". To samo pismo drukuje recenzję Jana Kopeckiego z przedstawienia „Igraszek z diabłem" w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi.

Kopecky nie szczędzi pochwał technicznie doskonałemu opracowaniu reżyserskiemu Leona Schillera, którego największą zaletą wg. niego jest odpowiednie zrytmizowanie całości. Chwali również dekoracje Axera, podkreślając ich groteskowość. W związku z wprowadzeniem francuskiego menueta między ludowe piosenki czeskie i słowackie, stwierdza, że „komedii Drdy nadano w ten sposób charakter wesołej groteski z piosenkami i tańcami".

Również w interpretacji ról przez poszczególnych aktorów (za wyjątkiem roli Marcina Kabata) dopatruje się autor dążności do groteskowej parodii, widzi w niej próbę wyjścia ze stanowiska parodiowanej commedia dell'arte.

Reasumując swe uwagi recenzent stwierdza, że „Polacy zamiast naszej poezji naiwności szukali —i pokazali poezję prymitywu a teatralność sztuki dojrzeli w sparodiowaniu i skarykaturowaniu typów".

Podkreślając wielki sukces i powodzenie, jakim cieszą się „Igraszki" w Łodzi, przypomina, że z polskich dramaturgów wystawiono już na czeskich i słowackich scenach utwory L. H. Morstina, Tadeusza Hołuja, Jerzego Szaniawskiego, Tadeusza Brezy i Michała Chromańskiego i że w najbliższym czasie dojdą do nich również utwory Leona Kruczkowskiego oraz Anny Świerszczyńskiej.

e. mart.

KORESPONDENCJA

O ideologiczną ocenę „Odwetów"

W artykule p.t. „Agitur de re vestra" („Kuźnica" nr. 165) Stefan Żółkiewski, omawiając krytycznie powojenny dorobek naszej twórczości literackiej z punktu widzenia „politycznej, w duchu socjalizmu, interpretacji aktualnych problemów współczesności", sformułował m. in. następującą ocenę:

„Jeszcze dalsze od tej ideologii (socjalistycznej) jest postawienie zagadnienia stosunku sił rewolucyjnych i wstecznych w Polsce w „Odwetach" Kruczkowskiego, usymbolizowane w scenie ucieczki terrorysty reakcyjnego **przygotowanej** z osobistych pobudek przez rewolucjonistę całkowicie świadomego społecznej szkodliwości tego, którego **rozgrzesza".** (nawias i podkreślenia moje).

Nie zamierzając tu polemizować na temat ideologicznej oceny „Odwetów", uważam jednak za konieczne stwierdzić, że Żółkiewski w zacytowanym ustępie przedstawił w grubym i dotkliwym zniekształceniu **fakty** zachodzące w mojej sztuce — i to fakty kulminacyjne. Ani Jagmin nie „przygotował" ucieczki swego politycznego wroga, ani go z niczego nie „rozgrzesza". Łatwo to sprawdzić choćby z wydanego drukiem egzemplarza „Odwetów". Chciałbym aby Żółkiewski zacytował z niego choćby jedno zdanie, którym mógłby uzasadnić swój sposób przedstawienia treści fabularnych mojej sztuki.

Nie jest to żadne „przyczepianie się", żadne „łapanie za słowa". Myślę, że właśnie od Żółkiewskiego i właśnie od „zasadniczych" artykułów w „Kuźnicy" mamy prawo — i my, autorzy, i czytelnicy — wymagać, aby oceny i sądy formułowano nam „z ręką na tekście", aby nie były one podpierane zniekształconymi wersjami faktów fabularnych. Taka „metoda" ma krótkie nogi. Taka „metoda" może jedynie, a nawet musi, podważać nasze zaufanie do wartości samych ocen i osądów.

Jestem przekonany, że jeśli kiedyś mamy doczekać się w Polsce rzetelnej marksistowskiej krytyki literackiej, to u podstawy jej musi być założona nie tylko słuszna i bezbłędna myśl ideologiczna ale również — całkowita ścisłość, sumienność i lojalność krytyka w stosunku do „materialnej", tekstualnej prawdy ocenianych utworów.

Leon Kruczkowski.

ODPOWIEDŹ.

Uwagi moje dotyczyły nie oceny „Odwetów" w całości, ale postawienia problemu, tego tylko problemu, który Kruczkowski w swym liście wymienia.

Jak sądzę w artykule moim oddałem na innym miejscu całą sprawiedliwość wysokim ideologicznym wartościom twórczości autora „Kordiana i chama".

Jak myślę krytyk ma prawo sądzić literaturę. W artykułach syntetycznych z trudem może podawać pełną argumentację swoich sądów. Już A. Stern pisał do „Kuźnicy", że go niesprawiedliwie oceniłem, teraz Kruczkowski. Stern zapomniał, iż drukował nowelę, którą oceniałem w „Kuźnicy" — Kruczkowski nie pamięta swojej sztuki.

W tekście „Odwetów" można sprawdzić, że bohater jego sztuki członek PPR, okłamuje z pobudek osobistych władze bezpieczeństwa — to umożliwia ucieczkę zbrodniarzowi; tenże człowiek „rozgrzesza" winnego, bo go nie oddaje w ręce władz, ale samowolnie puszcza wolno. To fakty.

O cóż tu się sprzeczać?

Stefan Żółkiewski.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Bojer: Wielki głód. Powieść. Przekł. L. Staffa. Nakł. Wydawnictwa Ludowego, Warszawa 1948, str. 247.

Jan Bojer: Ostatni Wikingowie. Powieść. Przekł. L. Staffa. Nakł. Wydawnictwa Ludowego, Warszawa 1948, str. 289.

Mikołaj Jerzy Górszczyk (Poleszuk): Szkice emigracyjne. Rumunia, Iran, Palestyna, Egipt. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Chłopski Świat", Warszawa 1948, str. 183.

J. H. Rosny: Walka o ogień. Powieść z czasów pierwotnych. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Chłopski Świat", Warszawa 1948, str. 235.

Maksymilian Malinowski: Chłopski ruch zaraniarski w b. Kongresówce przed pierwszą wojną światową. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Chłopski Świat", Warszawa 1948, str. 87.

Kazimierz Maj: Chłopi w dawnej Polsce. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Chłopski Świat", Warszawa 1948, str. 103.

M. Suszyńska i J. Wójcicka: Największy skarb. Baśnie i opowiadania. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Chłopski Świat", Warszawa 1948, str. 60.

Wacław Mrozowski: Liryki dolno-śląskie. Nakł. Wydawnictwa Ludowego, Warszawa 1948, str. 40.

Mgr. Józef Sosnowski: Teoria propagandy w zarysie. Nakł. Wydawnictwa „Książnica Polska", Warszawa 1948, str. 128.

S. Waldgard: Siły przyrody w służbie człowieka. Przekł. J. S. Nakł. Wydawnictwa Ludowego, Warszawa 1948, str. 62.

Frank Harris: W pogoni za pełnią życia. Autoryzowany przekład Stefana Pomiana. Wyd. III. Nakł. Wydawn. „Dobra Książka", Warszawa — Katowice 1949, str. 404.

Mazo de la Roche: Rodzina Whiteoaków. Autoryzowany przekład Haliny Gądek. Wyd. II. Nakł. Wydawn. „Dobra Książka", Wrocław — Katowice 1948, tom I — str. 240, tom II — str. 276, tom III — str. 273, tomIV — str. 296 i tom V — str. 288.

Juliusz Kleiner: Mickiewicz. Nakł. Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1948, tom I — str. 584, tom II, część I — str. 495.

Joseph Conrad (Korzeniowski): Złota strzała. Opowieść opatrzona wstępnym i końcowym objaśnieniem. Przekł. Anieli Zagórskiej i Jadwigi Korniłowiczowej. Nakł. Instytutu Wydawniczego „Poziom", Kraków 1948, str. 387.

Juliusz Słowacki: Balladyna. Tragedia w 5 aktach. Oprac. Juliusz Kleiner. Wyd. IV, przejrzane. Biblioteka Narodowa. Nakł. Wydawn. Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich. Wrocław 1948, str. 250.

Stanisław Skimina: Elementa Latina. I. Podręcznik do nauki języka łacińskiego. Nakł. Wydawn. Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich, Wrocław, str. 88, zł. 110.

PRZEGLĄD PRASY

KOLEJNE numery „Odrodzenia" i „Nowin Literackich" przynoszą wiele interesujących prac z zakresu literatury. Wśród nich należy wymienić artykuł Euzebiusza Łopacińskiego „Fałszywy Mesjasz narodu polskiego", rzecz o Towiańskim. Postać Pana Andrzeja budziła rozmaite zastrzeżenia i wątpliwości u współczesnych. Zygmunt Krasiński, najtrzeźwiejszy bodaj z pośród romantyków, pisze w którymś ze swoich listów, że Pan Andrzej bierze natchnienie ze stolicy lodów... co jest dość wyraźnym votum nieufności dla proroka. Wiele romantycznych mitów polskiej literatury nie wytrzymało surowego, krytycznego spojrzenia, wystarczy choćby tu przypomnieć sprawę matki Makryny Mieczysławskiej, którą ostatecznie zdemaskował nikt inny jak ks. Urban w swojej interesującej pracy.

Towiański należy do tego gatunku postaci, które obciążają romantyzm polski brzemieniem średniowiecza. Zadaniem nowoczesnych badaczy byłoby wyzwolenie tego najświetniejszego może okresu literatury polskiej spod gruzów mistycyzmu i religjanctwa. Artykuł Łopacińskiego nie jest artykułem zasadniczym w tej sprawie, ale zasługuje na uwagę dlatego, że dokonuje rewizji postaci Pana Andrzeja, który tak fatalnie zaciążył na dwóch wielkich poetach polskich — Mickiewiczu i Słowackim.

Łopaciński, podając nowe dane podważa ów pogląd dotąd istniejący w pewnych kołach, a głoszący, że Towiański kierowany powołaniem proroczym, porzucił rodzinne Antoszwince i jak o tym świadczyłby odnośny fragment mickiewiczowski, przybył z północy w wózku zaprzężonym w konie. Wyjazd Towiańskiego zagranicę odbył się, jak twierdzi Łopaciński, nie bez udziału szpiega carskiego w Dreznie, Schrodera.

Oczywiście — artykuł Łopacińskiego jest raczej przyczynkarski, niż syntetyczny, mimo to jednak należy zwrócić na niego uwagę. Z takich przyczynków, z opracowań mało znanych materiałów, ktoś kiedyś będzie mógł napisać pełniejszą, rozsądniejszą, opartą na uczciwej analizie historycznej, historię literatury polskiej, której wciąż nam brak.

Artykuł prof. Krzyżanowskiego o Andrzeju Niemojewskim uznający autora „Branki" za pisarza postępowego, wywołał ożywioną dyskusję na łamach „Odrodzenia". W numerze 49 g.os zabierają Ksawery Probołowski i Zygmunt Kałużyński. Być może, że sprawa Niemojewskiego nie jest palącym zagadnieniem literackim. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na to, że „Odrodzenie", zamieszczając artykuł o Towiańskim polemikę w sprawie Niemojewskiego, spełnia w dużej mierze ten postulat, jaki wydaje mi się pierwszorzędny, gdy mowa o pismach tego typu, co właśnie „Odrodzenie". Ograniczanie bowiem treści pisma do bieżących zagadnień literackich musi zubożyć przede wszystkim czytelnika. Sięganie do przeszłości kulturalnej, ożywianie jej, aktualizowanie spraw dawnych, wpłynie korzystnie na rozwój pisma i na poszerzenie kręgu zainteresowań jego czytelników. „Nowiny Literockie" przynoszą nowe wiersze Leopolda Staffa. Tradycję literacką i jej znaczenie wyjaśnia artykuł Helsztyńskiego o „Clarissie" Richardsona jednego z pierwszych wybitnych powieściopisarzy angielskich. Praca Helsztyńskiego jest raczej erudycyjna i informacyjna, ale i z niej można wyczytać wiele o wpływie rozwoju społecznego i ekonomicznego warstwy mieszczańskiej na rozwój powieści europejskiej.

W nowym numerze „Twórczości" za listopad, znajdujemy pozycje literackie bardzo różne co do wartości i znaczenia. Numer otwiera poemat Mikołaja Gribaczowa „Kołchoz Bolszewik" w przekładzie Janiny Pregierówny. Poemat ten reprezentuje nowy rodzaj poetycki i z tego względu zasługuje na przeczytanie; jest to literatura łatwo zrozumiała, pełna realiów dotyczących nowego układu społecznego, opartego m. inn. na kolektywnej gospodarce rolnej.

Numer „Twórczości" właściwie został poświęcony Xaweremu Dunikowskiemu i jego pracy artystycznej, większą bowiem część zeszytu listopadowego zajmują fragmenty poematu Flukowskiego „Xawery Dunikowski" i Kazimierza Wyki praca pt. „W lesie rzeźb".

Mimo tej przewagi rzeźby nie zapomniano również o tym, co jest właściwym przedmiotem zainteresowań „Twórczości" — o literaturze. Jubileusz Leopolda Staffa, który „Nowiny" sygnalizowały kolumną nowych wierszy poety, w „Twórczości" został zaznaczony przez artykuł Mariana Piechala: „Pół wieku realizacji snów o potędze". Piechal omawia twórczość Leopolda Staffa, zestawiając jej cechy charakterystyczne z głównymi elementami literacko-ideologicznymi, jakie składają się na epokę Młodej Polski.

Wreszcie numer zamykają trzy prace krytyczne nagrodzone na konkursie ogłoszonym przez Zjazd Polonistów. Są to recenzje z książek: Brandysa („Samson"), Borowskiego („Pożegnanie z Marią") i Wiecha. Autorami tych recenzji, napisanych inteligentnie i poprawnie są trzej młodzi krytycy — Budrecki, Wasilewski i Lichniak. I nic by mnie nie niepokoiło w tych trzech recenzjach, gdyby nie to, że jedynie książka Wiecha spotkała się z oceną przychylną.

ph.

Koty

Churchill w świetle wypowiedzi

W dniu 28 października Winston Churchill wygłosił w brytyjskiej Izbie Gmin takie zdanie: „Powinniśmy zetrzeć z pamięci jak mokrą gąbką wszystkie zbrodnie i okrucieństwa przeszłości, bo nie może być odrodzenia Europy bez aktywnej i lojalnej pomocy szczepów niemieckich".

W dniu 9 października Winston Churchill wyznał na kongresie konserwatystów brytyjskich: „Powinienem w imię sprawiedliwości oświadczyć, że przepaść, jaka rozwarła się między Rosją komunistyczną, a demokracjami zachodnimi była zupełnie oczywista dla zwycięskiego wojennego gabinetu koalicji narodowej jeszcze przed rozgromieniem Hitlera i złożeniem broni przez Niemców".

Przed kilku tygodniami Winston Churchill ogłosił wspomnienia o drugiej wojnie światowej. W tomie pierwszym pt. „The Gathering Storm" („Nadciągająca Burza") czytamy: „Nawet Niemcy Stresemana nie były skłonne do położenia kresu swoim dążeniom na wschodzie ani do zaakceptowania terytorialnych postanowień traktatu (Wersal) dotyczących Polski, Gdańska, Korytarza i Górnego Śląska. Co do mnie, to nigdy nie wykluczałem myśli o próbie udzielenia Niemcom większej satysfakcji na ich wschodniej granicy. Lecz żadna ku temu sposobność nie nasunęła się w ciągu tych krótkich lat nadziei".

Nam więc wypadałoby spokojnie czekać aż sposobność nasunie się, skoro jej jeszcze nie ma. Churchill broni czterech hitlerowskich marszałków z Rundstedtem na czele. Wyraźnie sam stwierdził, że czyni to w imię „odrodzenia Europy", która może nastąpić tylko przy „aktywnej i lojalnej pomocy szczepów niemieckich". Przed dwoma laty kolportowano w Berlinie nielegalną ulotkę pt. „Droga do Niemiec". Już wtedy Niemcy wystąpiły jawnie jako równorzędny partner do gry o panowanie w świecie. Widać było, że partner ten może coś założyć za pomoc i tzw. „Plecy". Z ulotki tej cytuję dosłownie: „Historia wojen nie skończyła się w Poczdamie. Niemcy przyjdą do głosu. Kto Niemcom pomoże do tego, aby znów stanęli na nogi, ten zostanie ich przyjacielem". Tak wyglądało poszukiwanie wspólników do interesu, którym ma być „trzecia wojna". Winston Churchill, „wróg nr 1" w ciągu kilku lat stał się przyjacielem „dobrych, biednych i bezbronnych" Niemiec. W jego przemówieniu 28 października jest on bliski obaw, więcej nawet — strachu. Nie wiele brakuje by Churchill prosił „łaskawe Niemcy" do pomocy, bo przecież bez nich nie może być „odrodzenia Europy". Czy odrodzeniu temu ma służyć również — bomba atomowa?

O tej bombie Winston Churchill myśli i mówi: „Zniszczenie bomb atomowych i przyjęcie jakiegokolwiek układu o zakazie użycia bomby atomowej byłoby politycznym samobójstwem". Odpowiada mu na to labourzystowski tygodnik „New Statesman and Nation" z 16.X w artykule pt. „Defetyzm Churchilla" w sposób następujący: „Fakt, że my pokładamy tak wielką ufność w bombie atomowej nie jest dowodem siły, lecz straszliwej słabości".

Dziennikarz angielski Cummings pisze o Churchillu: „Działa on pod wpływem głębokiego niepokoju. Niepokoju znacznie głębszego od tego, jaki przeżywał w tygodniu Dunkierki".

M. L—ski

Yankie Doodle, Yankie Boy...

Najpopularniejszy w USA obok Waltera Lippmana dziennikarz polityczny Drew Pearson, którego artykuły są publikowane w kilkuset pismach Stanów Zjednoczonych, skrytykował w swoim omówieniu sytuacji międzynarodowej (dn. 22.11.) politykę amerykańską w sprawie Ruhry. Proponując powierzenie zarządu Ruhry państwom neutralnym i małym, „które mają wszystko do stracenia w wypadku wojny": (Szwajcaria, Szwecja, Norwegia, Holandia), Drew Pearson przypomina, że po pierwszej wojnie światowej dwa wielkie banki „Brown Brothers and Harriman" i „Dillon and Read" inwestowały w Niemczech

— przedewszystkim w Ruhrze — prawie miliard dolarów mimo opinii departamentu Stanu zwracającej uwagę na wzmacnianie tym samym potencjału zbrojnego Rzeszy. Ale dyrektorem „Daillon and Read", pisze Pearson, jest amerykański sekretarz (minister) obr. narodowej, Forrestal, a jego wspólnikiem William Draper, podsekretarz armii. Pan Harriman zasię (z „Brown Brothers and Harriman"), którego wspólnikiem jest Lovett, podsekretarz stanu (tj. zastępca Marshalla), został, obecnie „ambasadorem" planu Marshalla w Europie. Decyzja w sprawie Ruhry jest już teraz jasna.

A komentarzy można czytelnikowi oszczędzić.

mm.

Rozkaz poufny

29 września br. generał brygady wojsk ateńskich, Petzopulos, wydał do podległych sobie jednostek wojskowych następujący rozkaz, którego poufność niedługo się utrzymała:

„Dotyczy: operacji oczyszczających na linii ataku. Pierwsza brygada. Nadzwyczaj pilne.

Będąca przedmiotem rozkazu operacja, która winna rozpocząć się jutro rano, ma nie tylko za zadanie zniszczyć wycofujących się bandytów (sabotażystów, szperaczy i grupy samoobrony), lecz ma osiągnąć cele bardziej rozstrzygające. Chodzi o pomszczenie krwi naszych braterskich towarzyszy, a z drugiej strony o udzielenie poparcia niewzruszonej decyzji władz państwowych, że na terenach, których mieszkańcy przeszli do partyzantki i stali się współuczestnikami zbrodni słowiańskich komunistów, ma zapanować spokój i bezpieczeństwo. To są ci ludzie, którzy od czterech lat obracają w gruz miasta w całej Macedonii zachodniej.

Wszelkie pobłażania i wszelka litość w stosunku do nich równa się zbrodni wobec ojczyzny.

W imieniu ojczyzny greckiej rozkazuję wam wytrzebienie tych ludzi co do nogi. Jednostki wojskowe przejdą przez tereny operacyjne z ogniem i mieczem.

Niechaj jutrzejsza operacja stanie się przykładem tego, co czyni Państwo, które zdecydowało się żyć — i niechaj będzie ostrzeżeniem dla wszystkich niepoprawnych".

W języku niepoufnym mówi się w takich wypadkach jedynie o walce za króla, wiarę i ojczyznę.

lm.

Tuwim dla mas — w ZSRR

Nakładem „Prawdy" w popularnej biblioteczce „Ogońka" („Płomyka") w Moskwie ukazał się niedawno, w miesiącu wymiany kulturalnej polsko - radzieckiej mały tomik — wybór wierszy Juliana Tuwima w tłumaczeniach m. in. Antokolskiego, Asiejewa, Selwińskiego i Simonowa, z przedmową Marka Żiwowa. Olbrzymi nakład tego zbiorku, 150,000 egzemplarzy, daje rękojmię, że słowa naszego poety dotrą do najszerszych rzesz czytelniczych Związku Radzieckiego. Oto doskonały przykład umiejętnego wykonywania zasad wymiany kulturalnej pomiędzy zaprzyjaźnionymi narodami Polski i ZSRR.

Oczywiście ze względu na szczupłe ramy dobór wierszy musiał być nieco przypadkowy, w bardzo wąskich ramach trudno było dać wszystko, co by reprezentowało właściwie twórczość Tuwima, widać jednak, że redaktor starał się uwzględnić wszystkie jej fazy, może ze zbytnią przewagą wierszy z okresu pierwszego, które sam autor w „Wyborze" poddał bardzo skrupulatnej selekcji. Przy końcu tomiku podano kilka przekładów wierszy dla dzieci — pokazując w ten sposób czytelnikowi szeroką skalę rodzajów poetyckich uprawianych przez Tuwima.

Gorzej nieco sprawa przedstawia się z przedmową. M. Żiwow nie zawsze rozumie twórczość polskiego poety. Za przykład niech posłuży komentarz do wiersza „Daleki tygrys", gdzie przedmówca dopatruje się osądzania tych, którzy uważali, że w ciszy swego pokoju można ukryć się od groźby, jaką niesie ludzkości faszyzm". W stosunku do właśnie tego wiersza, wyraźnie biologicznego, komentarz ten jest oczywiście naciągany. Znalazłyby się inne, bardziej przekonywujące przykłady dla zailustrowania postępowej, antyfaszystowskiej postawy Tuwima. Byłoby dobrze, aby M. Żiwow, zasłużony popularyzator polskiej literatury na terenie ZSRR, pisząc o polskim poecie, zapoznał się przedtem z głosami krytyki polskiej.

Pomimo tych drobnych niedociągnięć „Wiersze" Tuwima, wydane przez wydawnictwo „Prawda", stanowią piękny dowód dobrze pojętego sposobu zacieśniania polsko-radzieckich stosunków kulturalnych.

gr.

Zasługi wydawców

Niewielka ilość dzieł z zakresu historii źle świadczy o pracy wydawnictw polskich. Myślę tu o dziełach podstawowych, monograficznych, a jednocześnie łatwo dostępnych, nie wymagających wiedzy specjalnej.

Toteż wydanie Mortona „Dziejów ludu angielskiego" przez Państwowy Instytut Wydawniczy należy odnotować z radością. W ostatnim okresie ukazało się kilka książek nie należących coprawda do klasycznej literatury, ale godnych uwagi z racji ich kierunku ideologicznego. Myślę tu przede wszystkim o Dreisera „Tragedii amerykańskiej" i Uptona Sinclaira „Królu węgla", wydanych przez „Książkę".

„Wiedza" wydała Jeana Cassou „Paryż we krwi" („Les massacres de Paris"), powieść o Komunie. Wydaje mi się, że przekład tytułu nie jest najwierniejszy.

Rok mickiewiczowski, który przyniesie zapewne wiele dzieł o poecie, a przede wszystkim, co najważniejsze, dzieła samego poety, powiększy niewątpliwie dotychczas istniejącą bibliotekę mickiewiczowską. Jako jedną z pierwszych chronologicznie jej pozycji notuję obszerną monografię prof. Juliusza Kleinera „Mickiewicz", której dwa pierwsze tomy wydał K.U.L.

ph.

WYNIKI KONKURSU NA UTWÓR POETYCKI OGŁOSZONEGO PRZEZ ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH — ODDZIAŁ W ŁODZI Z OKAZJI ZJEDNOCZENIA PARTII ROBOTNICZYCH.

W przeddzień Zjednoczenia Partii Robotniczych Oddział Łódzki Związku Zawodowego Literatów Polskich ogłosił konkurs na wiersz o treści społeczno-rewolucyjnej, wyznaczając dwie nagrody w wysokości 30 tys. i 20 tys. złotych. Jury konkursu w osobach: Jan Brzechwa, Mieczysław Jastrun i Seweryn Pollak, wyróżniło cztery wiersze, a mianowicie. Wiersz pt. „Młody Przyjacielu" sygnowany godłem „Listopad", utwór pt. „Wiersz z wczoraj" — godło „Rit", „Wołanie" — godło „Zamówienie" i „Nowy Krajobraz" — godło „Nit".

Jury stwierdziło, że żaden z tych utworów nie zasługuje na pierwszą lub drugą nagrodę, natomiast uznało, że ze względu na wartość poszczególnych fragmentów wiersze te mogą być wyróżnione i wobec tego postanowiło łączną sumę przeznaczoną na nagrody rozdzielić ex aequo.

Po otworzeniu kopert okazało się, że autorem wiersza pt. „Młody przyjacielu" jest Aleksy Boselides, zam. w Bielsku, Limanowskiego 29; autorem „Wiersz z wczoraj" jest Leszek Lorek, zam. w Bielsku, Mickiewicza 21; autorem wiersza pt. „Wołanie" jest Jerzy Miller, zam. w Łodzi, ul. Uniwersytecka 12; autorem wiersza pt. „Nowy krajobraz" — Igor Sikirycki, zam. w Łodzi, ul. Bandurskiego 8.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik"
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr. 96. — Telefon 204-75
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpaltę 40 złotych.
WARUNKI PRENYMERATY:
Miesięcznie zł. 80.—; kwartalnie zł. 240.—; półrocznie zł. 480.—; rocznie zł. 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Zwirki 2
D—030104